

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

**ARKADIUSZ
JAKUBIK**
Chciałem być
ojcem lepszym
niż mój



FOT. WERONIKA ŁAWNICZAK / NETFLIX

**LECH
JANERKA**
Takie małe
państwo jak
nasze nie przetrwa



**WYSOKIE
OBCASY**
Maja Pankiewicz:
Ambicja jest bardzo
kobieca



wyborcza.pl
wyborcza
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI



Otwieramy Sejm

Marcin Kącki
obserwuje
inaugurację,
zagląda
w korytarze,
je w restauracji
sejmowej

RYS. JACEK GAWŁOWSKI

wydaje Agora SA
nr indeksu 348198



**Polacy
znad Odry**
Nasi własni
„szlachetni dzicy”



**Zastrzelili
prezydenta!**
Pierwsze minuty
nowoczesnej telewizji

Nie tylko Ukraińcy
Głód zabija
Irlandczyków,
Indusów, Finów

Agnieszka
KublikPodoba mi się,
jak przemawiam

Prezydent wygłosił na pierwszym posiedzeniu Sejmu oświadczenie, które przejdzie do historii. Mówił serio, a posłowie wybuchali śmiechem.

Rozumiem ich, i ja powstrzymywałam parsknięcie, gdy podniósł wysoko brodę, perorował, że „warto pamiętać, że w demokracji jest tak, że ci, którzy dzisiaj sprawują władzę czy jutro będą ją sprawować, za jakiś czas znajdą się w opozycji. Niestety rządzący niezależnie od opcji politycznej zbyt często zapominają o tym oczywistym fakcie”. To było zabawne, bo w punkt o PiS, a Duda kierował te słowa do Donalda Tuska.

Albo te słowa: „Porządek konstytucyjny musi zostać zachowany. Nie zgodzę się na żadne obchodzenie czy naginanie prawa”. Mówi to facet, który obchodził i nagiął po wielokroć.

Uśmiech wywołało i to zdanie: „Chciałbym z tego miejsca wyraźnie powiedzieć wszystkim formacjom politycznym: ewentualne weto prezydenta nie może być usprawiedliwieniem dla niezrealizowania obietnic wyborczych”.

Prezydent i pierwsza dama udowadniają, że nie zawsze mowa jest srebrem, a milczenie złotem

Im dłużej Duda jest prezydentem, tym bardziej podoba mi się, jak przemawia. Więc gada, kiedy lepiej byłoby milczeć.

Odwrotnie jest z Agatą Dudową. Media frapują się jej fryzurą, garsonkami, sukienkami, płaszczami i pantoflami – bo nie mają czym. Tyle widzimy.

Młode kobiety tłumnie zagłasowały. Frekwencja wśród tych w wieku 18-29 to aż 71,5 proc. i była o 25 proc. wyższa niż 4 lata temu. Bo były wkurzone, jak je PiS i Duda traktują.

Jak Dudowa to bezprecedensowe ruszenie skomentowała? Nijak.

Co powiedziała o wyroku TK zakazującym aborcji? Nic.

Co sądzi o aborcji do 12. tygodnia? Nic.

Co sądzi o usunięciu ciąży, gdy zagrożone jest życie kobiety? Nic.

O kompromisie aborcyjnym z 1993 r.? Nic.

O liberalizacji prawa antyaborcyjnego? Nic.

Kiedy przydałby się głos pierwszej damy, wybiera milczenie. Jej milczenie stało się wręcz głośne. Raz tłumaczył je nawet sam Duda: „A że nie chce wypowiadać się na tematy, które są – jak ja to mówię – taką twardą polityką, to bardzo dobrze. To nie jest rolą pierwszej damy, żeby taką politykę prowadzić, od tego jest jej mąż, który został wybrany na urząd prezydenta i wziął na siebie odpowiedzialność za prowadzenie twardej polityki”.

W tym sęk, że nie wziął, tylko mu się tak wydaje. Właśnie oblał test z tej odpowiedzialności. Misję tworzenia rządu powierzył ekipie, która nie ma większości, bo 193 (tyle dostała Elżbieta Witek podczas głosowania na marszałka Sejmu) jest mniejsze niż 265 (tyle głosów padło na Szymona Hołownię).

Nie zawsze mowa jest srebrem, a milczenie złotem. ●

Izrael
Życie z palcem na spuście

FOT. OHAD ZWIGENBERG/AP

Jerozolima. Po służbie żołnierzy Sił Obronnych Izraela przyszedł się pomodlić pod Ścianą Płaczu. Po krwawym ataku Hamasu 7 października i rozpoczęciu operacji odwetowej w Gazie minister obrony powołał 300 tys. rezerwistów. Nie wszystkich od razu wezwano pod broń, ale każdy musi być w gotowości – po zdolnych do służby obywateli przebywających za granicą są wysłane samoloty

Kod dostępu
do Wyborcza.pl

Wiadomości z kraju
i ze świata
czytaj teraz na
wyborcza.pl

**UŻYJ
BEZPŁATNEGO KODU
i bądź na bieżąco
przez cały weekend ***

TJS67PC1

- 1 Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- 2 Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- 3 Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- 4 Aktywuj dostęp w ten weekend

* Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumeraty w serwisie Wyborcza.pl. Dostęp do serwisu w dniach 18-19.11.2023 r.

Nowe „Igrzyska śmierci”
Harry Potter w świecie dorosłych

Gdy pokolenie, zwane później milenialsami, uczyło się czytać, do księgarni trafiała pierwsza książka o Harrym Potterze. Sześć kolejnych towarzyszyło mileniolom w dorastaniu. Aż dorosli i musieli się zmierzyć z rzeczywistością. A w niej czekał kryzys 2008 r. I wtedy pojawiła się Katniss, bohaterka „Igrzysk śmierci” Suzanne Collins, które miały premierę dzień przed bankructwem banku Lehman Brothers.

16-letnia Katniss mieszka w dystopijnym państwie założonym na gruzach USA. 12 dystryktów jest wyzyskiwanych przez stołeczny Kapitol. Dystrykty zbuntowały się kiedyś, ale zostały krwawo spacyfikowane. Ku przestrodze raz w roku każdy z nich wysyła do stolicy chłopca i dziewczynkę, by walczyli na śmierć i życie. Katniss – pochodząca z najbiedniejszego dystryktu – odważna, zaradna i bezkompromisowa, ośmiesza despotycznego prezydenta Snowa.



FOT. MURRAY CLOSE/FORUMFILM

wa, ośmiesza despotycznego prezydenta Snowa.

Wydawać by się mogło, że tak ponura, odległa od Hogwartu wizja nie będzie się cieszyć powodzeniem. Lecz czytelnicy odnaleźli w niej znane im nierówności i przemoc, a siebie zobaczyli w Katniss, pragnącej tylko żyć na własnych warunkach. A zwłaszcza zobaczyli czytelniczki, które dostały w końcu jako bohaterkę dziewczynę czynu.

Do kin wchodzi właśnie prequel „Igrzysk śmierci” – „Ballada ptaków i węży” – na podstawie ostatniej powieści Collins, wydanej w 2020 r. Równie nieprostej co poprzednie. Głównym bohaterem jest 18-letni Snow. Tak, ten późniejszy bezwzględny autokrata. ●

Maja Staniszevska

Andrzej rysuje

Dokąd zaszli
narodowcy

Niesie się zapach marihuany, koleś za mną w glanach i podkoszulce z hasłem „Zemsta na wrogach” zamawia latte dyniowe

• Ziemowit Szczerek o schyłku Marszu Niepodległości ► Wyborcza.pl/magazyn

FOT. ADAM STĘPIEN / AGENCJA WYBORCZA.PL

Liczba dnia



FOT. LASSE JOHANSSON / SHUTTERSTOCK

1przeznacza Emmanuel Macron na badania nad lodowcami. Podczas Paryskiego Forum Pokoju prezydent Francji ogłosił ambitny (m.in. z użyciem nowego statku polarnego) program naukowy, apelował do kolegów z innych krajów, by, zaprzęgnięci wojnami w Ukrainie i Gazie, nie tracili z oczu kwestii klimatycznych, i wezwał do moratorium na eksploatację dna morskiego w regionach polarnych. Pod tym zobowiązaniem podpisały się już m.in. Wielka Brytania, Kanada i Brazylia.

MILIARD
EURO



PATEK PHILIPPE

GENEVE

DAJ POCZĄTEK NOWEJ TRADYCJI



ZEGAREK PATEK PHILIPPE NIE NALEŻY TYLKO DO CIEBIE.

DBASZ O NIEGO DLA PRZYSZŁYCH POKOLEŃ.

CALATRAVA REF. 5226G

W. KRUK

1 8 4 0

Europejski Boutiques · Hotel Raffles Europejski Warsaw
Krakowskie Przedmieście 13 · 00-071 Warszawa
Tel. +48 783 458 150 · wkruk.pl

Dlaczego daliśmy Rosjanom czas

A może zamroźmy granice na obecnej linii frontu – usłyszałam od kilku zwolenników Ukrainy

ANNE APPLEBAUM

Planowali zająć Kijów w trzy dni, a resztę Ukrainy w sześć tygodni. Ponad 21 miesięcy później siły rosyjskie wycofały się z połowy terytorium, które zajęły w lutym ubiegłego roku.

Szacuje się, że zginęło około 88 tys. rosyjskich żołnierzy. Sprzęt wart miliardy, w tym czołgi, samoloty, artyleria, helikoptery, pojazdy opancerzone i okręty wojenne, został zniszczony. Gdyby przed wojną ktośkolwiek zakładał taki obrót sprawy, zostałoby to uznane za urojenie. Nikt nie uwierzyłby w to, że prezydent Zelenski, z zawodu komik, może dowodzić krajem w stanie wojny, że demokratyczny świat będzie na tyle zjednoczony, by mu pomóc, ani że Putin doświadczy takiego upokorzenia.

Putin wspiera skrajnie prawicowe i ekstremistyczne ruchy w Europie, zapewnia bandytów wspomagających rządy afrykańskich dyktatur i zmawia się z Chinami, Iranem, Wenezuelą i innymi autokracjami. Od samego początku miał nadzieję, że wojna pokaże, że amerykańską potęgę i ich sojusze można pokonać – nie tylko w Ukrainie, ale wręcz na całym świecie. Nadal ma taką nadzieję i z tego powodu wojna wciąż jest dla niego korzystna.

Wojna powoduje niedobory żywności w Afryce, generując tym samym więcej społecznych konfliktów i zwiększając popyt na rosyjskich najemników. Wojna podsyca również niezadowolenie w Europie, dając impuls prorosyjskim partiom. Amerykanie i Europejczycy postrzegają zamieszanie w każdym kraju jako serię odizolowanych konfliktów, ale Putin bynajmniej nie uważa, że Ukraina i Bliski Wschód należą do odrębnych sfer. Wręcz przeciwnie – od wybuchu konfliktu w Strefie Gazy zintensyfikował relacje z Iranem, zaprosił przywódców Hamasu do Moskwy i zaatakował Izrael ze względu na jego powiązania z USA, mając nadzieję, że rozprzestrzenianie się przemocy zmniejszy poparcie Zachodu dla Ukrainy. Irańskie drony terroryzowały ukraińskie miasta; Iran dystrybuuje rosyjską broń swoim sojusznikom. Uważa się, że Hezbollah ma rosyjskie pociski, których w każdej chwili może użyć przeciwko okrętom USA na Morzu Śródziemnym.

Mimo nadzwyczajnych strat Putin wierzy, że czas jest po jego stronie. Jeśli nie może wygrać na polu bitwy, wygra za pomocą intryg politycznych i presji ekonomicznej. Będzie czekał, aż demokratyczny świat się rozpadnie, i robił wszystko, żeby wesprzeć ten proces. Będzie czekał, aż Ukraińcy się zmęczą, i będzie próbował do tego doprowadzić. Poczekaj, aż Trump wygra wybory prezydenckie, i zrobi wszystko, co w jego mocy, aby tak się stało.

Obecnie Putin stawia na Republikanów. Senator J.D. Vance zgadza się z rosyjskim twierdzeniem, że wojna w Ukrainie prowadzi do „globalnego chaosu” i „eskalacji”. Członek Izby Reprezentantów Matt Gaetz, pytając o rzekomych ukraińskich neonazistów podczas posiedzenia w Kongresie, za źródło informacji podaje chińskie media państwowe. Vivek Ramaswamy, kandydat na prezydenta, nazywa Zelenskigo – który jest Żydem – nazistą.

Putinowi będzie kibicował nowy przewodniczący Izby Reprezentantów Mike Johnson, który opóźnia pomoc wojskową i finansową, której Ukraina potrzebuje, by dalej walczyć. Ustawa uzupełniająca, której przyjęcia odmawia, obejmuje środki finansowe zapewniające Ukraińcom systemy obrony powietrznej do ochrony miast, a także wsparcie budżetowe potrzebne, aby utrzymać gospodarkę i kluczową infrastrukturę.

USA pokrywają około jednej trzeciej potrzeb finansowych Ukrainy – resztę środków zapewniają Unia, globalne instytucje oraz podatki i obligacje kupowane przez samych Ukraińców. Bez tej pomocy Ukraina z trudem przetrwa zimą.

Częścią republikańskiego oporu wobec pomocy Ukrainie jest po prostu perwersyjna chęć zobaczenia porażki Bidena. Inna część wynika z obawy, że Ukraina nie jest w stanie wygrać. Letnia kontrofensywa odniosła pewne sukcesy, zwłaszcza na Morzu Czarnym,

gdzie użycie dronów i pocisków raketowych poważnie osłabiło rosyjską marynarkę i zmusiło niektóre statki do opuszczenia krymskiego portu w Sewastopolu. Postępy na lądzie były jednak niewielkie. Zdolność Ukrainy do zadawania ogromnych strat nie wystarczyła, by doprowadzić do wycofania się sił rosyjskich. Generał Walerij Załużny, naczelny dowódca Sił Zbrojnych Ukrainy, mówił ostatnio o wojnie jako „patowej sytuacji”.

Chociaż szczegółowo opisał technologię, której potrzebuje, aby przełamać ten impas, jego oświadczenie ożywiło na Zachodzie rozmowy o rozejmie lub zawieszeniu broni. Niektórzy wzywają do nich w złej wierze, bo chcą rosyjskiego zwycięstwa, a przynajmniej porażki Bidena. Inni jednak opowiadają się za rozejmem w najlepszych intencjach. Uważają, że ponieważ Putin nigdy się nie podda, szkody dla Ukrainy muszą zostać ograniczone. Ostatnio słyszałam kilka opinii osób o dobrych intencjach twierdzących, że konflikt ten mógłby zakończyć się tak, jak zakończyła się wojna koreańska – z zamrożonymi granicami na obecnej linii frontu i resztą Ukrainy chronioną przez amerykańską gwarancję bezpieczeństwa, a nawet bazy USA.

Wszystkie te sugestie mają tę samą wadę: zawieszenie broni oznacza, że obie strony muszą zaprzestać działań wojennych. Nawet jeśli Zelenski zgodzi się na negocjacje, według zachodnich przedstawicieli, którzy prowadzą okresowe rozmowy z rosyjskimi partnerami, nie ma podstaw, by sądzić, że Putin chce negocjować.

Hezbollah ma rosyjskie pociski, których w każdej chwili może użyć przeciwko okrętom USA na Morzu Śródziemnym

Nie ma też żadnych dowodów na to, że chce podzielić Ukrainę, zatrzymując tylko te terytoria, które okupuje, a reszcie, tak jak ma to miejsce w Korei Południowej, pozwolić prosperować. Jego celem pozostaje zniszczenie całej Ukrainy.

W tym sensie wyzwanie, jakie Putin stawia przed Europą i resztą świata, pozostaje niezmienione od lutego 2022 roku. Jeśli porzucimy to, co osiągnęliśmy do tej pory, i zrezygnujemy ze wsparcia dla Kijowa, rezultatem nadal może być militarny lub polityczny podbój Ukrainy. Może to wzmocnić pozycję Iranu, Wenezeli, Syrii i reszty sojuszników Putina. Może zachęcić Chiny do inwazji na Tajwan i doprowadzić do ukształtowania się nowego porządku w Europie, gdzie Polska, kraje bałtyckie, a nawet Niemcy są pod stałym fizycznym zagrożeniem, ze wszystkimi związanymi z tym konsekwencjami dla handlu i dobrobytu.

Europa w ciągłym stanie wojny to wizja nierealna dla większości ludzi na Zachodzie, ale dla rosyjskiego prezydenta jak najbardziej prawdopodobna. Putin przez znaczną część życia był oficerem KGB reprezentującym interesy sowieckiego imperium w Dreźnie. Pamięta czasy, gdy wschodnimi Niemcami rządziła Moskwa. Jeśli kiedyś było to możliwe, to dlaczego nie teraz?

Ta wojna zakończy się tylko wtedy, gdy neoimperialne marzenie Rosji w końcu umrze. Podobnie jak Francuzi zdecydowali w 1962 r., że Algieria może stać się niezależna od Francji, podobnie jak Brytyjczycy zaakceptowali w 1921 r., że Irlandia nie jest już częścią Wielkiej Brytanii. Rosjanie muszą pogodzić się z tym, że Ukraina nie jest Rosją. Nie jestem w stanie określić, jakie zmiany w Moskwie są konieczne do osiągnięcia tego celu, czy konieczny będzie inny przywódca – może tak, a może nie.

Lecz aby osiągnąć ten cel, musimy dostosować nasze myślenie. Po pierwsze, zrozumieć, że wkroczyliśmy w nową erę konfliktu wielkich mocarstw. Rosjanie już o tym wiedzą, dlatego ich gospodarka weszła na pełną skalę w tryby wojenne. 40 proc. rocznego rosyjskiego budżetu jest przeznaczane na cele wojskowe. To około 10 proc. PKB Rosji, co jest poziomem niespotykanym od dziesięcioleci. Ani USA, ani ich europejscy sojusznicy nie dokonali czegoś podobnego. Na początku wojny amunicja, którą Wielka Brytania wyprodukowała w ciągu roku, wystarczała na potrzeby ukraińskiej armii przez 20 godzin. Choć sytuacja uległa poprawie, jako że w całym demokratycznym świecie produkcja powoli wzrasta, wciąż nie działamy wystarczająco szybko.

I musimy zacząć pomagać Ukraińcom walczyć w tej wojnie tak, jakbyśmy to my w niej walczyli. Musimy zmienić nasz powolny proces decyzyjny. Ukraina otrzymała broń na letnie walki bardzo późno, dając Rosjanom czas na zbudowanie pół minowych i pułapek na czołgi – dlaczego? Szkolenie ukraińskich żołnierzy przez siły NATO było w niektórych przypadkach prowadzone pośpiesznie i niekompletnie – dlaczego? Wciąż pozostaje czas na naprawienie tych błędów: lista przełomowych technologii Załużnego, która obejmuje narzędzia do uzyskania przewagi powietrznej i skuteczniejszego prowadzenia wojny elektronicznej, powinna być traktowana poważnie już teraz, a nie w przyszłym roku.

Jednak droga do zakończenia wojny prowadzi nie tylko przez pole bitwy. Musimy zacząć myśleć nie tylko o pomocy Ukrainie, ale też o pokonaniu Rosji – lub, łagodniejszymi słowami, przekonaniu Rosji do ostatecznego opuszczenia Ukrainy. Skoro Rosja już teraz walczy z Ameryką i jej sojusznikami na wielu frontach – poprzez finansowanie polityczne, kampanie wpływów i powiązania z innymi autokracjami i organizacjami terrorystycznymi – to USA i Europa również muszą podjąć się takiej walki. Powinniśmy konkurować z Rosją o rzadkie towary potrzebne do budowy broni, blokować aktualizacje oprogramowań, szukać sposobów na sabotowanie ich zakładów produkcyjnych. W tym roku Rosja zużyła mniej broni i amunicji niż w roku ubiegłym. Zadbajmy, by przyszły rok był jeszcze gorszy.

Zachód wprowadził kontrolę eksportu elektroniki i komponentów niezbędnych dla rosyjskiego ministerstwa obrony. Paradoksalnie, tych sankcji może być zbyt wiele, przez co trudno je kontrolować i egzekwować, zwłaszcza gdy materiały transportowane są przez kraje trzecie lub czwarte. Powinniśmy celować w najważniejsze łańcuchy dostaw, pozbawiając Rosjan konkretnych narzędzi i materiałów do produkcji najbardziej zaawansowanej broni. Na początku wojny Zachód zamroził rosyjskie depozyty walutowe. Aktywa wielu oligarchów również zamrożono w nadziei, że skłoni to ich do oporu wobec wojny. Tak się nie stało. Nadszedł czas, aby przekazać te aktywa Ukrainie. Musimy pokazać, że nasze zaangażowanie na rzecz rezolucji wzywającej Rosję do wypłacenia reparacji dla Ukrainy jest realne.

Nasze wsparcie finansowe również jest potrzebne: udzielając go teraz, zaoszczędzimy w przyszłości. Ucząc się, jak walczyć z Rosją, wyrafinowaną autokracją o globalnych ambicjach, będziemy lepiej przygotowani na większe konflikty, jeśli dojdzie do walki z Chinami lub Iranem. Co ważniejsze, pokonując Rosję, możemy powstrzymać te konflikty, zanim się rozpoczną. Zakończenie brutalnej inwazji Rosji na Ukrainę powstrzyma innych przed rozpoczęciem kolejnej inwazji gdzie indziej. ●

Przełożyła Patrycja Eiduka.
Tytuł i lead od redakcji

© 2023 The Atlantic Media Co., as first published in „The Atlantic”
All rights reserved. Distributed by Tribune Content Agency





TY
JESTEŚ
EUROPEJEM

**Wolność, pokój
i niezależność
energetyczna.**

TY JESTEŚ EUROPEJEM.



STARA

GRANICA



Małgorzata Tomczak*

Kryzys na granicy polsko-białoruskiej jest od dwóch lat prezentowany w dwóch narracjach: tej otwarcie antyimigracyjnej i odwołującej się do bezpieczeństwa oraz tej humanitarnej, skupionej na łamaniu praw azylowych i często nawiązującej do zagłady.

Ten drugi dyskurs, funkcjonujący wcześniej głównie w relacjach aktywistów i niektórych mediów, w ostatnich miesiącach cementują książka Mikołaja Grynberga „Jezus umarł w Polsce” i film „Zielona granica”.

Oba utwory mają charakter interwencyjnej publicystyki z jasnymi diagnozami i wytycznymi: dzieje się zło, rasizm zabija, mamy krew na rękach. Autorzy nie ukrywają, że mają nami wstrząsnąć; po przetrawieniu tych historii mamy iść i zrobić „coś”, by się nie powtórzyły. Reakcja powinna mieć miejsce natychmiast, bo „to wciąż się dzieje”.

Obawiam się, że jeśli ktoś faktycznie wstanie z fotela, by tę rzeczywistość zmieniać, to jej nie znajdzie. Bo choć utwory funkcjonują w debacie jako niemal dokumentalne zapisy sytuacji na granicy, to w rzeczywistości ukazują tylko jej niewielki, przefiltrowany wycinek. Nie zadają prawdziwych pytań, a całą kompleksowość tematu wciskają w czarno-białe kategorie. Jako teksty kultury mają do tego prawo – tylko jak na podstawie takich obrazów mamy rozmawiać o kryzysie migracyjnym?

•

Uchodźcy w filmie Holland to rodziny z małymi dziećmi; wykształcona, świetnie mówiąca po angielsku Afganka; ciężarna kobieta. O takich osobach „z grupy wrażliwej” opowiada też większość rozmówców Grynberga i to one pojawiały się w większości relacji medialnych w ostatnich latach – w przeciwieństwie do obrazów „młodych byczków”, które serwował nam przekaz prawicy. Film cofa nas do czasu, gdy nie było jeszcze plotu. Ten wybór fabularny umożliwia kolejne: na świeżo powstałym, wciąż nierozpoznanym i relatywnie łatwym do przejścia szlaku faktycznie było wiele dzieci, kobiet i osób mniej sprawnych. Osadzenie filmu w 2021 r. pozwala też wskrzesić narrację z początku kryzysu: ci ludzie zostali oszukani; są w pułapce (w domyśle: gdyby wiedzieli, jak jest, toby ich tam nie było). Gdyby film osadzono zaledwie kilka miesięcy później, po zbudowaniu plotu, wymagałoby to pokazania, jak jest przekraczany: przecinany i podważany narzędziami czy za pomocą drabin dostarczonych przez przemytników. Osoby takie, jak przedstawione w filmie Holland, są teraz na granicy wyjątkami – z prostej przyczyny: plot jest dla nich zbyt trudny do pokonania.

Nikt tych syryjskich dzieci, kobiet w ciąży i wykształconych Afganek nie wymyślił – one też tam były, widzieli je bohaterowie Grynberga i Holland, pomagały im mieszkanki Podlasia. Takie właśnie osoby częściej się do aktywistów zgłaszają po pomoc. Nie ma tu przekłamania.

Ale jest wielka niereprezentatywność, bo zdecydowana większość ludzi na szlakach do Europy to młodzi mężczyźni. W ostatnim roku kobiety stanowiły jedynie 10 proc., a dzieci – 17 proc., z czego wiele to 16-, 17-latkowie. Mówimy, że prawicowa propaganda wypacza obraz migracji, nie pokazując dzieci i kobiet, a robimy to samo – z tym że statystyka stoi po jej stronie. To samo robimy zresztą z ich powodem i celem wyjazdu – na prawicowe „to migranci” odpowiadamy „nie,

Od dwóch lat w dyskusji o migracji
przekłamujemy rzeczywistość
dla „dobra sprawy”



to uchodźcy”; przywołujemy Syrię, Afganistan, wojny i czystki etniczne na Bliskim Wschodzie. Ci ludzie zawsze „uciekają z piekła”, nie jadą „do lepszego życia”. Ich los wyznaczyły straszne wydarzenia, a my możemy ich ocalić. Nie ma tu wyboru, wolnej woli i decyzji.

Tylko że w statystykach nieregularnej migracji do Europy w ostatnich latach przodują Tunezyjczycy, Egipcjanie i Marokańczycy. Na szlakach śródziemnomorskich coraz więcej jest Algierczyków, Banglijczyków, Pakistańczyków, a największą grupą płynącą z Calais do Wielkiej Brytanii byli w zeszłym roku Albańczycy. W pierwszej dziesiątce krajów pochodzenia osób, które dostały się przez Białoruś i Polskę do Niemiec, są nie tylko Syryjczycy i Afgańczycy, ale również Egipcjanie, Hindusi i Turcy. Zdecydowana większość obywateli tych krajów nie spełni wąskich kryteriów udzielania ochrony międzynarodowej i nie otrzyma statusu uchodźcy. W większości przypadków nie obejmie ich żadne prawo, które pozwala na wjazd do Europy i zalegalizowanie pobytu.

Aktywiści, a więc i opierający się tylko na ich relacjach dziennikarze i twórcy, mówią o tym niechętnie. „Migrant”, zwłaszcza „ekonomiczny”, funkcjonuje w dyskursie jako rodzaj prawicowej obelgi. Żeby ją równoważyć, narracja humanitarna nazywa wszystkich „uchodźcami” i na argument: „w Egipcie nie ma wojny”, odpowiada: „tu mamy konkretne osoby prześladowane politycznie, a tu z powodu orientacji seksualnej”. To też mogą być „uchodźcy”, mamy przykłady, dyskusja zamknięta. A że są to wyjątki od reguły, bo większość osób migruje z takich krajów właśnie z powodów ekonomicznych? Niestety, to zbyt zbliżone do prawicowej propagandy, nie do przelknięcia dla mainstreamowego odbiorcy, więc po prostu to pomijamy.

Demografię szlaków migracyjnych również należy trochę poprawić, by nie kłuda we wrażliwe, europejskie oczy: nie pokazywać grup młodych mężczyzn, skupiać się na kobietach, dzieciach, osobach chorych i starszych, bo tylko one budzą względną empatię. Jeśli już muszą być to mężczyźni, to chociaż z Syrii i Afganistanu. I niech „proszą nas o ochronę”, bo masowa migracja Tunezyjczyków i Marokańczyków przez morze do Europy po lepsze życie w naszych granicach empatii się nie mieści. Powinni mieć też wyższe wykształcenie i mówić po angielsku; być trochę jak my sami, a jednocześnie potencjalnie przydatni w społeczeństwie.

Taką narrację o kryzysie migracyjnym budujemy w Polsce od ponad dwóch lat (a w Europie od prawie dekady) w opozycji do dyskursu prawicy. Obrazy grup mężczyzn na łodzi i młodych chłopców przeci-nających plot graniczny przerażają; pręsuwamy więc obiektyw w poszukiwaniu bezbronnej matki z dzieckiem.

W aktywistycznej narracji o granicy wszystko jest czarno-białe: uchodźcy szukają w Polsce azylu; Straż Graniczna nie respektuje ich prawa do ochrony w Polsce i stosuje pushbacki. Ponieważ są one nielegalne, funkcjonariusze popełniają zbrodnię, za którą poniosą kiedyś karę. Rozwiązanie problemu na granicy jest dość proste, wystarczy: przyjąć od tych ludzi wnioski o ochronę międzynarodową, dopuścić ich do procedur; tym, którzy spełniają kryteria, przyznać status uchodźcy, a pozostałych deportować. Tego domagają się aktywiści i tego mają chcieć ludzie na szlaku migracyjnym – żeby po prostu zastosować wobec nich polską ustawę o udzielaniu cudzoziemcom ochrony, konwencję genewską, europejskie prawo azylowe.

Tyle że skrupulatne stosowanie tych praw jest właśnie tym, czego większość ludzi na granicy białoruskiej zdecydowanie nie chce.

Zalóżmy, że strażnicy graniczni modelowo respektują prawo azylowe. Syryj-

czyk, Afgańczyk czy Jemeńczyk – ktoś, kto ma dużą szansę na azyl w Europie Zachodniej – będzie spotkania z takim praworządnym strażnikiem unikał. Jeśli złoży w Polsce wniosek o ochronę międzynarodową, to zgodnie z europejskim prawem zablokuje sobie drogę do procedur azylowych w Niemczech, Holandii czy Szwecji. Gdy wejdzie w taką procedurę w Polsce i wyjedzie na Zachód, to zgodnie z europejskim prawem azylowym zostanie zawrócony; względnie będzie musiał zejść do szarej strefy i żyć bez papierów, prawa do pracy i opieki zdrowotnej, ubezpieczenia i możliwości ściągnięcia rodziny.

Jeśli ktoś jest z kraju innego niż „wojenne” – Syria, Afganistan, Palestyna, Jemen, Somalia, Erytrea – tym bardziej nie chce spotkać strażnika, który respektuje prawo, bo trafi do detencji i zostanie deportowany.

W statystykach migracji do Europy przodują Tunezyjczycy, Egipcjanie i Marokańczycy. Na szlakach śródziemnomorskich coraz więcej jest Algierczyków, Banglijczyków, Pakistańczyków, a największą grupą płynącą z Calais do Wielkiej Brytanii byli Albańczycy

Irakijczyk w Niemczech ma jakieś 40 proc. szans na azyl, w Polsce – mniej niż 1. Ludzie nie wydają przecież majątku na przjazd do Europy i nie ryzykują życiem na szlakach, by sprawdzić, czy przejdą polski test azylowy.

Największym problemem ludzi na granicy polsko-białoruskiej i innych nie jest to, że „Polska nie stosuje wobec nich międzynarodowego prawa azylowego”, ale to, że nie ma żadnego prawa, które pozwoliłoby im dotrzeć tam, dokąd jadą.

Możemy powtarzać, że wszystkimu winny rasizm strażników i dlatego nie wpuszczali do Polski Kameruńczyka, Iran-ki, grupy białych Kubańczyków i czeceńskich rodzin. Oraz że robiąc to, notorycznie łamią prawo. Ale przynajmy też, że również skrupulatnie przestrzegają innego – ustawy o cudzoziemcach, która bardzo szczegółowo określa zasady przekraczania granicy: od dowodów na cel podróży, np. od pracodawcy czy z uczelni, do typu firm ubezpieczeniowych, których polisa będzie wystarczająca do wjazdu do Polski. Gdy ktoś nie miał części tych dokumentów, odmawiano mu wjazdu do Polski na długo przed „rozporządzeniem wywózkowym”. A gdy ktoś już granicę przekroczył, również był „odprowadzany do linii granicznej” i przekazywany strażnikom białoruskim, którzy wtedy z Polską współpracowali.

Gdy ktoś prosi o ochronę międzynarodową, powinna się uruchomić wobec niego inna rama prawna, która od jakiegoś czasu praktycznie nie działa. Polska nie jest tu żadnym wyjątkiem: na całym świecie ludzie są niedopuszczani do przejść granicznych, wywożeni/wypychani do sąsiednich krajów, a ich łodziom uniemożliwia się dotarcie do celu. To, jakie prawo zostanie w tym celu złamane, determinują warunki geopolityczne: czasem to konwencja genewska, czasem konwencja SAR o poszukiwaniu i ratownictwie morskim. A w wielu przypadkach odbywa się to zupełnie legalnie – Unia Europejska przelewa miliardy euro państwom trzecim, by łamały te prawa w jej imieniu.

Możemy się skupiać na sprzeczności jednej ustawy z drugą, ale nic z tego nie wynika (oprócz kilkunastu wyroków sądu administracyjnego, na podstawie których, być może, pojedyncze osoby dostaną kiedyś odszkodowanie). Jeśli sprzeczność polskich aktów prawnych stanie się problemem, to uzgodni się je na niekorzyść prawa azylowego. Hiszpania zalegalizowała pushbacki w ustawie już osiem lat temu,

a lewicowy rząd przez całą kadencję tego nie zmienił.

Działania Straży Granicznej są niezgodne z europejskim prawem azylowym. Ale Parlament Europejski rozważa właśnie modyfikację prawa, tak by te działania ułatwić – rozporządzeniem pozwalającym na zawieszenie procedur azylowych w sytuacji „nagłej presji migracyjnej”. Możemy też powoływać się na konwencję genewską, ale nawet Europejski Trybunał Praw Człowieka trzy lata temu wydał wyrok de facto sankcjonujący pushbacki na granicy hiszpańsko-marokańskiej.

Możemy punktować „nielegalność” konkretnych procedur w Polsce, nazywać je „przestępstwem” i wsadzać stopę w każdą prawną szczelinę, ale ten system się uszczelnia. Możemy też udawać, że odpowiedzialność za sytuację na granicy ponosi Polska, a unijni politycy dziękujący nam za

obronę Europy to jakiś wypadek przy pracy. Oraz że z równą zacięłością mówilibyśmy o „przestępstwach” i „zbrodniczym państwie polskim”, gdyby za takimi decyzjami stali u nas – jak w innych krajach EU – demokratyczni, proeuropejscy, liberalni lub lewicowi politycy.

Możemy też fantazjować, że sprzeczność rozporządzenia o pushbackach z którymkolwiek aktem wyższym spędza z powiek sen strażnikom granicznym i projektować na nich dylematy moralne, które, naszym zdaniem, muszą przeżywać. Albo wejść na Forum Pograniczników i zobaczyć, co martwi ich w kontekście kryzysu na granicy najbardziej (m.in. kwestia dodatków za oddelegowanie na Podlasie).

Narracja o łamaniu praw uchodźców pomija to, że procedury azylowe na całym świecie są coraz rzadziej celem samym w sobie, a coraz częściej – masową strategią nieregularnej migracji.

W krajach tranzytowych, takich jak Polska, złożenie wniosku o ochronę międzynarodową jest w większości przypadków albo ostatnią deską ratunku (gdy nie da się kontynuować podróży do kraju docelowego), albo efektem niechcianego wpadnięcia w procedury tych krajów (gdy ktoś trafi do ośrodka strzeżonego).

W krajach docelowych wnioski o azyl składają zarówno uciekający przed wojnami i prześladowaniami, jak i dziesiątki tysięcy osób, dla których to jedyna szansa na zalegalizowanie tam pobytu. Ścieżki regularnej migracji są bardzo ograniczone, a dla obywateli wielu krajów praktycznie niedostępne. Staranie się o wizę to lata spędzone w niepewności, z nikłą szansą na pozytywną decyzję, i to pod warunkiem, że złożenie wniosku w ambasadzie w ogóle będzie możliwe. Za to ubieganie się o ochronę międzynarodową, choć wymaga odbycia niebezpiecznej i kosztownej podróży szlakiem nieregularnej migracji, to posiadaczom „najgorszych paszportów” daje jakąś nadzieję na pozytywny rezultat.

Osobom, które nie zamierzają się ubiegać o azyl, złożenie wniosku pozwala na odsunięcie w czasie deportacji. W momencie gdy zapada o niej decyzja, one są już „poza systemem”.

Świadomość przepaści między sytuacją Polaka ubiegającego się o wizę do Kanady a Irakijczyka starającego się o wizę w Wielkiej Brytanii sprawia, że nazywanie tego „nadużywaniem” czy „instrumentalnym

wykorzystywaniem prawa azylowego” budzi sprzeciw – również we mnie. Ale to zjawisko, jakkolwiek uzasadnione drastycznymi nierównościami paszportowymi i zbyt wąską definicją uchodźcy, istnieje. Wytworzyły się wokół niego różne strategie – podawanie się za osoby innej narodowości, przedstawianie historii tak, by wpasowały się w wąskie kryteria ochrony międzynarodowej, czy korzystanie z usług firm i prawników, którzy pomagają przygotować najbardziej skuteczny wniosek azylowy.

Pytanie, „czy kraje europejskie zaostrażają przepisy azylowe również z powodu masowego ich nadużywania”, jest w kręgach nieprawicowych niepopularne. Nie trzeba się nad nim zastanawiać, wystarczy uznać, że jest to wina strukturalnego rasizmu, postępującej faszyzacji, względnie – znieczulicy. Ale czy tylko?

Jakiś czas temu rozmawiałam z ludźmi, którzy przeszli granicę polsko-białoruską, a potem popłynęli do Wielkiej Brytanii. Podkreślali różnice na tych dwóch szlakach: w „dżungli Calais” aktywiści mogli dostarczać im jedzenie i koce; na morzu nikt nie próbował zawracać ich łodzi; a gdy ta nabrała wody i zadzwonili po pomoc, do brzegu asekurowały ich brytyjskie służby i helikopter. Na czas trwania procedur zostali zakwaterowani w hotelach i o brytyjskim systemie azylowym wyrażali się z uznaniem. Statystyki z ostatnich lat pokazywały, że Wielka Brytania udziela ochrony międzynarodowej znacznie częściej niż wiele innych krajów Europy Zachodniej. Osoby w procedurach mogły liczyć na lepsze warunki, a po pozytywnej decyzji – na lepsze życie niż w rosnąco antyimigranckich Francji czy Szwecji.

Od ponad roku jednym z flagowych projektów brytyjskiego rządu jest „Stop the Boats”, czyli walka z nieregularną migracją. Wprowadzono Illegal Migration Bill, który praktycznie likwiduje system azylowy – ludzie przyplływający łodziami z Francji nie będą mogli złożyć wniosków o ochronę, większość ma być od razu deportowana; a ci, których deportować nie można – odsyłani do obozów w Rwandzie. Rząd nie chce już kwaterować ubiegających się o azyl w hotelach, ale na wielkiej barce w porcie w Dorset.

Tej nagłej wołty nie da się wyjaśnić jedynie „rasizmem” i „faszyzacją”. W 2022 r. do Wielkiej Brytanii przyplłynęło najwięcej od kilku lat migrantów i wielką dyskusję wywołał fakt, że 28 proc. z nich pochodziło z Albanii. Masowo składali wnioski o azyl, a gdy trafiali do detencji, powoływali się na ustawę o ofiarach handlu ludźmi, co umożliwiałoby im opuszczenie strzeżonego ośrodka. Potem większość z nich znikala.

Politycy, publicyści, akademicy, nawet organizacje humanitarne nie potrafiły wyjaśnić tego fenomenu. Albańczycy już wcześniej przyplywali łodziami, jednak skala była nieporównywalnie mniejsza – w 2020 r. było ich 50, rok później – 800. W 2022 r. ich liczba przekroczyła 12 tys.

Prawicowy dyskurs ukuł odpowiedź dość szybko: to migranci ekonomiczni, powołujący się na prawo uchodźcze, by uniknąć deportacji. Przy pierwszej okazji porzucają procedury azylowe i schodzą do szarej strefy. To dla nich szybsza i skuteczniejsza ścieżka migracji niż ubieganie się o wizę. W konserwatywnej prasie z oburzeniem pisano o „wykorzystaniu naszego dobrego systemu azylowego” i „robieniu farsy z ochrony międzynarodowej”.

Część organizacji humanitarnych zaprotestowała przeciwko nazywaniu Albańczyków „migrantami ekonomicznymi” i argumentowała, że mogą być ofiarami handlu ludźmi: poznali część z nich, słyszeli ich historie. Albania może się wydawać „bezpiecznym krajem”, ale są tam przymusowe małżeństwa, zemsta krwi, gangi i powszechna przemoc.

Aktywiści nie potrafili jednak wyjaśnić, dlaczego tysiące Albańczyków szukają schronienia aż w Wielkiej Brytanii,

po drodze przejeżdżając przez wiele bezpiecznych, demokratycznych krajów. Nie potrafili odpowiedzieć na pytanie, dlaczego tysiące osób ubiegających się o azyl zrezygnowały z kontynuowania tych procedur tuż po wyjściu z detencji. Wreszcie nie tłumaczyli, co szczególnego wydarzyło się w Albanii między rokiem 2021 a 2022, że skala migracji wzrosła tak drastycznie – czy któryś z systemowych problemów tego kraju gwałtownie się pogłębił?

Dziennikarze BBC opisali wzmogoną aktywność albańskich przemytników z Calais i przytoczyli instrukcje, w których tłumaczą klientom, jak poprosić o azyl w Anglii. Reporter „Guardiana” przyjrzał się marketingowi przemytników w mediach społecznościowych, głównie temu skierowanemu do nastolatków – np. filmikom na TikToku, na których grupa zadowolonych chłopaków płynie pontonem, z podpisem: „Fuck school, let’s go to UK!”.

Gdy pytałam o to Albańczyków, odpowiadali mi, że wydarzył się po prostu brexit. Różne branże po odpływie imigrantów z Europy Środkowo-Wschodniej potrzebowały pracowników „na już”. W albańskich wioskach pojawili się pośrednicy obiecujący młodym chłopakom łatwą migrację i lepiej płatną pracę niż we Włoszech czy Niemczech. A niebezpieczna podróż przez kanał? Między 2018 a 2023 r. do Anglii dopłynęło ponad 104 tys. osób, utonęły 64. Statystycznie dużo łatwiej zginąć na albańskich drogach.

A fakt, że młodzi Albańczycy po wyjściu z detencji i ucieczce od procedury, o którą się ubiegali, trafiają do pracy w koszmarnych warunkach i część z nich staje się ofiarami handlu ludźmi? Tego już żadna narracja nie jest w stanie ogarnąć.

•

Podobnie „nie do ogarnięcia” jest wiele historii z granicy polsko-białoruskiej, które aktywistyczna narracja uparcie zamyka w pozornym dylemacie: „czy naprawdę godzimy się na wyrzucanie do lasu dzieci i kobiet błagających Polskę o ochronę?”. Odpowiedź na takie pytanie jest prosta i jednoznaczna tylko dlatego, że jest źle zadane.

Wiemy przecież, że zdecydowana większość osób, także rodzin z dziećmi, nie zmierzała do Polski. Nie istnieje żadne prawo, które pozwoliłoby Straży Granicznej „przepuścić” ich, by kontynuowali tranzyt do Niemiec. Jaka więc powinna być wobec nich procedura? Czy powinno się ich przekonywać do złożenia tu wniosku azylowego, bo to jedyny sposób na uniknięcie zawrócenia na Białoruś? Czy to naprawdę rozwiązanie, którego chcą np. Irakijczycy (którym w ponad 99 proc. Polska nie przyznaje ochrony międzynarodowej), będący najliczniejszą grupą na granicy na początku kryzysu?

Opisywałam kiedyś losy Irakijczyków i Kurdów, którzy trafili do polskich ośrodków strzeżonych, a tam, by uniknąć deportacji, złożyli wniosek o azyl. Jak tysiące innych osób zostali wypuszczeni przed rozpatrzeniem wniosków i wyjechali do Niemiec. Zgodnie z unijnym prawem Niemcy próbowały ich do Polski odesłać, a tam czekałaby ich deportacja. Żeby tego uniknąć, musieli popłynąć do Wielkiej Brytanii, gdzie unijne procedury nie obowiązują.

Pisałam też reportaż o Syryjczyku, którego razem z dwoma braćmi zatrzymała na granicy Straż Graniczna. Bracia trafili za drut; on, w złym stanie fizycznym, do szpitala, potem do ośrodka dla uchodźców, gdzie musiał złożyć wniosek o azyl. Bracia przeszli granicę podczas kolejnej próby i dojechali do Niemiec. On próbował dołączyć, ale niemieckie służby, zgodnie z prawem, deportowały go do Polski. Gdy rozmawiałam z nim na przestrzeni kilku miesięcy, był coraz bardziej samotny; próbował związać koniec z końcem na łasce polskiego systemu azylowego i nieuczciwych pracodawców i wielokrotnie przeklinał to, że musiał wpaść w polskie procedury. Jego bracia już układali sobie życie w Niem-

• **Grudzień 2021, okolice Szudziałowa niedaleko granicy białoruskiej, wolontariusze i pogranicznicy przyjmują prośbę o azyl od syryjskich uchodźców.** FOT. AGNIESZKA SADOWSKA / AGENCJA WYBORCZA.PL



zech, wspierani przez szeroką sieć rodziny i przyjaciół. Co stałoby się, gdyby, jak w przypadku wielu innych osób, Straż Graniczna po pobycie w szpitalu wyrzuciła tego mężczyznę z powrotem na Białoruś?

•

Odpowiedź na to pytanie i nasza interpretacja tego zdarzenia różniłyby się w zależności od mnóstwa czynników. Gdyby był w dobrej kondycji i miał trochę szczęścia, uznalibyśmy, że choć jego podróż wydłużyła się i utrudniła, to ostatecznie skończyła lepiej, niż gdyby został zatrzymany w Polsce. Ale gdyby jego zdrowie lub warunki na szlaku pogorszyły się tak bardzo, że poważnie by zachorował – i być może zmarł – nazwalibyśmy to zbrodnią.

Wiemy, że niektóre osoby nie proszą o azyl, a inne tak. Wśród tych, które proszą, jest mniejszość, której Polska była faktycznym celem, i większość, która robi to w sytuacji podbramkowej – gdy zdrowie i warunki uniemożliwiają dalszą podróż. Jak służby powinny różnicować procedury wobec takich osób? Czy powinny być inne dla kobiet z dziećmi, a inne dla zdrowych mężczyzn? Czy powinny różnić się w zależności od pory dnia, roku, temperatury? Co, jeśli służby widzą te

Co z osobami, które nie mają szans na uzyskanie w Polsce azylu, bo są np. z Iraku? Aktywiści odpowiadają: „Przyjmijmy wnioski od wszystkich, a tych, którzy ochrony nie dostaną, deportujmy”. Jednak w praktyce to niewykonalne. Deportacje do Iraku są uzależnione od zgody cudzoziemca. Gdy odmówi, konsulat nie ma obowiązku wydania mu dokumentów podróжных. Ile osób po poniesieniu kosztów i trudów podróży dobrowolnie podda się deportacji? Jeśli są w detencji, konsekwentnie będą się jej sprzeciwiać, aż do wyjścia na wolność i wyjazdu z Polski.

Czy strażnicy powinni bezwzględnie przestrzegać prawa, o którym wiedzą, że jest masowo używane jako wytrych? Kontrowersyjność i moralny problem ze stawianiem takiego pytania rosną wraz ze skalą cierpienia i liczbą śmierci na granicy. Ale niezadawanie go nie sprawi, że zjawisko zniknie oraz że przestaną odpowiadać na nie politycy – przecząco, modyfikując prawo.

Fakt, że tak utrwaliliśmy narrację o „ludziach szukających ochrony w Polsce” i „służbach im to uniemożliwiających”, jest zadziwiający. Mówiąc np. o szlaku bałkańskim, nie twierdzimy, że „ci ludzie chcą tylko azylu w Macedonii Północnej”, nie domagamy się, by „Węgry przyjęły wreszcie

wiście każda sytuacja mogła się zdarzyć. Ale systemową praktyką na szlakach migracyjnych jest pozbywanie się lub niszczenie dokumentów przez samych migrantów. Ci, którzy o tym nie wiedzą, są instruowani przez przemytników. Nierówność paszportowa działa w tym kontekście odwrotnie: paszport egipski czy marokański nie chroni przed deportacją, a syryjski, afgański czy jemeński – owszem, bo do tych krajów Unia nie deportuje. Ta systemowa praktyka działa na wszystkich granicach: ostatnio była opisywana na przykładzie Irlandii, gdzie Pakistańczycy masowo podawali się za Afgańczyków, a Nigeryjczycy za Somalijszczyków. Na szlakach migracyjnych do Hiszpanii powszechne jest zaniżanie wieku, by zamiast w procedury deportacyjne trafić do ośrodków dla nieletnich.

Co z opowieścią o „małej Eileen” – czterolatce, której zaginięcie w lesie mieli zgłosić aktywistom jej wypchnięci na Białoruś rodzice? O sprawie pisały wszystkie media, interweniował rzecznik praw obywatelskich, a potem temat nagle się urwał. Wróciłam do postów i dziesiątków artykułów z tamtych dni: gigantyczne wzburzenie na polskie służby – „morderców”; na ich bierność i niedostateczne poszukiwania dziecka; grafiki porównujące Eileen do „dziewczynki w czerwonym płaszczyku”. A także nieliczne wątpliwości: dlaczego jedynym dowodem na istnienie dziewczynki jest zdjęcie fragmentu płaszczyka i buta, i zbywanie ich równie oburzonymi głosami: „Człowieku, czepiasz się szczegółów? Przecież dziecko może już nie żyć!”.

Dziś wiemy, że Eileen nie istniała. Była to jedna z opowieści, którą usłyszeli aktywiści i przekazali dalej. Odbiła się szerokim echem i stanowiła ważną część narracji o „dzieciach umierających na granicy”, którą utrwała teraz „Zielona granica”; na przykład podczas wyborczej debaty o dzieciach umierających na granicy mówiła Joanna Scheuring-Wielgus. Wydaje mi się, że nie wiemy o żadnym udokumentowanym przypadku śmierci dziecka na polskiej granicy. Nie oznacza to oczywiście, że takich nie było, chociażby po drugiej stronie granicy, i że nie powinniśmy mówić o takim ryzyku – ale na razie dyskutowaliśmy z wielkim oburzeniem o dziecku, które nie istniało.

Poza tym, że takie narracje umniejszają rozmiar tragedii, które faktycznie się na granicy zdarzają – śmierci dorosłych, głównie mężczyzn – to nie zastanawiamy się, co sami robimy tą ciągłą nadreprezentacją dzieci w opowieściach o migracji. Fakt, że to dzieci najlepiej wzbudzają empatię, wykorzystują nie tylko media. Jeden z ak-

Czy służby powinny różnicować procedury? Czy powinny być inne dla kobiet z dziećmi, a inne dla zdrowych mężczyzn? Czy powinny różnić się w zależności od pory dnia, roku, temperatury?

same, zdrowe i silne osoby, które po kilkunastu dniach już takie nie są i zaczynają prosić o azyl?

Wiemy, że jesienią i zimą 2021 r. odbywały się pushbacki rodzin z dziećmi i osób, które deklarowały chęć ubiegania się o ochronę w Polsce. Straż Graniczna często zaprzeczała, że konkretne opisywane przez aktywistów i media osoby faktycznie prosiły o azyl – a widzieliśmy przecież nagrania z ich prośbami i kartki, na których pisały, że chcą międzynarodowej ochrony. Wiemy też jednak, że w tym samym okresie Straż Graniczna przyjęła wnioski od kilku tysięcy osób (tylko od sierpnia do grudnia do strzeżonych ośrodków lub pod opiekę fundacji trafiło ich prawie 3,5 tys., w tym kilkaset dzieci). Większość z tych osób wyjechała z Polski tuż po wyjściu z ośrodków – w przypadku Irakijczyków było to ponad 86 proc.

ich wnioski o ochronę”. W netflixowych „Pływaczkach” syryjskie uchodźczynie wiedzą, że muszą unikać służb w poszczególnych krajach, bo „wsadzą ich do obozu, wezmą odciski palców i będą załatwione”. Ich losu nie odmienia serbski pogranicznik przestrzegający prawa azylowego, tylko otwarcie korytarza humanitarnego – przedstawienie przed Niemcy autobusów.

•

To, że procedury azylowe są strategią migracji, prowadzi do kolejnych komplikacji, o których nie wiemy, jak mówić, więc po prostu je przeinaczamy.

Od początku kryzysu słyszymy, że służby niszczą uchodźcom w lesie dokumenty. W „Zielonej granicy” polska Straż Graniczna pushbackuje Marokańczyka, a aktywiści znajdują jego podarty paszport. Oczy-

tywistów opowiadał Grynbergowi, jak ludzie w lesie prosili o pomoc, informując o dzieciach, których, jak się okazywało, nie było. Gdy sama pomagałam w ośrodkach dla uchodźców, ludzie notorycznie prosili mnie o ubrania i zabawki dla dzieci, które, jak się okazywało, również nie istniały – istniał za to rynek wymienny za papierosy i usługi. Pół biedy, jeśli mówimy o dzieciach nieistniejących – ale z prośbami o „buty dla rodzeństwa” dzwoniły do mnie dzieci istniejące, zmuszane przez rodziców.

Ratowanie życia może usprawiedliwić wiele. A co, gdy życie nie jest zagrożone? Trudno powiedzieć, bo przecież może być zagrożone za dwie godziny czy za tydzień. Czy podkolorowanie jakiejś historii, pominięcie i dodanie czegoś może być moralnym obowiązkiem? A czy wiemy, jakie skutki będzie miało w przyszłości? Zazdroszczę wszystkim, którzy nie mają wątpliwości.

Celem ludzi na szlakach migracyjnych i wspierających ich aktywistów nie jest przedstawianie szerokiego obrazu rzeczywistości, niuansów, ambiwalencji i zadawanie trudnych pytań. Migranci chcą przetrwać podróż i dotrzeć do celu. Aktywiści chcą im w tym pomóc, a ich rolą w szerszej perspektywie jest też rzecznictwo, kształtowanie postaw, „tworzenie zmiany”. Środkami do tych celów są zbieranie poparcia i fund-raising, który w branży humanitarnej często opiera się na dramatycznych obrazach i wywoływaniu silnych emocji.

Wydawałoby się to oczywiste, a jednak wcale takie nie jest, skoro po licznych materiałach o granicy, tworzonych tylko na podstawie relacji migrantów i aktywistów, bezkrytycznie podchodzimy teraz do obrazu rzeczywistości w filmie Holland i książki Grynberga. A twórcy sami podkreślają, że wartość faktograficzna wynika z wierności relacjom aktywistów.

Po dwóch latach pisania o migracji i kryzysie na granicy nie mam wątpliwości, że jesteśmy w procesie wytwarzania fałszywej wiedzy. Jej elementami są zwykłe fake newsy, jak historia Eileen; liczne przeinaczenia na poziomie samych faktów, ich przyczyn czy interpretacji; uparte pokazywanie wybranych fragmentów rzeczywistości i zupełne pomijanie innych.

W rozmowach z aktywistami wielokrotnie podważałam sens utrwalania takiej narracji. W odpowiedzi słyszałam, że asymetria dyskursu władzy zmusza nas do działania, w którym kategorii obiektywizmu i prawdy nie mają zastosowania. Komplikowanie perspektywy i zasada pluralizmu to „prawdopodobikizm”. „Sytuacja jest wojenna”, rzecznictwo praw człowieka jest w wiecznej defensywie; musimy zewrzeć szereg i walczyć jak najskuteczniej. Społeczeństwo obrazkowe jest bombardowane obrazami agresywnych migrantów – musimy więc odpowiedzieć równie mocnym i prostym przekazem.

Rozumiem krótkoterminowy cel – sprawdza się przy interwencjach, fund-raisingu i ogólnym zbieraniu poparcia. Ale czemu ma to służyć w dłuższej perspektywie?

Serwowanie odbiorcom przefiltrowanego i podmalowanego obrazu rzeczywistości (paternalistycznie zakładając, że całości nie udźwigną) działa, dopóki nikt nie chce podejść bliżej. Co, jeśli po obejrzeniu filmu Holland ktoś pojedzie na granicę, gdzie zamiast rodzin z dziećmi zobaczy faktyczny obraz szlaku migracyjnego – młodych chłopców niczym z okładek prawicowych mediów? Albo obejrzy w mediach społecznościowych sceny z przecinania płotu brzeszczotem i podważania łomem, a potem bieg do samochodu (z ikonką „ogień” i podpisem „game”). Lub te z przebiegania mostu na Odrze z podpisem „Inwazja na Niemcy” i podkładem z arabskiego rapu?

Nikt tego nie wyjaśniał, nie pokazywał, kim są ci ludzie i jak takie obrazy powstają. Nie wytłumaczył, że dzieci i kobiety zostają w kraju, a mężczyzna jedzie, by wysłać im pieniądze albo by ściągnąć ich potem legalną procedurą łączenia rodzin. Oraz że filmiki o „inwazji” i inne obrazy nasączone agresją to często reklamy przemysłników, a zgamifikowany obraz przygody „dla prawdziwych facetów” sypie się, gdy spojrzymy na zmęczone, przerażone twarze ludzi pokazujących do kamery kciuk na polecenie szmuglera.

Prawicowa narracja chętnie powie-li i wyolbrzymi takie obrazy. A ta aktywistyczna, zamiast je tłumaczyć, będzie je ukrywać albo podkreślać, że „to tylko prawicowa propaganda”. A co się stanie, gdy my je sami zobaczymy – a zobaczymy ich więcej niż bezbronných kobiet i dzieci?

Zapewne wywołają dysonans poznawczy, który będziemy chcieli jakoś zredukować. Może uznamy, że „dobro sprawy” tego wymagało, bo narracja wzbudzająca empatię ma szczytny cel, a ta strasząca i dehumanizująca ludzi jest po prostu obrzydliwa. Ale wydaje mi się, że nie jesteśmy tak elastyczni i empatyczni. Może poczuwamy się oszukani i to podwójnie – bo narracja, która miała odkłamywać tamtą, okazała się jeszcze bardziej nieprawdziwa. A może po prostu stwierdzimy, że to zbyt skomplikowane, nic tu się nie klei, a takich tematów lepiej unikać.

„Dobro sprawy” to kolejny ciekawy temat. Można tego dobra różnie bronić. Tak jak jest od lat z „dobrem Kościoła”. Można fanatycznie zaprzeczać i umniejszać znaczenie negatywnych zachowań czy mechanizmów albo przyznać, że są, i powiedzieć, jak się z nimi mierzymy.

Powyższy cytat aktywisty pojawił się w facebookowej dyskusji pod artykułem popularnonaukowym socjolożki Alicji Pałęckiej „Freezing Face Emoji: o komunikacji i autoprezentacji granicznej”. Tekst wyszedł poza paradygmat „uchodźca-ofiara i aktywista-zbawca” i analizując strategię komunikacji ludzi na granicy, pokazywał, jak organizują sobie pomoc od aktywistów. Pałęcka przeciwstawiła typową narrację o „ludziach, którzy umierają w lesie” sformułowaniu podkreślającym ich sprawczość – „ludzie organizują sobie drogę do lepszego życia”.

W 180 komentarzach pod tekstem aktywiści uznali to sformułowanie za „głupie i szkodliwe”, a cały artykuł – za „dewaluujący pracę pomagających”, nierzetelny „gniot” pisany „bez włożenia na nogi mokrych butów uchodźcy”. Ktoś wyraził zdziwienie, że „teoretyczka poucza praktyka”, ktoś inny przypisał autorce „frustrację i niezadowolenie, a to nie jest postawa badawcza”; skrytykowano jej rzeczowy i pozbawiony emocji język, „nieodpowiedni”, gdy pisze się o kwestiach życia i śmierci. Podważono też sens powstawania takich artykułów, skoro „mamy tyle relacji aktywistów” (choć Pałęcka sama jest wolontariuszką Fundacji Ocalenie).

Zaledwie kilku aktywistów wypowiedziało się w innym duchu, pisząc, że tekst jest prawdziwy, choć niewygodny, bo dotyka pewnych tabu: „Ludzie z lasu realizują strategię przetrwania. Ty je znasz, ja je znam, znajomi z sieci pomocowej znają. Nie widzę powodu, żeby nie znali ich też inni. Lepiej wiedzieć i zrozumieć niż bronić się rękami i nogami”. W odpowiedzi inni pomagający argumentowali, że chociaż prawdziwy, to może być szkodliwy dla „dobra sprawy”.

To, że relacje aktywistów zyskały taką legitymację na początku kryzysu, jest zrozumiałe. Dla dziennikarzy, którzy nie mieli wstępu do strefy, były to jedyne źródła informacji, nie licząc rządowej propagandy. Niewiele osób zdawało sobie sprawę z tranzytowej roli Polski na tym szlaku, jakie jest prawo i co z niego wynika. Autorytet moralny ludzi, którzy ratowali życia

w lesie, w atmosferze państwowej nagonki, był niepodważalny.

Minęły już jednak dwa lata. Zmieniła się i sytuacja na szlaku, i nasza (również aktywistów) o niej wiedza, a narracja pozostała ta sama. Od kilku miesięcy zastanawiałam się nad mechanizmami, które sprawiły, że dziennikarze i inni twórcy po prostu podążają za dyskursem aktywistów, nie podważając go, nie weryfikując informacji i tworząc przez to narracje często nielogiczne, a czasem po prostu nieprawdziwe. Zastanawiałam się nad tym, dlaczego sama napisałam tyle tekstów „w duchu aktywistycznym”, na początku z pełnym przekonaniem, a dopiero potem z rosnącym poczuciem ambiwalencji i zdezorientowania.

Doszłam do wniosku, że ten mechanizm dość dobrze opisuje teoria cultural (cognitive) capture, opisująca, jak podmioty, które mają pa-trzeć na ręce danym grupom interesu, wskutek m.in. lobbingu zaczynają przyjmować ich punkt widzenia jako własny. Teorii tej używa się do wyjaśniania przyczyn kryzysu finansowego – np. jak dochodzi do tego, że organy regulacyjne zaczynają „myśleć jak bankierzy” i wprowadzać rozwiązania korzystne dla nich, a zgubne dla interesu publicznego. Według teorii takie kognitywne przechwyce-nie umożliwiają trzy czynniki, które odgrywają, moim zdaniem, ogromną rolę w relacjach aktywistów z dziennikarzami: tożsamość, relacje i status.

Regulatorzy finansowi czuli się częścią tej samej co bankierzy bańki – ludzi Wall Street, pracowników sektora finansowego, absolwentów tych samych studiów. Jedni i drudzy stykali się fizycznie w pracy, na lunchach, eventach branżowych czy odbierając dzieci z tego samego przedszkola. Wyższe zarobki i ogólny glamour bankierów sprawiał, że regulatorzy podświadomie postrzegali ich status jako wyższy od swojego – a to automatycznie interpretujemy jako większą wiedzę i autorytet. Te trzy czynniki stopniowo wytwarzały w regulatorach – ostatecznie zwykłych ludziach – poczucie, że bankierzy mogą wiedzieć lepiej, co jest dobre dla amerykańskiej ekonomii. Aspekt relacji zwiększał też konformizm regulatorów, bo ludzie naturalnie unikają konfliktów w swoich środowiskach.

Podobne mechanizmy widzę w relacjach między aktywistami, którzy są grupą interesu realizującą konkretne cele, i dziennikarzami, których rolą jest weryfikacja informacji, podważanie nieprawdziwych narracji i zadawanie trudnych pytań.

Aktywistów pracujących na granicy i piszących o niej dziennikarzy łączy poczucie przynależności do szeroko rozumianej bańki lewicowo-liberalnej, chęć przeciwstawienia się narracji rządu i prawicowych mediów czy postrzeganie siebie jako osób wrażliwych, otwartych i chcących zrobić coś dobrego. Chcemy jak najbardziej odróżnić się od brunatnej TVP, zając słuszne miejsce w pojedynku dobra i zła. Pisząc o granicy, spotykamy się z aktywistami, śpimy w ich domach, chodzimy na interwencje i siłą rzeczy zacieśniamy koleżeńskie relacje. Największą rolę pełni jednak ich status: aktywiści ratują ludzi; ich misja jest szczytniejsza niż nasza, interes ważniejszy, autorytet – niepodważalny. To bohaterowie, półbogowie, „sprawiedliwi”, a relacji takich osób się nie kwestionuje. Doświadczenia skrajnych sytuacji i traum dają im legitymację, przy której dziennikarz, badacz czy inny twórca piszący coś zza biureczka na podstawie danych może poczuć się jak imposter.

Mnie te miękkie mechanizmy wpływu pokonały. Przez dwa lata słuchania, czym jest „etyczne dziennikarstwo”, czytania przeróżnych „ściąg dla dziennikarzy – jak pisać mądrze” i dziesiątkach mniej lub bardziej subtelnych sugestii, co napisać „trzeba”, „czego nie wolno” lub „o czym będzie można mówić dopiero, jak się wszystko skończy”, dokonywałam różnych mikro-

wyborów, które sprawiły, że dziś uważam swoje teksty za w dużej mierze nieprawdziwe.

Były prośby o pominięcie pewnych faktów, delikatne dodanie innych, zasugerowanie czegoś, by polepszyć wymowę tekstu: Czy nie mogłabym wyciąć zdania, że migrant był zamożny i zapłacił 12 tys. euro za podróż? Przecież to młyn na wodę dla prawicy. Czy mogłabym usunąć ten akapit? Może zaszkodzić ruchowi pomocowemu. Wyjście poza czarno-białą narrację? Dzieje się zło, nie ma sensu arendtyzować. Coś jest po prostu ciekawe? Zawodowy egoizm, nieetyczne dziennikarstwo. Obiektywizm? Na granicy sytuacja jest wojenna.

Wbrew naszym wyobrażeniom klasa średnia czy „inteligentka” nie jest przychylna masowej migracji – i w kampanii wyborczej wyraźnie to zakomunikowała. W atmosferze antymigracyjnego wzmożenia film Holland odegrał funkcję raczej karnawałową: popłakaliśmy nad losem pewnych muzułmańskich uchodźców i spokojnie wróciliśmy do straszenia muzułmańskimi migrantami. A ludzie na europejskich granicach nie potrzebują naszych lez i krótkich fal moralnego wzburzenia – tylko legalnych ścieżek masowej migracji zarobkowej.

Przed wszystkim jednak mam wątpliwości, czy skrajnie uproszczone i polaryzujące przekazy są tym, czego dyskusja o migracji – jednym z najważniejszych zjawisk XXI wieku – potrzebuje najbardziej. Późorne pytania: „czy naprawdę chcemy, by w lesie umierały dzieci, bo Polska odmawia im prawa do ochrony?” lub „Czy chcemy powtórzyć zagładę – obojętnością, denuncjowaniem, wywożeniem ludzi ich na śmierć?”, nie służą niczemu oprócz utwierdzenia się w fałszywym poczuciu moralnej wyższości własnej bańki. Nieregularnej migracji nie da się zamknąć w kategoriach „walki dobra ze złem” i w holocaustowych skryptach, odpowiedzią na nią nie jest „po prostu przestrzeganie obowiązującego prawa”.

A kryzysu na granicy polsko-białoruskiej nie rozwiążemy tak, jak wewnętrz-nego konfliktu strażnika z „Zielonej granicy” – po prostu przepuszczając ciężarów-ki przemysłnika do Niemiec. Możemy uruchamiać wieczne skrypty, obsadzać się w dobrze znanych rolach i zasłaniać przysłowiową „matką z dzieckiem”. Prawdziwe dylematy i pytania będą narastały gdzieś obok. ●

***Małgorzata Tomczak** – socjolożka, dziennikarka freelance. Publikuje w OKO.press i „Balkan Insights”.



Nasz reporter na statku Lekarzy bez Granic

• Dlaczego „Geo Barents” marnuje czas i ropę, żeby uratować 29 migrantów, choć ma miejsce dla 630

• Drugiego dnia na pokładzie zabawiłem się w prawicowego trolla z polskiego internetu

• Alarm rozległ się o 10.30. O 11.10 na pokład wspina się pierwszy uchodźca

• Całą niedzielę spędzam z nimi. Wciągamy na pokład plastikowe reklamówki z mokrymi koszulami, oglądam blizny po torturach

Cykl korespondencji z Morza Śródziemnego – tylko na Wyborcza.pl/magazyn

To będzie opozycja totalna

Duda osamotniony, Mastalerek zneutralizowany, Morawiecki upokorzony, Szydło dotknięta, Błaszczak namaszczoney. A Kaczyński zadowolony: nikt go nie rozliczy, złe emocje rosną, z oblężonej twierdzy nie ucieknie żaden poseł.

Dominika Wielowieyska

Jarosław Kaczyński nakręca wojnę totalną, bo wie, że to betonuje jego pozycję lidera i uniemożliwia rozliczenia za klęskę wyborczą. A to dla niego sprawa kluczowa i jest gotów wiele poświęcić, by utrzymać władzę w PiS, nawet kosztem gorszego wyniku w zbliżających się wyborach samorządowych. Poza tym prezes na emeryturę się nie wybiera. Wzmianki o ewentualnych następach to – jak zwykle – zasłona dymna. W swoim obozie ma sytuację idealną: żadna z frakcji nie dominuje, można je rozgrywać przeciwko sobie.

Kaczyński, jak tylko podniósł się z powyborczego covidu, ruszył do ataku. Obraża opozycję i straszy utratą suwerenności. Może sobie na to pozwolić, bo Unia Europejska w tej chwili nie jest mu do niczego potrzebna. W Krakowie w czasie Święta Niepodległości wołał: „Polska nie będzie państwem, nie będzie suwerenna i niepodległa. Czy my mamy prawo się na to zgodzić?”. I zapowiedział: „Jeśli musimy tę walkę podjąć, musimy to zrobić bardzo szybko i energicznie. Każda wielka akcja musi się od czegoś zacząć, musi mieć moment zapalny. Chcemy, by w styczniu odbyła się w Warszawie konferencja wszystkich sił patriotycznych”.

A na koniec dorzucił: „Jak się walczy o niepodległość ojczyzny, każda cena jest do zapłacenia. I w wymiarze szerszym, i osobistym”.

Przemówienie zdumiewające i groźne. Prezes PiS nawiązywał do dyskusji o likwidacji prawa weta w UE. Ale droga do zmian traktatów jest odległa – taki pomysł pojawił się w Parlamencie Europejskim, lecz musiałyby go zaakceptować jednogłośnie kraje członkowskie. Czemu prezes uderza w wysokie tony? Czyżby chciał coś pod-suflować o wojnie domowej?

Moi rozmówcy przekonują, że szef autentycznie jest wzmożony w sprawie weta. Ale też zauważają, że wiek robi swoje: Kaczyński im starszy, tym bardziej postrzega otaczający go świat, włącznie z USA i Unią, jako zagrożenie. I choć to zdumiewające, on naprawdę wierzy, że istnieje zewnętrzny spisek przeciwko Polsce, który ma osłabić jej pozycję.

Zwariował? Nie, bo jednocześnie na chłodno uważa, że ten przekaz będzie skuteczny. Że nie popełnia błędu, podtrzymując ostrą retorykę, która zmobilizowała elektorat opozycji demokratycz-

nej – bo nie dba o polityczne centrum.

A powinien – suflują kierownictwu PiS zaprzyjaźnieni analitycy – bo bez tego centrum PiS nie będzie wygrywał wyborów. Ale część zaplecza partii przyjmuje z uznaniem te bojowe okrzyki. Wojciech Mucha związany z „Gazetą Polską” Tomasza Sakiewicza napisał na platformie X (dawny Twitter): „Nie wiemy, jak PJK [Prezes Jarosław Kaczyński – od kilku lat na prawicy panuje moda na „amerykański” styl, skrótowce i akronimy] takie środowiska definiuje i na czym ma to polegać. Oby nie na mieszanii herbaty bez cukru. Wydaje się jednak, że świadomość powagi sytuacji jest pełna. Przynajmniej u PJK, bo miny niektórych członków aparatu znudzone i to też powinno być przedmiotem refleksji”.

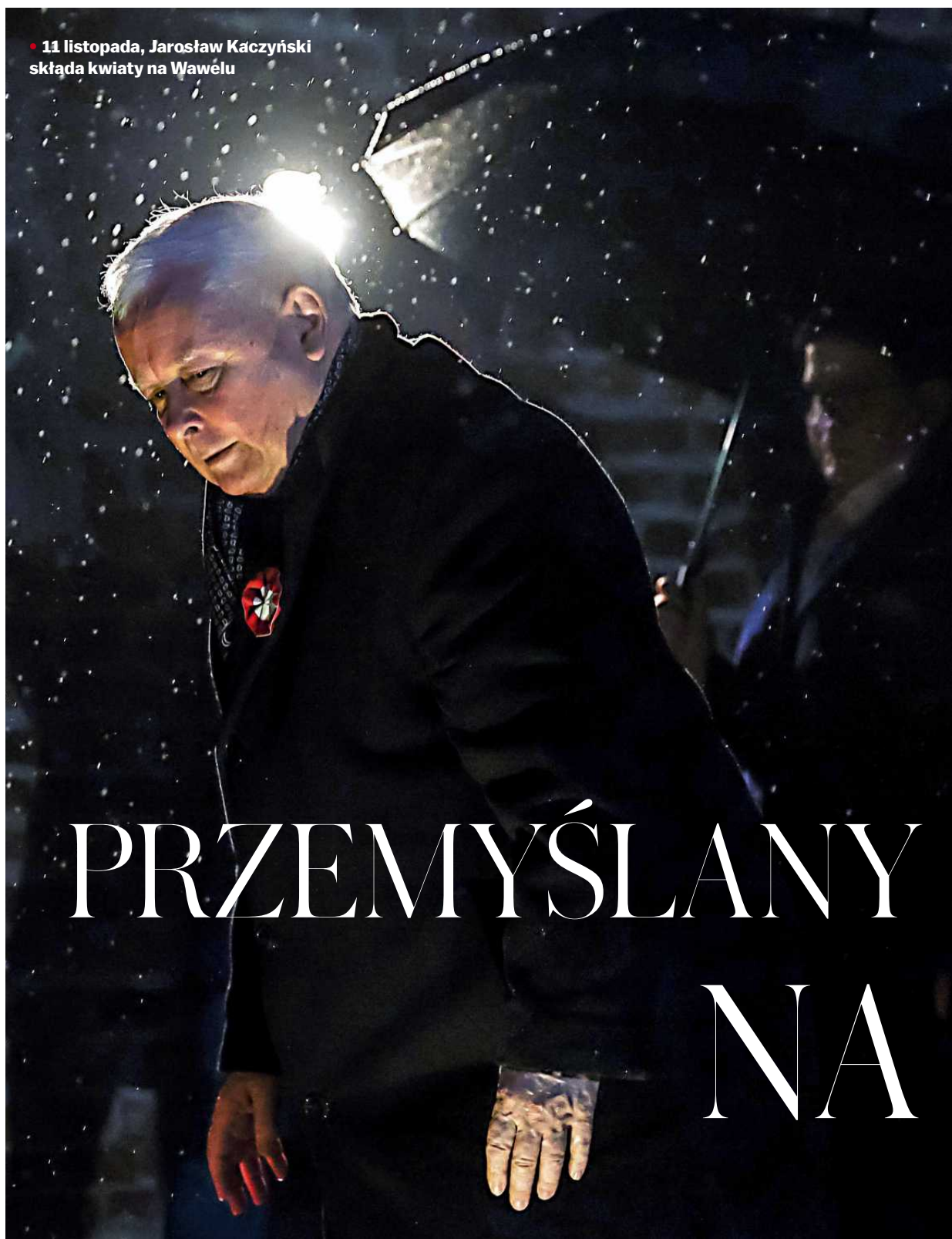
Aparat jest znudzony, bo zna tę melodię. Prezes mobilizuje zaplecze. Stawia na polaryzację, mówi o „anihilacji” państwa polskiego, niemieckim rządzie Tuska i nazywa lidera KO „lumpem”. Cel jest jasny: zniszczyć już w zarodku wszelkie dyskusje o tym, dlaczego PiS stracił władzę. Na wojnie o niepodległość o takich rzeczach się nie dyskutuje – i dlatego trzeba podkręcić wzmożenie u takich postaci jak Wojciech Mucha. Aby jakoś przykryć fakt, że PiS stracił władzę z winy Kaczyńskiego. Przy-czyniła się do tego m.in. decyzja Trybunału Przyłębskiej w sprawie aborcji w 2020 r.

To polecenie Julii Przyłębskiej wydał sam prezes. Wtedy jego cel był podobny: chciał utrzymać spójność obozu, a skrajni konserwatyści zaczęli mu się buntować z powodu tzw. piątki dla zwierząt, wywołał więc wojnę aborcyjną, bo wojna zawsze konsoliduje jego obóz. Ale był też skutek uboczny: w 2020 r. PiS stracił około 8 punktów procentowych i nigdy tego nie odrobił. Inne przyczyny to Polski Ład Mateusza Morawieckiego, który miał nadać nowy impet zużytej już władzy, odświeżyć propagandowy, wizerunek państwowców i reformatorów, a został okrzyknięty „polskim bezładem”, oraz zmiany w naliczaniu składki zdrowotnej – podnosi to wciąż Suwerenna Polska, która z premierem walczy. A także afera wizowa, która osłabiła przekaz o imigrantach.

Do tego drożyzna, błędy popełnione w czasie pandemii i niewiarogodny nepotyzm oraz pazerność skutkująca rozkradaniem państwowych pieniędzy. A także to-porny przekaz, kampania przeciwko Tuskiowi, która zamieniła się we własną karykaturę i uczyniła z PiS partię obciachu. Weźmy choćby słynny spot z prezesem, który oznajmia niemieckiemu dyplomacie, że „Nie ma już Tuska i te zwyczajnie się skończyły”.

Te idiotyzmy zmobilizowały młodych i zapewniły rekordową frekwencję. Za taki kurs na ścianę odpowiada sam Kaczyński. A utrzymanie tej strategii oznacza, że elektorat koalicji demokratycznej będzie nadal aktywny i PiS może stracić sporo w wyborach samorządowych.

Ale one dla Kaczyńskiego są mniej ważne. Ważniejsze jest utrzymanie jedności obozu i brak rozliczeń lidera. Kaczyński był wściekły, że Paweł Kukiz, Marek



KACZYŃSKI IM STARSZY, TYM BARDZIEJ WIERZY, ŻE ISTNIEJE ZEWNĘTRZNY SPISEK PRZECIWKO POLSCE

Jakubiak i Jarosław Sachajko tak błyskawicznie, bo niespełna miesiąca po przegranej, opuścili klub. Uznał ich za zdrajców, wyartykułował to jednoznacznie w poniedziałek na spotkaniu z posłami. Szczególnie zły jest na Jakubiaka, który dostał dobre miejsce w Warszawie i sukces zawdzięcza temu, że został dopuszczony do TVP Info.

Trzeba więc zrobić wszystko, aby Kukiz z kolegami nie znaleźli naśladowców i nie zaczęli wyciągać kolejnych posłów. Logika totalnej wojny temu sprzyja: jeżeli się walczy o niepodległość Pol-

ski z najeżdżącą z Unii i Niemiec, to nie można osłabiać obozu niepodległościowego. Dlatego Kaczyński wyznacza na kandydatów na wicemarszałka Sejmu i Senatu osoby niestrawne dla obozu demokratycznego – to pozwala mu jeszcze bardziej nakręcać emocje i prezentować się w roli męczennika. Prezes wie, że elektorat demokratyczny nie zaakceptowałby w prezydium Sejmu osoby, która jest oskarżana o notoryczne łamanie regulaminu – i celowo wystawił Elżbietę Witek. Oraz Marka Pęka, który nazywa Tuska zdrajcą, a senatorów „większością pro-rusyjską”. Zresztą takich harcówników prezes uwielbia. A że w efekcie PiS, było nie było wielki klub, nie ma wicemarszałka? Tym lepiej. Kaczyński nie zgłosi nowych kandydatów, bo nie mając przedstawicieli PiS w prezydiach obu izb, może kreować się na ofiarę.

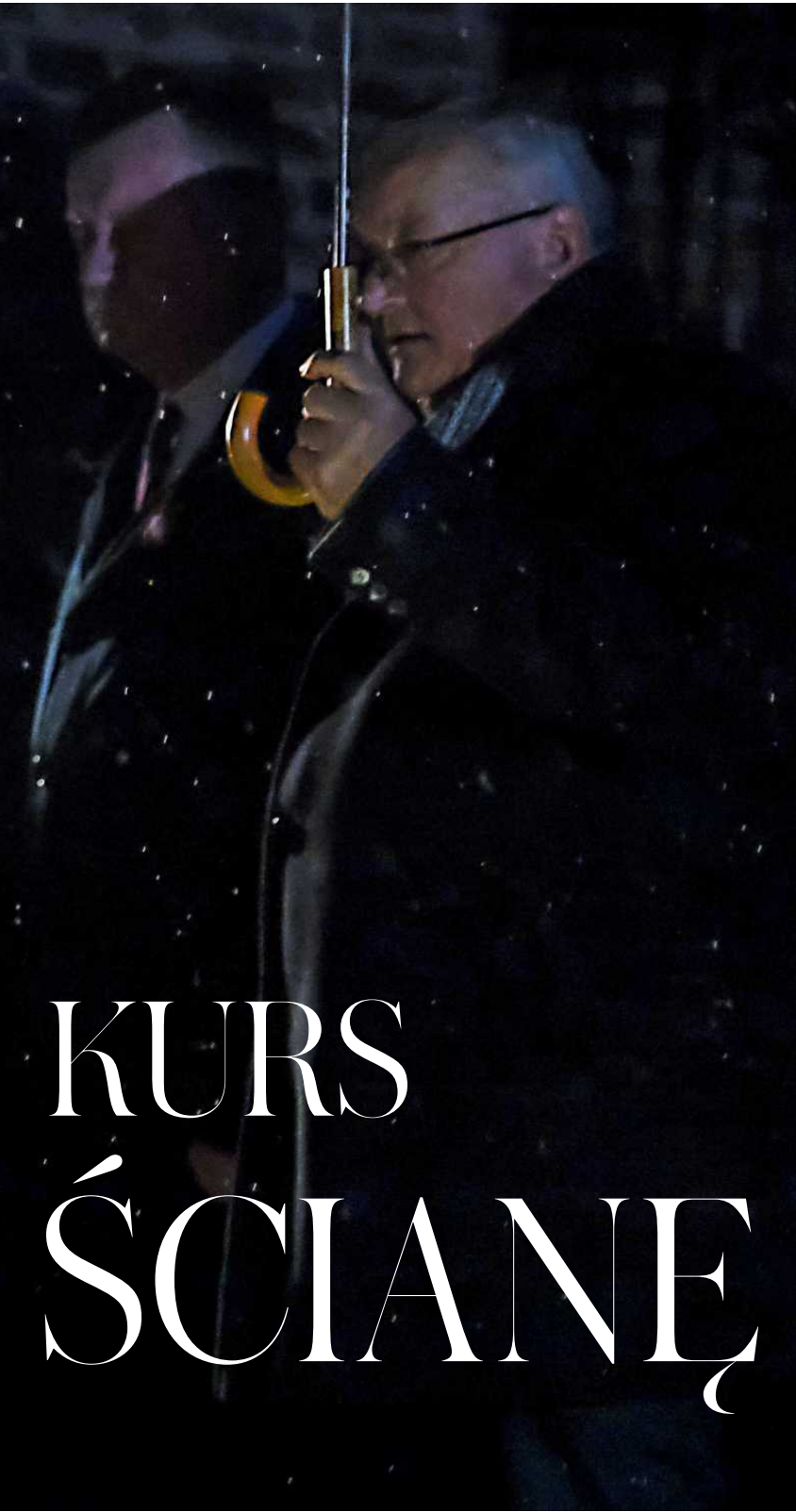
Poza tym Nowogrodzka nie chce, aby pojawiła się jakakolwiek nić porozumienia między PiS a PSL, tak jak to sobie zaplanował szef gabinetu prezydenta Dudy Marcin Mastalerek. Logika wojny zmusi także Dudę do trwania przy PiS, bo w innym przypadku zostanie oskarżony o zdradę. Mastalerek został więc przez prezesa już zneutralizowany i powtarzane frazesy o koalicji

polskich spraw, a więc inwestowanie w dobre relacje z PSL z myślą o dłuższej perspektywie, nie mają większego znaczenia. Prezes Mastalerkowi podciął skrzydła.

Relacje prezesa z Pałacem Prezydenckim są jeszcze gorsze niż przed wyborami. Kaczyński jest oczywiście niezadowolony, że los PiS po części zależy od dobrej woli prezydenta. W wywiadzie dla PAP zaczął dywagacje na temat ewentualnego następcy i wspominał o ustąpieniu już w przyszłym roku. Oczywiście to ściema: Kaczyński nikomu władzy nie zamierza przekazywać. Zaczęto więc doszukiwać się ukrytego sensu w słowach prezesa o tym, że w przyszłości na czele tego obozu powinna stanąć osoba o długim stażu w partii. To siłą rzeczy wykluczało premiera Mateusza Morawieckiego, który wciąż jest po części ciałem obcym, natomiast wskazywało na Mariusza Błaszczaka, który został namaszczoney na szefa klubu parlamentarnego w nowej kadencji. Jednak wedle moich rozmówców słowa Kaczyńskiego nie były wymierzone w premiera, lecz w Mastalerkę. Prezes dał do zrozumienia, że wszelkie koncepcje Pałacu Prezydenckiego – dotyczące nowego układu w obozie PiS – będą skutecznie neutralizowane.

Oczywiście prezes utrzymuje relacje z Pałacem: ma kilku po-

FOT. JAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL



KURS ŚCIANIE

slańców, np. Beatę Szydło, Elżbietę Witek czy Jacka Sasina albo Pawła Szrota. Ale sam spotykać z Dudą się nie chce.

Właśnie ta logika wojny, którą narzucił prezes, zmusiła Dudę do desygnowania Morawieckiego na premiera. W innym przypadku prezydent byłby oskarżony o zdradę. Fotki z Tuskiem, któremu Duda powierza misję tworzenia rządu, byłyby dla elektoratu i aparatu PiS nie do przelknięcia.

Czy ta cała operacja z Morawieckim i udawaniem, że ów stara się skłęcić jakąś większość, nie ośmiesza ustępującego premiera? Czy głosowanie i rezygnacja nie będą dla niego upokorzeniem? Takie obawy w otoczeniu Morawieckiego oczywiście się pojawiają, dlatego jego ludzie suflują, aby ostatecznie nie dopuścić do głosowania nad wotum zaufania dla nowego rządu, tylko przeciągnąć procedurę tak długo, jak się da, i tuż przed ostatecznym terminem zrezygnować.

Nie ma jednak decyzji w tej sprawie, podejmie ją oczywiście Nowogrodzka, która specjalnie nie przejmuje się opiniami ludzi premiera. A Morawiecki polecenie wykona bez szemrania. Od zawsze funkcjonuje na tej samej zasadzie: jeśli ma wątpliwości co do decyzji Kaczyńskiego, to mu to komuniku-

je. Na wewnętrznych spotkaniach mówił, że decyzja o aborcji jest błędem, twierdził także, że „wyborów kopertowych” nie da się zorganizować (Sasin z kolei wmawiał prezesowi, że się da), i mówił, że bez wstrzymanego przez Unię załamanie praworządności Krajowego Planu Odbudowy będzie trudno wygrać wybory. Ale zawsze podporządkowywał się decyzji Kaczyńskiego i robił wszystko, co kazała Nowogrodzka. Nawet jeśli – jak w przypadku „wyborów kopertowych” – miała mu grozić za to odpowiedzialność karna.

Wrogowie Morawieckiego suflowali Kaczyńskiemu, że jest on słabym ogniwnem, że gdy PiS straci władzę, może wrócić do starych kolegów z PO. Lecz szef rządu jest konsekwentny, nie daje Kaczyńskiemu żadnej okazji do podejrzeń, nigdy nie grał za plecami prezesa, unika jak ognia sytuacji, które mogłyby być tak interpretowane. Część obozu chce zrobić z Morawieckiego kozła ofiarnego odpowiedzialnego za klęskę, ale to się raczej nie uda. Opowiadając niewiarygodne głupoty na temat Tuska, premier realizował wszystko to, co kazali mu Kaczyński i sztab wyborczy.

Wiczej: dziś Kaczyński podtrzymuje tę głupawą retorykę i nikt się nie buntuje. Jeżeli Adam Bielan opowiada w Polsce, że PiS stracił

władzę z powodu zbyt miękkiej retoryki wobec Tuska, to nie dlatego, że to koncepcja Bielana, i nie dlatego, że Bielan w to wierzy, ale dlatego, że Kaczyński obrał taki kurs. I każdy, kto chce się utrzymać w głównym nurcie partyjnym, musi to za prezesem powtarzać.

Operacja z Morawieckim, która może o miesiąc opóźnić powstanie rządu Tuska, ma też inne zalety z punktu widzenia interesów PiS. Moi rozmówcy podnoszą, że jednak spora część obozu rządzącego jest w szoku, była bowiem przekonana, że są w stanie utrzymać się przy władzy. Morawiecki, przedłużając ich żywot na posadach o miesiąc, chce zaskarbić sobie ich wdzięczność. W końcu nikt nie lubi być zwalniany tuż przed świętami – jak napisało „Do Rzeczy”. Poza tym nie wszystko było dopięte na ostatni guzik, jeśli chodzi o betonowanie systemu, więc teraz trwają gorączkowe uzupełnienia, na przykład – jak napisała „Rzeczpospolita” – przeniesienie kontroli inwigilacji do prokuratora krajowego, którym jest kolega Zbigniewa Ziobry, Dariusz Barski. I zgodnie z uchwaloną tuż przed wyborami ustawą nie można go odwołać bez zgody prezydenta.

Działacze PiS podpisują dodatkowe umowy, które im zapewnią odprawy, sadowią się na kolejnych stanowiskach, a jak się ich stamtąd wyrzuci, to będą żądać odpraw, pójdą do sądu. Proces wypompowywania pieniędzy publicznych do prywatnych kieszeni trwa i trwać będzie do ostatniej chwili. A ta beczelność prowokuje powszechne oburzenie i emocje rosną. Wszystko więc idzie po myśli prezesa: napięcia na posiedzeniach Sejmu go cieszą. Klub PiS ma już syndrom obłąkanej twierdzy, a skoro tak, to nikt nie będzie wypuszczał się na własną rękę poza jej mury, bo wie, że może się to dla niego źle skończyć.

A więc PiS wciąż ma instrumenty, by zapobiec rozliczeniom, zabetonował prokuraturę, ma swojego prezydenta i będzie swoich bronił do upadłego. Tylko niektórzy w partii nieśmiało podnoszą, że może warto sięść do stołu, coś uzgodnić, choćby z PSL, gdzieś się dogadać. „Biedacy wierzą, że tak wygląda polityka i jeszcze nie do końca zrozumieli taktykę prezesa. Ale spokojnie, zaraz zostaną przywołani do porządku” – słyszę.

Nawet Suwerenna Polska jest na razie zdyscyplinowana. Nie ma silnej pozycji politycznej i wie, że bez wsparcia Nowogrodzkiej oddanie władzy może się dla niektórych działaczy źle skończyć. Poza tym Patryk Jaki i Beata Kempa chcieliby jeszcze raz znaleźć się w Parlamencie Europejskim, a wybory już w czerwcu. Nowogrodzka zakłada, że poniesie jakieś straty w kwietniowych wyborach samorządowych, ale liczy na odbicie w europejskich, kiedy frekwencja jest słabsza i walka toczy się na najtwardsze, najbardziej zdyscyplinowane elektoraty.

Skrajnie antyunijna retoryka Kaczyńskiego ma też odebrać ten Konfederacji. Zresztą PiS liczy, że w wyborach europejskich będą dwa osobne komitety Konfederacji. Bo Janusz Korwin-Mikke się nie podda i zmontuje swoją listę. To Kaczyńskiego cieszy, bo wtedy już Ziobro na pewno będzie posłuszny.

Prezes jest więc zadowolony: może zarządzać dalej obozem, nاپuszczając jednych na drugich, żadna frakcja nie ma przewagi, a w dodatku faktycznych animozji jest sporo. Ziobro ma swoją drużynę dziewiętnastu posłów. Morawiecki też ma kilkunastu ludzi oraz wpływowych sojuszników, takich jak Ryszard Terlecki, Marek Kuchciński, a nawet Marek Suski, który niegdyś premiera nie znośił, ale zapalał miłością do szefa rządu po tym, jak Jacek Sasin usiłował na jego listę wepchnąć minister klimatu Annę Moskwę, a Morawiecki go z tego wybawił. Po drugiej stronie barykady są Błaszczak, Sasin, Szydło oraz Witek – ale i w tym gronie nie ma jedności. Kaczyński sprawnie skłócił Szydło z Witek, eksponując ją w pierwszym szeregu kosztem byłej premierki.

Każda frakcja czegoś tam od Nowogrodzkiej chce, ale Kaczyński traktuje to ze spokojem. Ludzie Morawieckiego uważają, że prezes powinien promować młodych działaczy związanych z szefem rządu, którzy mieli bardzo dobre wyniki indywidualne – na przykład Waldemar Buda przeskokczył w Łodzi jedynekę, czyli ministra spraw zagranicznych Zbigniewa Raua. Piotr Müller, rzecznik rządu, też

ZWOLNIENI Z TVP LUDZIE JACKA KURSKIEGO PISZĄ DLA KACZYŃ- SKIEGO RAPORT O PRZYZY- NACH PRZEGRANEJ

miał niezły wynik. Podobnie jak Kacper Płażyński, krytyk i samorządowy rywal zamordowanego prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza, którego wymieniano na giełdzie nazwisk potencjalnych kandydatów na prezydenta.

Ale Nowogrodzka Płażyńskiego nie lubi, uważa, że jest zbyt arogancki, leniwy, a dobry wynik ma tylko dzięki nazwisku i popularności ojca Macieja – cenionego na koncyliacyjność, zasady i skupienie na interesie państwa współzałożyciela PO i wicemarszałka Senatu, który zginął w katastrofie smoleńskiej – więc Płażyński zaczął publicznie głosić, że nie, on wcale nie myśli o wyborach prezydenckich, wie, że jest za młody i za mało ma doświadczenia. To miało Nowogrodzkiej pokazać, że jest skromny i karny.

Wśród kandydatów na najwyższy urząd jest wymieniany Tobiasz Bocheński, wojewoda mazowiecki, który ma dobre relacje z szarą eminencją, wpływową przyjaciółką prezesa jeszcze z czasów Porozumienia Centrum Janiną Goss. Ma się sprawdzić w wyborach na prezydenta Warszawy i potem się zobaczy.

– Problem polega na tym, że wiele osób jest przekonanych, iż wybory prezydenckie uda się wy-

grać, stosując idealną kalkę strategii z 2015 roku. Wyciągnie się jakiegoś młodego, mało obciążającego kandydata i odpowiednio się go podpromuje. A tak wcale nie musi być. Decyzja, kogo PiS wystawi, może zależeć od tego, kogo wskaże druga strona – mówi jeden z moich rozmówców. Nowogrodzka podejrzewa, że może to być jednak Tusk, a wtedy funkcję premiera przejmie Rafał Trzaskowski. I wówczas wariant z młodym, niezużytym politykiem miałby sens. Natomiast ewentualną kandydaturę Szymona Hołowni Nowogrodzka lekceważy i uważa, że lider Polski 2050 nie wszedłby do drugiej tury. Ale już raz Kaczyński się pomylił, nie doceniając Hołowni. Po debacie wyborczej liderów w TVP prezes był zachwycony, wychwalał Morawieckiego, uważał, że Tusk wypadł błodo. Ale umknęło mu to, że Hołownia zaprezentował się świetnie i podbudował dobry, dający opozycji większość, wynik Trzeciej Drogi.

Teraz – jak donosi Gazeta.pl – zwolnieni z TVP ludzie Jacka Kurskiego piszą raport o przyczynach porażki PiS. Bo wszyscy się zorientowali, że telewizja publiczna nie zapewniła przedłużenia władzy, więc stara ekipa Kurskiego usiłuje przekonać Nowogrodzką, że gdyby ona rządziła na Woronicza, wynik byłby inny.

Wśród osób, które analizowały działania TVP na potrzeby raportu, jest Jarosław Olechowski. Bliński „Kurze” szef Telewizyjnej Agencji Informacyjnej został odwołany w kwietniu 2023 r., zastąpił go Michał Adamczyk. Na wieść o tym, że Olechowski szykuje paszkwil na byłych kolegów z telewizji, ktoś stworzył konto na Instagramie, na którym pojawiły się jego fotki z podróży, w drogich ciuchach, z żoną chwalcącą się bardzo drogimi torebkami. Wróciły też informacje o niebotycznych pieniądzach, które Olechowski zarobił w TVP.

Kaczyński takie rozgrywki w swoim obozie uwielbia. To pozwala mu sprawnie manipulować całym towarzystwem, bez ryzyka, że ktoś za bardzo mógłby urosnąć na boku. Skłócone grupy zabiegają o względy prezesa, przychodzą i donoszą na siebie. Z jednej strony Morawiecki, z drugiej Błaszczak, z trzeciej Ziobro.

Tymczasem Duda właściwie z żadną z opcji nie ma sztafety: mógłby grać z Morawieckim, bo łączy ich pomysł współpracy z PSL, ale wbrew prośbom Morawieckiego, wysyłając ustawę o Sądzie Najwyższym do Trybunału Przylębskiej, zablokował KPO, o który szef rządu walczył.

Dlaczego to zrobił? W otoczeniu Morawieckiego można usłyszeć, że z powodów ambicjonalnych. To prezydent chciał być autorem sukcesu w sprawie KPO. Dlatego w 2021 r. zgłosił ustawę likwidującą Izbę Dyscyplinarną SN, dogadał się z szefową Komisji Europejskiej Ursulą von der Leyen. Ale PiS tę nowelizację prezydencką popsuł poprawkami i von der Leyen słusznie poczuła się oszukana, więc sukcesu nie było. Duda doszedł do wniosku, że jeśli jemu się nie udało odblokować unijnych pieniędzy, to nikomu nie może się udać – i popsuł Morawieckiemu plan.

Tak właśnie te frakcje wzajemnie się szachują i sobie szkodzą ku zadowoleniu prezesa. ●

Byłem na inauguracji Sejmu

WRÓCIŁO ZYCIE

Zrobili kółko wokół prezesa i toczą naradę.

Z ruchów jak w kisielu, z kiwania głowami wnioskuje, że to ich pierwsza od lat narada pozbawiona znaczenia, narada ludzi, którzy właśnie się zdziwili, że po latach klucz nie pasuje do zamka, karta kredytowa nie działa, samochód nie rusza, że coś się w życiu zepsuło

Tekst **Marcin Kącki**, ilustracja **Jacek Gawłowski**

Po ostrej imprezie na cześć zwycięstwa demokracji, która trwała od 15 października, stoję przed lustrem i myślę, czy warto się golić, skoro idę na inaugurację do Sejmu, z którego PiS zrobił polityczną żulernię. Ale dobra, golę się ostrym sarkazmem, niech mnie broni przed tym, co żegnamy, a jeszcze do kieszeni biorę „Cesarza” Kapuścińskiego, niech nam patronuje.

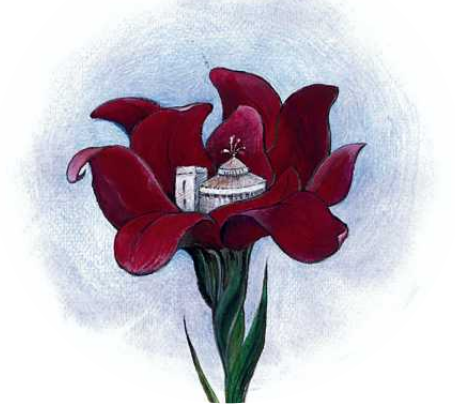
Pod Sejmem samochody VIP-owskie, kierowcy trzymają je na silnikach i drżenią, są też „kodziarze”, którym Kaczyński zrobił transfuzję i zamiast krwi płynie w nich gniew. Jest człowiek z kartką informującą, że jedna posłanka nie załatwiła jego życiowych spraw, człowiek z tabliczką, że PiS załatwił całą Polskę, i – niesłychane – właśnie patrzę, jak składane są bariery, którymi PiS odgradzał się od społeczeństwa, by na spokojnie, jak w cichym termitarium, przeżuwać na papkę prawo i sprawiedliwość.

Swoją majestat władza PiS ubrała w ten właśnie spokój, i to się czuje na bramce, przy patrolu służby ochrony państwa, znów na bramce, potem na rentgenach, legitymowaniu, ale nagle wchodzi się w korytarz lśniący od marmurów, kolumnad, czyli w ten majestat ostatnich lat. Ale jaśkółki zmian czuć, bo to pierwszy dzień, gdy dziennikarzom wolno biegać na dłuższe dystansy. I ja to czuję, gdy drogę przecina mi straż marszałkowska, a idą we dwóch, w mundurach, epoletach, rogatywkach, z szablami przy biodrach, i brzęczą, stukają oficerkami, ale nie zderzają się ze mną, tylko przepuszczają grzecznie, choć gdy byłem tu rok temu, to na widok plakietki dziennikarskiej łapali za kołnierz, że tu nie wolno i tam nie wolno. Kaczyński i ówczesny marszałek Marek Kuchciński zamknęli bowiem dziennikarzy w jednym korytarzu, z pouczeniem, że jak się nie umiesz zachować jak Holecka czy Rachoiński, to dalej nie wejdiesz.

Teraz to ja zaczepiam marszałkowskiego strażnika, dostojnego, młodego, który poszedł na tego strażnika, jak mi mówi, bo mundur w rodzinie, tata – policyjny, dziadek – wojskowy, i młody strażnik przyznaje, że lubi swój majestat i majestat tego korytarza, a jeszcze, jak rozumiem, być strażnikiem, który może nie wpuszczać, to wyższy majestat, niż tylko taki, co stoi i wpuszcza. Marszałek Kuchciński lubił w po-

przedniej kadencji chodzić w otoczeniu tej straży z szablami i w oficerkach, bo też lubił ten majestat, odpychali wtedy strażnicy dziennikarzy, aż marszałka zirytowało być może, że zaburzają ten majestatyczny marsz, i w końcu zamknął wszystkie korytarze dla dziennikarzy, które teraz powoli się otwierają.

NIESŁYCHANE, WŁAŚNIE PATRZĘ, JAK SKŁADANE SĄ BARIERKI, KTÓRYMI PIS ODGRADZAŁ SIĘ OD SPOŁECZEŃSTWA, BY JAK W CICHYM TERMITARIUM PRZEŻUWAĆ NA PAPKĘ PRAWO I SPRAWIEDLIWOŚĆ



Dochodzę do końca tego majestatu i widzę, że idzie na mnie jakiś szpaler, że dziennikarze się poderwali jak szaracza, a szpaler pędzi jak plug, a jeszcze idzie szybko, bardzo szybko, jak kolumna aut na autostradzie, spycha wszystko na pobo-

cze, bo w środku szpaleru, teraz to widzę, twarz prezydenta Andrzeja Dudy, który prawie biegnie popychany przez ten szpaler. Ciekawe, czy takie służby robią badania społeczne, czy śledzą trendy popularności i wzmacniają ochronę, gdy wychodzi, że obiekt ochrony nie jest zbyt lubiany społecznie i każą mu wtedy chodzić szybciej.

No i tu przywitajmy się z „Cesarzem” Kapuścińskiego:

„Tron dodaje godności, ale tylko przez kontrast z otaczającą go pokorą, to pokorność podwładnych stwarza potęgę tronu i nadaje jej sens, bez niej tron jest tylko dekoracją, niewygodnym fotelem o wytartym pluszu i pokrzywionych sprężynach”.

Prezydent Duda stoi już na trybunie sejmowej, dziękuje za przybycie notabom, i tu bardzo długa lista tych, których kierowcy stoją na silnikach, czyli generacja, ekscelencje, urzędnicy, kombataneci różnych wojen, wita Duda nawet jakiegoś prezydenta, ale chyba siebie miał na myśli albo się przejęzyczył, a dalej cytaty z Daszyńskiego, z Dmowskiego, o wojnie, o okupacji, a gdy potem mówi od siebie: że Polska jest zobowiązaniem; że trzeba się szanować; o przestrzeganiu konstytucji; o dobru obywateli; o suwerenności; że drzwi pałacu są otwarte dla wszystkich; że ostatnie osiem lat było dobre dla Polski; że będzie stał na straży; że porządek konstytucyjny musi zostać zachowany; i że swoje słowo traktuje poważnie – to można powiedzieć, że w przemówieniu prezydenta inaugurującego nowy Sejm prawdziwe były w zasadzie tylko zaimki, spójniki i jego garnitur. No i może jeszcze zdanie, że nie zawała się używać weta. Potem mamy premiera Morawieckiego na trybunie, który dostał misję tworzenia rządu, trudniejszą niż misję na Marsa, przy czym u Morawieckiego, gdy mówi o swoich sukcesach i zaprasza do współpracy, to prawdziwe są tylko oklaski z prawej i buczenie z lewej strony.

Potem jest ślubowanie posłów, z tym końcowym komunikatem, który uruchamia program „swoj-obcy”, no i Hołownia przysięgał na Boga, Kosiniak na Boga, a Tusk nie, i to jest raczej zapowiedź, że ten marsz nowej władzy przez Polskę nie odbędzie się bez pomocy saperów.

Patrzę z góry na galerię postaci, nowych i starych posłów, i widzę, że Kaczyński, który siedzi w pierwszym rzędzie, jest zmuszony cały czas patrzeć na twarz Tuska



ŚLUBOWANIE POSŁÓW, HOŁOWNIA PRZYSIĘGAŁ NA BOGA, KOSINIAK NA BOGA, A TUSK NIE, I TO JEST RACZEJ ZAPOWIEDŹ, ŻE TEN MARSZ NOWEJ WŁADZY PRZEZ POLSKĘ NIE ODBĘDZIE SIĘ BEZ POMOCY SAPERÓW

i Giertycha. Przechodzę nawet przez galerię, by zobaczyć to z innej perspektywy, i głowę dam, że widziałem na twarzy Giertycha uśmiech Hannibala Lectera. Kaczyński jawi mi się tam, w dole, jako taki mały wulkanik, obserwowany czujnie przez swoich sejsmologów z tylnych ław, wczulonych na najmniejsze drgnięcia, i gdy tylko inicjuje jakiś ruch, poderwanie, to sejsmolodzy też się podrywają, a gdy wulkanik wybucha, to z tyłu zaraz jest kilku chętnych, by dać wsparcie. I ciekawe, nie widziałem tego wcześniej, ale Kaczyński cały czas zaciera dłonie, jakby je nieustannie czymś smarował.

„Wszyscy ludzie otaczający cesarza są właśnie tacy – na kolanach i z nożem. Na szczytach nigdy nie jest ciepło. Więcej lodowate wichry, każdy stoi skulony i musi pilnować się, żeby sąsiad nie strącił go w przepaść”.

Soboda Szymona Hołowni natomiast, nowego marszałka, którego pisowcy testują na różne sposoby, wyszydzając, wyzywając, przerywając, dając nadzieję opozycji demokratycznej i myślę sobie, że to dobry marszałek na te czasy poppolityki. Bo nie wzorowa moralność, zasób intelektualny, dorobek życia, powiedzmy, naukowy, predestynuje w takim Sejmie do bycia marszałkiem, choć niczego nie odbieram Hołowni, napisał w końcu 20 książek o swojej drodze z Jezusem, ale predysponuje siarczystą puentą, sprytną ripostą, zawiadacki dowcip, czyli jak w telewizji, by utrzymać show i dramaturgię. Ale też, daj spokój, mówię sobie, przecież był i Lepper marszałkiem, i inne postacie, a przy nich marszałek Hołownia to kulturka, fason, erudycja, i nawet próbuję sobie wyobrazić, że marszałkiem miałby dzisiaj zostać ktoś pokroju Tadeusza Mazowieckiego, którego

by trzeba co chwilę cucić, bo zapadałby się pod ciężarem tego, co słyszałem ze strony law pisowskich, a czego nie słyszycie w telewizji i w sieci, bo nie dochodzi do mikrofonów.

Pytam fotoreporterów, co widzą na sali plenarnej, bo oni inaczej widzą przez swoje aparaty, potrafią uchwycić klimat chwili, porównać je z innymi chwilami, są jak albumy z kolekcją społecznych nastrojów. Widzę – mówi mi Piotr Wójcik, który portretował polską demokrację, gdy jeszcze laziła w pieluchach – że opozycja demokratyczna ze sobą rozmawia, i to jest szokująca nowa, już zapomniana. Rozmawiają, a nawet się uśmiechają, a nawet naradzają ze sobą, a to jest niezwykle, bo znowu coś mogą, bo przez osiem lat przychodzili tu, by patrzeć na tę maszynkę do głosowania, a oni tylko siedzieli, snuli się, bezradni, bo wszystko było ustalone, a teraz wróciło do nich życie.

Większość fotografii Piotra z rządów PiS, jak mi mówi, to uchwycone chwile bezradności i przemocy.

Krótką przerwą w obradach, idę korytarzem do Senatu, patrzę na marmurowy majestat Sejmu i czytuję o Bohdanie Pniewskim, architekcie, który przed wojną jako endek budował majestatycznie dla pilsudczyków, podczas wojny luksusowo dla bogatych, którzy nie ginęli, a po wojnie dla komunistów, między innymi ten Sejm majestatyczny, z poręczami kutymi w kształcie węży, ponoć nie na znak kąsania, lecz mądrości i roztropności. Pniewski budował dla każdego, kto miał pieniądze i kto dawał mu uznanie i luksusowe życie, ale jednak to był pasjonat, postać niejednoznaczna, raczej nie szmacił się dla chwilowego poklasku.

A oto już Senat, czyli taki chill out space, tu czas biegnie wolniej, to poczekalnia na to, co przyjdzie z Sejmu, a jeszcze przez pewien czas nic nie przyjdzie, więc panowie senatorowie, bo to głównie panowie, w wieku raczej emerytalnym, po zaprzysiężeniu stoją właśnie w kolejce do bufetu, w takich samych prawie garniturach, a obowiązuje teraz fason nieco obcisły, więc stykają się w tej kolejce brzuchami.

Staję za nimi, za mną staje Stanisław Karczewski, pisowski marszałek Senatu poprzedniej kadencji, który pilnował, by wyższa izba spadła do poziomu Nowogrodzkiej. No więc stoję i myślę sobie, ile w politykach PiS refleksji po tym, co zrobili z kobietami, demokracją, sądami, mediami, spółkami, wieżami w budowie, rodzicami niepełnosprawnych, szkołami, sąsiadami, historią, zwłaszcza że Karczewski to wykształcony człowiek, lekarz, na pewno ma refleksje, więc pytam, ale widzę go w tak dobrym samopoczuciu, wesołego, prawie w tańcu samozadowolenia, że pytam tylko, czy nie brakuje mu władzy. Ależ skąd, mam dokąd wracać, jakby co, mówi mi, rodzinę mam, dom mam, jestem lekarzem, mam swoje pasje, także komfortowa sytuacja, mówi i uśmiecha się, chyba nawet szczerze. Komfortowa sytuacja, no tak. No więc zawsze znajdują się ludzie, myślę sobie, gdy jem kaszę z pulpetem i kapustą, którzy ze swoimi domami, rodzinami, pasjami będą stać na straży demokracji, a potem ich samopoczucie będzie nadal komfortowe.

I tu pojadę ad hitlerum, ale przez zilustrowanie ludzkiej natury, nie przez historyczną analogię, rzecz jasna. Otóż w filmie „Strefa interesów”, który do Polski ściągnął właśnie Gutek Film, jest scena, gdy Hedwiga, żona Rudolfa Hossa, komendanta Auschwitz, robi awanturę mężowi, że ona nie godzi się na przeprowadzkę do Niemiec, że nie wyjedzie z tego domu, przy obozie, bo zbyt dużo wysiłku włożyła w „pielęgnację ogrodu”, a poza tym to „wspaniałe miejsce do wychowania dzieci”. Inna scena: gdy kolejny transport Żydów trafia na rampę i wśród krzyków, błagania, ognia karabinów za chwilę unosi się nad krematorium dym, żona Hossa przymierza futro, wiadomo po kim. Porywając wstrząsa ta scena, bo za oknem krzyki, a Hedwiga mruży ko-

kieteryjnie oczy, gdy patrzy w lustro, lekko podnosi nogę, by dopasować fason, robi półobrót, uśmiecha się do siebie w perspektywie wrażenia zapewne, jakie zrobi na koleżankach, które chwilę wcześniej musiały zadowolić się mało oryginalnymi kieckami, wiadomo po kim.

No więc chodzi mi o to, że gdy spojrzeć na historyczny koniec każdej autorytarnej epoki, to trudno w zeznaniach, wspomnieniach, kronikach znaleźć cokolwiek innego niż dobre samopoczucie – wykonanego zadania, awansu zawodowego, spełnienia, towarzyskiej aprobaty, a nawet zdziwienia, że w ogóle ktoś ma o coś pretensję, bo przecież wszyscy tylko pielęgowali swój ogród, by mieć komfortową sytuację. Bo czy możemy usłyszeć od nich coś innego?

Co usłyszeliśmy od Elżbiety Witek, nauczycielki historii z Jawora, gdy przepadała teraz w głosowaniu na marszałka i wicemarszałka? „Nie będzie innego kandydata poza mną” – powiedziała Witek, która do historii przejdzie jako wybitna telepatka czytająca w myślach prezesa, by niszczyć regulaminy sejmowe, łamać konstytucję, uprawiać prywatę, a salę plenarną zamienić w maszynę do mielenia przyzwoitości. A może jeszcze powie, że Bóg tak chciał, bo w końcu to ona zawierzyła pracę posłów i senatorów Matce Boskiej na Jasnej Górze.

Co usłyszemy od Julii Przyłębskiej, która dzięki Kaczyńskiemu w końcu przestała słyszeć zewsząd, że jest niekompetentną, podrzędną sędzią rejonową z uwalonymi wyrokami, z mężem „Wolfgangiem”? Ależ wiemy, co powie, i tylko ciekawi mnie, czy pani prezes się zaprze, czy pokojowo odda ten swój wypiełgowany ogród uznania, czy tak łatwo zrezygnuje z fałszywego raczej podziwu, który widziała przez chwilę w oczach klakierów, bo powrót do sądu rejonowego to najlepsze, co może ją teraz spotkać.



KACZYŃSKI,
KTÓRY SIEDZI
W PIERWSZYM
RZĘDZIE, JEST
ZMUSZONY CAŁY
CZAS PATRZEĆ
NA TWARZ TUSKA
I GIERTYCHA.
GŁOWĘ DAM,
ŻE WIDZIAŁEM
NA TWARZY
GIERTYCHA
UŚMIECH
HANNIBALA
LECTERA

„Myślenie było w tamtych czasach dotkliwą niedogodnością, a nawet kłopotliwą ułomnością i jaśnie wysoki pan w swojej nieustającej trosce o dobro i wygodę podwładnych nigdy

nie zaniedbywał starań, aby ich przed tą niedogodnością i ułomnością uchronić”.

Wracam na łóż dziennikarską sejmowej sali, trąca mnie jeden z fotoreporterów: patrz, mów, i pokazuje powiększone zdjęcie Kaczyńskiego, który ramiona marynarki obsypane ma, no właśnie czym. Co to jest? Białe proszek, jak, jak... Jak lupież, mówi mi fotoreporter, celuje obiektywem w Kaczyńskiego, i czeka. Na „Lupieżcę”. Za Kaczyńskim bowiem, czyli bardzo prestiżowo, siedzi w ławie poselskiej Leonard Krasulski, 73-latek, którego Szymon Holownia, gdyby nadal był prezenterem „Mam talent!”, a nie marszałkiem, mógłby przedstawić jakoś tak:

A teraz szanowni państwo przed nami postać wyjątkowa, człowiek, który dostał się po raz trzeci do ścisłego finału, człowiek, który zawsze ma ze sobą bawelnianą chusteczkę i tą chusteczką potrafi wykonać cuda. Panie Leonardzie, niech pan nam zdradzi tajemnicę swojego sukcesu.

Tu pan Leonard, z ramionami ściśniętymi, przejęty, stremowany, malutki, korpulentny, bo taki w istocie jest, mógłby wyjąć chusteczkę i kelnerskimi, wprawnymi ruchami strzepywać chusteczką lupież z ramion. No więc pan Leonard mógłby jeszcze powiedzieć, że oprócz strzepywania w Sejmie lupieżu z ramion Kaczyńskiego, skończył szkołę zawodową albo nawet jej nie skończył, bo tu jest bałagan informacyjny, który zasiał sam Krasulski, z wojska mieli go wyrzucić za podjumanie spirytusu, był w jednostce, która strzelała do robotników w latach 70., choć Krasulski twierdzi, że nie wychodził wtedy z koszar, i jeszcze na koncie ma wyrok za jazdę po pijaku, ale najważniejsze, bo mniejsza o te historyczne bibeloty, że dzisiaj wprawnie strzepuje prezesowi lupież z ramion. I jeśli sądzicie, że to frazeologia felietonowa, to sobie odpalcie Krasulskiego „Lupieżcę” w internecie.

Dodam, że to też chyba najdroższy nadworny „Lupieżca”, nawet świta Hajle Sellasje z „Cesarza” Kapuścińskiego zostaje pobita, bo oglądam przemówienie Krasulskiego z okazji otwarcia przekopu Mierzei Wiślanej, gdzie porównuje jej otwarcie, 17 września, do zwycięstwa nad rosyjskim i niemieckim najeźdźcą, a potem dziękuje Kaczyńskiemu (nie widać lupieżu), że po latach próśb Krasulski doczekał się w końcu od Kaczyńskiego tego przekopu. I wychodzi na to, że to Krasulski stał za przekopem wartym dwa miliardy złotych, który jest najdroższym – jak już wiemy – przejęciem wodnym dla łabędzi na świecie, a jeśli tak, to pozostaje nam czekać na doniesienia fryzjerów, kierowców i pani Basi z sekretariatu na Nowogrodzkiej, jak też odwdzięczyci im się Kaczyński.

„Słońce musi być jedno, taki jest porządek natury, a wszelkie inne teorie są tylko nieodpowiedzialną i Bogu przeciwną herezją. Ale możesz być pewien, że pan nasz kontrastował, jakże imponująco i dobroliwie kontrastował, i dlatego lud nie mylił się, kto jest słońcem, a kto cieniem”.

Ata teraz patrzę sobie z góry na moich milusińskich, na chłopców z Konfederacji, a tam fascynujące już zachodzą procesy, bo dowiedziałem się przed chwilą, gdy tak siedzę w Sejmie, że Krzysztof Bosak zostanie przegłosowany na wicemarszałka, a układ brzmi tak: PiS głosuje za Bosakiem, w zamian Konfederacja za pisowską Witką, KO się wstrzymuje, Trzecia Droga za Bosakiem i dzięki głosom PiS Bosak dostaje majestat. Ale oto na mównicę pcha się niespodziewanie Grzegorz Braun, posłowie Konfederacji sztywnieją, bo wiadomo, że jak Braun idzie na mównicę, to nie po to, by interpelować o peron we Włoszczowie, ale by oblewać się benzyną gniewu i podpalać zapalką rewolucji, z towarzyszeniem szlacheckiej polszczyzny i erotycznego basu. No i Braun wznieca pożar w szeregach Konfederacji, bo mówi z trybuny, że Witek na wicemar-



MENTZEN SIEDZI
W PIERWSZEJ
ŁAWIE OBOK
ZIOBRY I SASINA,
I TO JEST
GENIALNE,
BO PRZEZ KILKA
OSTATNICH
MIESIĘCY
MENTZEN
POWTARZAŁ,
ŻE OBYDWAJ
POWINNI
SIEDZIEĆ,
NO I SIĘ
DOKONAŁO

szalka to skandal, bo za jej czasów były mactwa, pomiatanie, mobbing, przemoc, ale pamiętajmy, że nienawiść Brauna do Witek ma też podglebie materialne – dostał od niej jakieś 200 tys. zł kar za niesubordynację i ignorowanie maseczki w czasach COVID-u.

PiS wzburzony słowami Brauna, Konfederacja chowa się pod fotele, Bosak pewnie nerwowo gryzie wargę, ale jednak układ się dopina i fotel wicemarszałka dostaje. Ale o Braunie na pewno jeszcze nieraz usłyszymy, bo Konfa ma ponoć pomysły, by go zgłosić do sejmowej komisji służb specjalnych. Ciekawi mnie też, jak Bosak będzie dbał o majestat Sejmu, gdy trzeba będzie Brauna dyscyplinować, a może być na prawdę ogniości. Za Braunem bowiem siedzi poseł PiS Piotr Kaleta, który cały czas konfederatów, jak słyszę z góry, zaczepia, buczy na nich, tak że nie wiem, jak długo szlachecki honor Brauna to znieśie i czy nie dojdzie do honorowych rozwiązań, bo jeszcze Kaleta jest w zasięgu narodowca Witolda Tumanowicza, który wyrywności nabral w Marszach Niepodległości.

Ale jedźmy dalej po chłopcach. Sławomir Mentzen siedzi w pierwszej ławie obok Zbigniewa Ziobry i Jacka Sasina, i to jest genialne, bo przez kilka ostatnich miesięcy Mentzen powtarzał, że obydwa powinni siedzieć, no i się dokonało. Zapytałem nawet Mentzena, ile słów zamienił z nowymi kolegami, których wolałby widzieć za kratami, i odparł, że ani jednego, a posiedzenie to, przypominę, trwało w sumie siedem godzin.

Dalej mamy konfederatę Grzegorza Plączka, czyli gwiazdę antyszczepionkowców, Bronisława Foltyna, przedsiębiorcę z Bielska-Białej, potem narodowca Krzysztofa Mulawę i Bartłomieja Peję, czyli zięcia Janusza Korwin-Mikkego, i nie wiem, czy to dobrze, czy źle dla Pei, że siedzi tam samotnie, bo teść nie wszedł do Sejmu, a jeszcze żonę mu posadzili w więzieniu, bo bez prawa jazdy wozila ojca, czyli Korwiną, i nie zgłosiła się na karne roboty publicz-

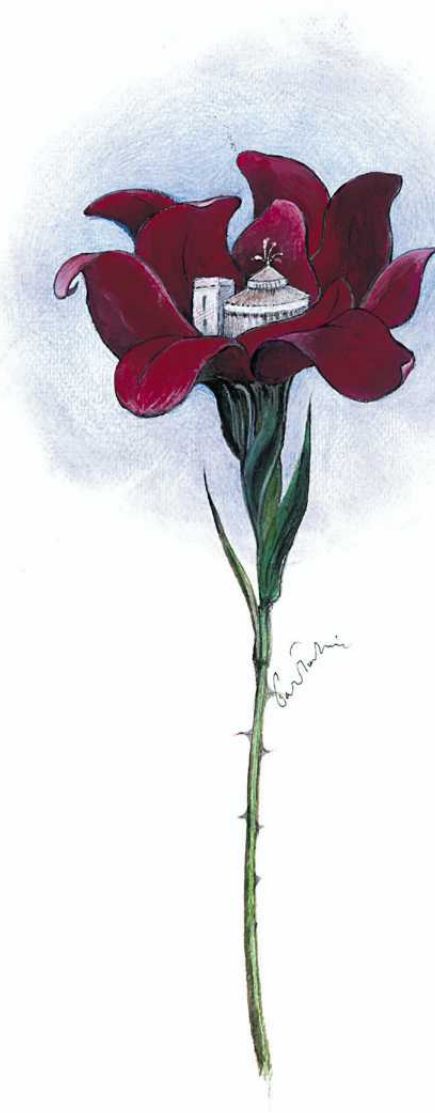
ne, więc wsadzono ją za kraty szybciej niż Ziobrę i Sasina.

Dalej siedzi Karina Bosak, żona Krzysztofa. Nie posadzili ich razem, bo uznano w klubie, że to byłoby jednak za grubo, dlatego Karina siedzi z tyłu, jak na matkę przystało, bo głaszcze się po zaawansowanym brzuszku, i ciekawe, czy będzie przychodzić z niemowlakiem przy piersi, by krzewić zaradność zawodową kobiet w tej partii, w której ich funkcję społeczną kreował dotychczas Janusz Korwin-Mikke, cytaty tu pominę, wszystko wiemy. Można tylko dodać, że dopelnilo się credo wyborcze Korwina, który bez żenady mówił, że tak, oczywiście, „na naszych listach mamy żony, córki i kochanki”.

I jeśli kogoś mi szkoda z konfederatów, którzy nie znajdują się w Sejmie, to kandydatki Żanety Nochowicz, bo posłuchałbym interpelacji, by zbadać, czy prawdą jest, że „Titanic” zderzył się z krawędzią płaskiej ziemi, a z nie z górą lodową, jak twierdzą kłamliwe media i historycy.

Pozostałych konfederatów może pominę, bo raczej o nich nie usłyszymy, są szablami w nieważnych dla siebie głosowaniach, bo jedno o Konfederacji można w tym Sejmie powiedzieć – są nikomu do niczego niepotrzebni. Dla nowej koalicji nie mają znaczenia, a do odrzucenia weta prezydenckiego jest ich za mało.

Kończą się obrady pierwszego posiedzenia nowego Sejmu, jest nowy marszałek, opozycja poczuła sprawczość po ośmiu latach, ostatnie głosowanie dobiegło końca, sala plenarna pustoszeje i widzę, że tylko Kaczyński nie odchodzi, co dziwne, bo zawsze pierwszy zniknął, za nim dwór i przemykali wyjściem zastrzeżonym, a teraz stoją wśród poselskich ław. Zrobili kółko wokół prezesa i toczą naradę. Nie słyszę głosów, ale z ich postury zmartwionej,



**DROGĘ PRZECINA
MI STRAŻ
MARSZAŁKOWSKA,
WE DWÓCH,
W MUNDURACH,
EPOLETACH,
ROGATYWKACH,
Z SZABLAMI
PRZY BIODRACH,
I BRZĘCZĄ,
STUKAJĄ
OFICERKAMI,
ALE NIE
ZDERZAJĄ SIĘ
ZE MNĄ,
TYLKO
PRZEPUSZCZAJĄ
GRZECZNIE,
CHOĆ GDY BYŁEM
TU ROK TEMU,
TO NA WIDOK
PLAKIETKI
DZIENNIKARSKIEJ
ŁAPALI
ZA KOŁNIERZ**

z powolnych ruchów, jak w kisielu, z kiwania głowami wnioskuję, że to ich pierwsza od lat narada pozbawiona znaczenia, narada ludzi, którzy właśnie się zdziwili, że po latach klucz nie pasuje do zamka, karta kredytowa nie działa, samochód nie rusza, że coś się w życiu zepsuło. Mija piętnaście minut, koalicja KO-Trzecia Droga-Lewica na korytarzu świętuje, słychać śmiechy, a ci tu stoją. W końcu ruszają, prowadzą go, starca z lupieżem, ale to skąpy szpaler, pozbawiony majestatu, nie wyglądają już, jakby nieśli Arkę Przymierza.

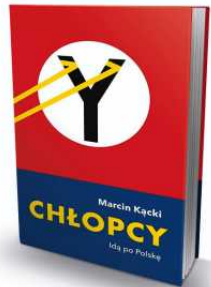
Wychodzę przed Sejm, „kodziarze” żegnają wyjeżdżających autami PiS-owców. Jedno auto, jeden okrzyk.

- Wy-pier-dalaj!
- Wy-pier-dalaj!
- Wy-pier-dalaj!

Pani sprzątająca, z działu porządkowo-ogrodniczego Sejmu, zamiata ostatnie pety po protestujących i czeka na wiosnę. Tak, tak, niech pan lepiej przyjdzie wiosną, mówi mi, wtedy jest tu pięknie, bo teraz szarość.

„Żaden pałac nie runie sam z siebie” ●

Kim są konfederaci, „kuce Korwina” i sieroty po wszechpolakach? Książka Marcina Kąckiego „**Chłopcy. Idą po Polskę**”, wyd. Znak. Litera Nova, już w dobrych księgarniach i w formie e-booka na Publio.p.



OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

34282694

WE WTOREK 21 LISTOPADA Z „WYBORCZĄ”

KALENDARZ PRZYRODNICZY 2024



ze zdjęciami
Adama
Wajraka

REKLAMA

PARTNER

HOYA
FOR THE VISIONARIES



Krawat między kolanami

Oni nawet ubierają się i jedzą tak, żeby upodobnić się do zwykłego człowieka.

Marcin Matczak



Nie ma nic bardziej praktycznego niż dobra teoria. A po to, by zrozumieć, dlaczego PiS zdobył poparcie milionów Polaków i jak spowodować, żeby to się nie powtórzyło, potrzebna jest superteoria, bo społeczne emocje, które do tego doprowadziły, są naprawdę trudne do przeniknięcia.

I taka teoria jest i może posłużyć silnym razem i tym słabszym, którzy czują się osobno, żeby utrwalić w Polsce praworządność i nie pozwolić PiS-owi szybko wrócić. To teoria populizmu Jana-Wernera Müllera: populistą to ktoś, kto chce przekonać społeczeństwo, że dzieli się ono na dwie grupy – zepsutą elitę i zdrowy lud. I że on broni tego ludu przed tą elitą.

PiS zawsze to robił: w latach 2005-2007 zepsutą elitą byli medycy („pokaż lekarzu, co masz w garażu” i proces doktora G.). Potem były podsluchy u Sowy i ośmiorniczki (to jada codziennie zepsuta elita na obiad), no i „kasta”: skorpumpowani, kradnący kielbasę i wiertarki sędziowie. Zepsutą elitą mogą być też nauczyciele („nie chce im się pracować”), rezydenci lekarscy („niech jadą!”), kiedyś kulacy, a dzisiaj bogacze.

Zdrowym ludem jest według populisty zwykły człowiek: robotnik, pani na kasie czy pielęgniarka. O ile populistę popierają. Bo jak nie, ten łatwo przesunie ich do kategorii zepsutej elity – według Ernesto Lac-laua kategorie pojęciowe populisty są płynne i tylko on decyduje, kogo aktualnie obejmują. Zepsutą elitą łatwo mogą się stać matki dzieci z niepełnosprawnością, jeśli populistę krytykują. Oczywiście ani lud nie musi być naprawdę zdrowy, ani elita zepsuta – nie chodzi o rzeczywistość, chodzi o postrzeganie.

„Zepsucie” elity może pochodzić z komunistycznej przeszłości („My jesteśmy tu, gdzie wtedy, oni tam, gdzie stało ZOMO”), przy czym to zepsucie dziwnym trafem nigdy nie objęło ludu pracującego miast i wsi. Może ono przyjść z Europy: wtedy lud to prawdziwi Polacy, a elity to uniczy-czy polskiego pochodzenia. Tak samo z podziałem na lepszy i gorszy sort, jakby ludzie byli pszenicą. Populista zawsze przekonuje: ty, człowieku prosty, jesteś zdrowym elementem narodu, a ten wykształciuch jest chorą tkanką na ciele matki naszej, ojczyzny. Więc najlepiej go wyciąć z odpowiednim marginesem.

Oszustwo populistów polega na tym, że im bardziej sami stają się zepsutą elitą, zagarniając zasoby państwa, tym bardziej aspirują do reprezentowania ludu. Potrzebują do tego trików komunikacyjnych: modlą się pokazowo na Jasnej Górze w kontraście do bezbożnej elity, promują disco polo, bo przecież żadnego gustu nie wolno krytykować, nawet ubierają się i jedzą tak, żeby do zwykłego człowieka się upodobnić. Populista-milioner Donald Trumpnosi się jak wuj z wesela, co pokazują internetowe analizy: źle zawiązany, majątający się między kolanami krawat, za długie spodnie, rozpiętą marynara i pokazowy obiad w KFC.

Niestety, żadnych wniosków z teorii Müllera nie wyciągamy. Wielu z nas dalej zepsutą elitę chętnie odgrywa i lud wyśmiewa. I wyśmiewa strategię, żeby potępiać funkcjonariuszy PiS, ale nie atakować ich wyborców. A ona wprost wynika z tej teorii populizmu, zbudowanej na analizie nie jednego, ale kilkudziesięciu Kaczyńskich, którzy cały czas w różnych miejscach na świecie się pojawiają.

Najgłupsza strategia przeciwników Kaczyńskiego to zgadzać się z jego populistycznym podziałem społeczeństwa. „Tak, jesteśmy elitą, a oni są prostym ludem. Ale to oni są zepsuci, a my zdrowi. Oni są suwerenem, który źłopie piwsko i grilluje ślaską, beka i nosi skarpety do sandałów. My jesteśmy wyrafinowani i pijemy chardonnay do sushi”. A Kaczyński siedzi i zawią kolejnych pozyskanych wyborców w srebberka.

Elita wyśmiewa wygląd i zwyczaje ludu. Znany muzyk kpi z łupieżu Jarosława – dostaje owacje. Znany aktor każe Beacie Szydło „wyszorować pięty i uprać gacie” i dostaje tysiące lajków. A ponieważ populistą jest reprezentantem ludu, te wszystkie kpiny lud bierze do siebie – i czuje, że elita wyśmiewa jego higienę skóry głowy, jego ubiór i jego gust.

Podobnie z wyśmiewaniem „kościółkowatości” – kpina z tańców na Jasnej Górze to kpina z religijności takiej, jaka dla wielu ludzi jest ważna. I znowu potwierdza to diagnozę PiS o podziale. Ale ktoś kontynuuje tę idiotyczną komunikację, bo mu się wydaje, że wie wszystko o świecie, a nie rozumie dość prostej pułapki populizmu i daje się w nią kolejny raz złapać.

Jeśli ktoś musi coś wyśmiewać, to niech to będzie ich elitarność – pogarda dla ludzi, pycha – nie ich ludowość. Ale najlepiej unieważnić ten podział. Robi to Donald Tusk, komunikując potrzebę wspólnoty i szacunku – nie ma „elity” i „ludu”, są Polacy. Atakowanie religii pomników, wyglądu i gustu Polaków potwierdza tezę, że mamy tu dwa plemiona: elitę i lud, i że lud powinien bać się tej elity. Dokładnie tak, jak mówi Kaczyński.

Nie pokazujcie mi więc filmów ze zwykłymi ludźmi, którzy wypowiadają się nienawistnie o opozycji. Nie pytajcie mnie, czy macie się z nimi pojednać. Ich złe emocje są efektem populistycznego podżegania – niech się wypalą, po co ten ogień podniecać? Jak nie będzie już szczujni na Woronicza, jest szansa, że te emocje się obniżą. Nie stanie się tak, gdy ktoś ciągle będzie w ten symboliczny lud nawalał, bo czuje się od niego lepszy.

A twarde rozliczanie funkcjonariuszy PiS? Jest konieczne, bo zamiast potwierdzać populistyczny podział na „zepsute elity opozycji” i „zdrowy lud, głoszący na patriotyczny PiS”, zaprzecza mu. Pokazuje, że tą zepsutą elitą jest sam PiS. Bo to oni działali na szkodę wartości ważnych dla każdego Polaka: na szkodę finansów publicznych, obronności, na szkodę naszych lasów i rzek, aby podać tylko kilka przykładów.

Niestety, wielu z nas nie widzi różnicy między rozliczaniem elity PiS a atakowaniem ich wyborców. A tych, którzy wzywają do obniżenia emocji, oskarża się o naiwność.

W świetle tego, co wiemy o populizmie, to ci oskarżający są naiwni. Aby posprzątać po PiS-ie, musimy obniżyć agresję, a nie potwierdzać podział na zepsutą elitę i zdrowy lud, który przez osiem lat wbijał ludziom do głowy Kaczyński. ●

„Czy zastanawialiście się kiedyś, jak będzie wyglądała Polska bez was? Za 50, 60 czy 100 lat?” – pyta nasz felietonista w „**Kraju, w którym umrę**”. Nowa książka Marcina Matczaka już dostępna.

Boje

Nad szkolnymi tablicami zamiast krzyży zadomowią się pseudotęczowe kolorowe szmaty i półksiężycy.

Michał Rusinek



Na stronie internetowej tygodnika „Niedziela” zawisł tekst rzecznika praw dziecka Mikołaja Pawłaka. Redakcja potraktowała ów tekst jako felieton, ale lektura nie pozostawia złudzeń: to kazanie. Nie ma się co dziwić, że forma ta jest bliska absolwentowi Katolickiego Liceum Ogólnokształcącego im. Jana Pawła II w Łodzi oraz Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, także im. JPPII, specjaliście od prawa kanonicznego, a w szczególności od stwierdzania nieważności małżeństw kościelnych. I nie ma się co dziwić, że pan rzecznik odwołał się do najlepszych wzorców polskiej homiletyki, obierając metaforę akwaticzną, idąc, a właściwie płynąc, za ks. Piotrem Skargą i jego „Kazaniami sejmowymi”. Zwłaszcza wtórym „O miłości ku ojczyźnie i pierwszej chorobie Rzeczypospolitej, która jest z nieżyczliwości ku ojczyźnie”, gdzie jest woda, okręt, wiatr, dziury w burcie, no i wizja zatonięcia.

Pawlak nie decyduje się jednak na alegorię okrętu, bo w swoim kazaniu pochyla się nie tyle nad losem ojczyzny naszej, ile nad losem pojedynczym, losem dziecka — którego rzecznikiem pan rzecznik teoretycznie jest. Mamy tu więc wodę i wiatr, a nawet huragan, ale zamiast okrętu pojawia się pływak. Oryginalnym wkładem Pawłaka do unowocześnionej alegorii Skargi jest metafora boi. Kazanie zaczyna się klasycznie, czyli od exemplum: „Pewien wkladowca, specjalista od spraw rodzinnych i wychowywania, opowiedział mi kiedyś o bojach – takich małych, w wodzie, przy plaży nad morzem czy jeziorem. Powiedział, że wyznaczają granice, ale nie po to, aby ich nie przekraczać, ale by pokazać pływakowi, gdzie zaczyna się niebezpieczeństwo; że jak popłynie dalej, musi być ostrożny i zdawać sobie sprawę, iż zagrożenie jest już realne”.

Dalej następuje eksplikacja owego exemplum: „Takie boje musimy stawiać dziecku w procesie wychowywania. (...) Takimi bojami zawsze były prawdziwe wartości i zasady, które, tworząc zamknięty krąg bezpieczeństwa, dawały jednocześnie narzędzia do walki i przecistawiania się złu, zasiedlającemu tereny poza kręgiem dobra”. Wyjaśnianie alegorii spowodowało komplikacje na poziomie metaforycznym: zaczynamy postrzegać boje jako pojemniki z bronią. Musi to być broń lekka, bo pod ciężarem ciężkiej boja by mogła zatonać. To już raczej wizja z filmu szpiegowskiego, ale mniejsza o to.

Dalej sytuacja jeszcze bardziej się komplikuje, bo wkraczają ratownicy: „Dopóki plaż pilnowali ratownicy świadomi takiej roli wychowywania, młodzi mieli w dorosłych oparcie – rodzice i nauczyciele byli dla nich autorytetami, niekiedy srogimi, ale wyznaczającymi mapy bezpiecznych życiowych ścieżek. Każdy błąd, każdy przypadek zejścia ze spokojnej drogi można było próbować naprawić, bo wiadomo było, którądy prowadzi droga dobra”. Nie wiem, po co są ci ratownicy, skoro wyszliśmy z wody: jest tu już mapa, ścieżka czy droga. Ratownik jest zapewne alegorią szkolnego

woźnego, znaną z literatury (też literatury grozy), którego rolę sprowadza pan rzecznik do przypominania młodzieży, jak ważne są autorytety nauczycieli i rodziców. I że nawet jeśli owe autorytety dają czasem dzieciom klapsy, to dla ich dobra, żeby nie zeszły z dobrej drogi. Czasownik „naprawiać” sugeruje nam, że akcja tej alegorii toczy się jednak nie w szkole, lecz w zakładzie poprawczym. Albo w katolickiej szkole z internatem, o surowej regule.

Tu alegoria Pawłaka poszerza się o kolejny krąg postaci: „Wokół plaż od lat krążyli jednak kolorowi przebierańcy, którzy chcieli jedno boje zrywać, inne usuwać, a jeszcze inne przesuwac na głębiny, głosząc przy tym fałszywe i zwodnicze idee wolności”. Wolności w procesie wychowania pan rzecznik nie toleruje. Wolność oznacza dla niego, że wszystko wolno, że nie ma żadnych zasad. To bardzo uproszczona wizja wolności, ale widocznie uznał on, że w kazaniach można sobie na uproszczenia pozwolić. Według Pawłaka owi tajemniczy „kolorowi przebierańcy” mówią dzieciom, że „prawdziwie wolne i radosne życie to życie rozpusty”. Co to jest „życie rozpusty” – trudno dociec. Natomiast można domniemywać, że wolność kojarzy się panu rzecznikowi wyłącznie z jednym. Nie będziemy tego psychoanalizować.

„Niestety, wiatr historii zaczął właśnie wiewać prawdziwych ratowników i pozwala ich miejsce zajmować pseudotęczowym przebierańcom” – pisze dalej Pawlak, rozwiewając domysły co do przebierańców. Fakt, że są oni pseudotęczowi, sugeruje, że tak naprawdę nie należą do społeczności LGBT+, tylko udają. To pewna nowość w narracji prawicy, być może spowodowana wspomnianym powyborczym wiatrem historii, ale raczej stylistyczną galopadą rzecznika-felietonisty. Tu znowu jest apokaliptycznie, jak u ks. Skargi: „Z plaż zaczną znikać boje i nawet jeśli niektórym ratownikom uda się zachować pracę, będą mogli już tylko ratować życie topielcom, którzy omamieni wolnością i życiem bez zasad nie zauważą głębi i wypłyną za daleko od brzegu” – pisze. Widać tu przede wszystkim strach przed utratą stanowiska, jakże zrozumiały. Ale uwagę przykuwa ratowanie życia topielcom: wizja makabryczna, chyba że umieścimy kazanie Pawłaka w kontekście romantycznych ballad, by nie wspomnieć o wskrzeszeniach biblijnych, o których z pewnością autor sporo wie.

Na chwilę wychodzimy z plaży, bo zbliża się apokaliptyczne apogeum: „Gdy nad szkolnymi tablicami zamiast krzyży powszechnie zadomowią się pseudotęczowe kolorowe szmaty, a w niektórych dzielnicach – półksiężycy, będziemy żyć w świecie, w którym będą rządzić pokolenia wychowane bez wartości i zasad, nieznające granic i nieumiejące walczyć ze złem; które nie będą umiały przekazywać takich wartości swoim dzieciom”. Mamy tu dwa symbole i dwa główne lęki prawicy: akceptacja różnorodności zagraża nawet nie naszej tożsamości narodowej, ale naszemu bezpieczeństwu, a epokę rządów PiS-u będziemy „wspominać jako czas szczęśliwości i bezpiecznej oazy pokoju”.

Kazanie kończy się pocieszeniem, ale i powrotem z łądu na morze. Owszem, „sami sobie ściągnęliśmy na głowę huragan, który zmieni nasze spokojne dotąd wody nad plażami w niebezpieczne otchłanie i sztorm w moralności” – pisze pan rzecznik, tak rozemocjonowany, że zapomina, że to raczej plaże są nad wodą, a nie wody nad plażami. Należy docenić natomiast fonetyczną urodę „sztormu w moralności”. Co jednak mamy zrobić? „Musimy dzisiaj sami, we własnych domach, zadbać, by nasze dzieci poznały granice dobra i zła”. A więc – pozostają nam tajne komplety, na których nie będzie żadnej wolności, rozpusty czy pseudotęczy. ●

W IMIĘ OJCA I SYNA

Z **ARKADIUSZEM JAKUBIKIEM**
ROZMAWIA **AGA KOZAK**

Jak słyszysz słowo „ojciec”...
–...to niestety mam raczej pejoratywne skoja-
rzenia: bo wyświetla mi się twarz mojego ojca.
I przypominam sobie nasze relacje. A raczej
brak tych relacji, bo ojciec zostawił naszą ro-
dzinę – mnie, brata, mamę. Wyjechał w poszu-
kiwaniu bogactwa za wielką wodę i nie było

go przez lat 10. Kiedy wyjechał, miałem 14 lat
– nie było go więc w naprawdę ważnych mo-
mentach: kiedy zdawałem do liceum, na stu-
dia. Kiedy grałem dyplom w szkole teatralnej.
I tak naprawdę myślę, że nie miałem ojca. Kie-
dy po tych 10 latach napisał do mamy list, że
mu się nie udało, że ma problemy, i pytając,
czy może wrócić, mama zapytała mnie i bra-
ta o zdanie. Obaj byliśmy jednomyślni: to nie
jest dobry pomysł.

To mama była waszą superbohaterką.
– Urodziła się na Śląsku, więc była naszą Świę-
tą Barbarą – to jej wszystko zawdzięczamy. Ma-
ma – może przez tę swoją cholerną świętość
– podjęła inną decyzję, pozwoliła mu wrócić.
Gdy wrócił – zobaczyliśmy z bratem zupełnie
obcego człowieka, który może nawet chciał-
by stworzyć z nami relacje na nowo, ale nie
miał na to szans. Więc wiesz, ja jestem pozba-
wiony punktu odniesienia, jeśli chodzi o gło-

wę rodziny, faceta, który ogarnia wszystko
– nie miałem też takich przykładów u swoich
dziadków. I ponieważ jestem starszy od bra-
ta o osiem lat, nagle poczułem, że to ja jestem
teraz tą głową rodziny, tym najstarszym face-
tem, który musi ogarnąć życie.

**Myślisz, że przez to przesadzałeś? Jesteś
znany ze swoich superbliskich relacji
z synami.**

Ojciec nas zostawił. Kiedy po 10 latach napisał, że ma problemy, i pytał, czy może wrócić, mama zapytała mnie i brata o zdanie



FOT. WERONIKA ŁAWNICZAK / PAPAYA FILMS

• **Arkadiusz Jakubik jako Marcin Kania**
– alkoholik, eks-rockman, ojciec
– główny bohater nowego serialu Netfliksa „Informacja zwrotna” w reżyserii Leszka Dawida, na podstawie książki Jakuba Żulczyka

– Może przesadzałem, starając się bardzo, żeby nie popełnić tych błędów, które popełnił mój ojciec. Chciałem być fajnym, dobrym, przyjacielskim ojcem. Może dawałem za dużo przestrzeni, wolności, za dużo bezstresowego wychowania, a za mało dyscypliny? Ale przecież wychowywaliśmy synów z moją Agnieszką razem. I chyba się udało, bo mamy z chłopcami – którzy już się wyprowadzili, kończą studia – świetne relacje. Partnerskie, przyjacielskie. Dużo ze sobą rozmawiamy, nie są pozamykani, zdystansowani. Wiedzą, że mają w nas absolutne wsparcie i pomoc. Zawsze się bałem, gdzie jest ta granica, żebyśmy też takim podejściem nie zrobili im krzywdy. Ale chyba udało się nie zrobić.

Czy ty myślisz, że historia o nieobecnym ojcu jest jakoś powszechna? Jak słucham kolegów, to się powtarza.

– Moi przyjaciele mieli z ojcami różne – nie kumplujemy się na zasadzie ojcowskiej traumy. Ale muszę ci powiedzieć à propos wspólnych traum, że ja mam taką umiejętność przyciągania tematów, ról, w których sobie znajdę coś ze swojej historii i przez siebie to przepuszczam, przerabiam... Tak było na przykład z rolą ojca w „Cichej nocy” Piotrka Domańskiego. Mój prawdziwy ojciec wyjechał za pieniędzmi, potem wziął i przepadł. Poleciał do Los Angeles i po dwóch miesiącach przysłał list. I w tym liście 100 dolarów. W latach 80. to była kupa pieniędzy. Byliśmy szczęśliwi: udało mu się, będzie o nas dbał, pamiętał. Ale to był ostatni list, który dostaliśmy, i ostatnie pieniądze, które nam wysłał. Zniknął. Mama musiała sobie sama dawać radę. I była dla mnie ojcem i matką, i jeszcze chyba Duchem Świętym. Z jednej strony była bardzo skromną, kruchą osobą, a z drugiej strony – mając dwóch łobuzów – była osobą pełną siły, konsekwencji, uporu, cierpliwości.

Mama nie chciała, żebyś o tym opowiadał...

– ...i przepraszam cię za to, mamu, ale ja muszę. Święta Barbara była szanowaną kierowniczką kadr w Strzelcach Opolskich – to była poważna funkcja w zakładzie pracy, była też radną. Ale ponieważ brakowało nam pieniędzy, w tajemnicy przed dyrektorem i przed większością koleżanek załatwiła sobie pół etatu sprzątaczką. Wyobraź sobie, że pani kierownik kadr czeka do 15, kiedy wszyscy wychodzą z biur, i znajduje wymówkę, żeby nie wyjść, „wypełnia dokumenty”. Zakłada fartuch, bierze szmatę i na tej szmacie jedzie po wszystkich podłogach. Po to, żeby nas nakarmić, ubrać, wykształcić. Mama – to był mój tata. I chyba ten wzorzec jakoś wrósł w mój kręgosłup i taka postawa była punktem odniesienia. Widzę, że założyłem mamie spodnie ojca – ale to byli rodzice w jednej osobie, najukochańsi, dla których najważniejsze były ich dzieci.

Mama odeszła dwa lata temu.

– Mój świat się wywrócił do góry nogami. Byliśmy bardzo blisko. Ja jestem bardzo rodzinny. Dwadzieścia kilka lat temu miałem już dość zgiełku Warszawy, więc się przeprowadziłem na wieś pod Warszawą. Potem namówilem brata, operatora, żeby u mnie zamieszkał. Mamę też sprowadziłem, zamieszkała 4 km od nas. To był najwspanialszy czas dla naszej rodziny. Kiedy mama odeszła, to się skończyło, ten świat się po prostu zawałił.

Masz zespół Doktor Misio z bandą chłopca, z bardzo różnymi życiorysami i o różnych poglądach. Z bratem masz superbliskie relacje. To znaczy, że nie obrzydła ci męskość, umiesz się z facetami przyjaźnić? Pytam, bo wedle statystyk Polacy mają z tym problem.

– Umiem. Ja to nawet nie wiem, czy bym chciał – nie wiem, jak to teraz zabrzmi – przyjaźnić się z kobietą. Mam dwie najważniejsze kobiety w życiu, które wypełniły absolutnie przestrzeń, co do której potrzebowałem, żeby kobieta ją zajęła. Pierwsza to mama, druga to miłość mojego życia, czyli Agnieszka. Jesteśmy dinozaurami show-biznesu, jesteśmy ze sobą ponad 31 lat. O zgrozo, po tylu latach lubimy sami ze sobą spędzać czas. My nawet na wakacje wyjeżdżamy tylko we dwoje.

Jak wyście się tak dotarli? Przecież wy byliście jak ogień i woda...

– Ja tej okropnej baby w Szkole Teatralnej – bo tam ją poznałem – nie cierpiałem po prostu! Nasze światy się wtedy wykłuczały. Ja myślałem, że Agnieszka tak zadziera nosa, że zaraz nim zaryje w sufit, zwłaszcza że zawsze była bardzo silną osobowością. Połączyło nas dopiero radio we Wrocławiu, gdzie razem pracowaliśmy – kazali nam czytać jakieś wiadomości. Pamiętam park południowy, rozgłośnię przy Powstańców Śląskich radia regionalnego Wrocław.

Była złota polska jesień.

– No i myśmy się w parku zaczęli delikatnie przepychać, w te liście. Połączył nas – i to jest bardzo ważna nazwa! – na ławeczce w parku Południowym miód pitny Bazyli.

Bazyli to twój pies!

– Na jakąś rocznicę próbowałem ten miód kupić – wycofali go już z produkcji. Kupiłem jakiś inny, zrobiłem sam nalepkę, ech, sentymentalny idiota... Potem Bazyli miał na imię nasz garbus – czerwony z szyberdachem – a teraz, po 30 latach, Bazyli to nasz ukochany „trzeci synek”, czyli jack russell terrier. To słowo jest po prostu dla nas jakimś synonimem szczęścia, najwspanialszych wspomnień. Ale wiesz, myśmy z Agnieszką przeszli różne okresy, choćby ten, kiedy desperacko szukałem pracy. Mam jakoś wpisany w siebie lęk przed biedą, brakiem zajęcia. Bo w domu było biednie, nie ma co szukać jakichś eufemizmów. Jak się kończy szkołę i się ma ambicje, żeby odciążyć mamę – bo jeszcze został jeden brat – i szukasz pracy, a nie znajdujesz sensownej roboty, to jest trudno.

Twoja żona była już z tobą, towarzyszyła ci na przysłowiowe dobre i na złe?

– O tak. To był ten pierwszy moment spełnienia największego marzenia. Po to studiowałem przez tyle lat, żeby wejść na scenę i coś zagrać. I pierwszy cios w splot słoneczny dostałem we wrocławskim teatrze Kalambur, który – choć był uznany, to czasy świetności miał za sobą. Nie mogłem znieść tej bufonady, hipokryzji w etatowym zespole i odszedłem. Na szczęście obydwójce dostaliśmy propozycję od Jana Szurmieja, żeby się przenieść do Operetki Warszawskiej. Ty wiesz, że ja tylko przez dwa sezony byłem na etacie? Agnieszka rok dłużej, bo dwa lata była w Teatrze Muzycznym we Wrocławiu. Miała superczas, bo zagrała główną rolę w „Kabarecie”, zagrała Piaf – to była jej wielka rola. Ja byłem wtedy w tym nieszczęsnym Kalamburze. Potem byliśmy przez sezon w Operetce, skąd nas wyrzucó-

Wracaliśmy pod mieszkanie, które wynajmowaliśmy, i ja wtedy też zasypiałem, w aucie, zmęczony – razem z nim. Ale pamiętam doskonale ten czas i tę potrzebę, ten odtwarzany wzorzec mamy, czyli tego fartucha sprzątaczką, który trzeba założyć. Imalełem się różnych zajęć. „Jakubik, po prostu musisz znaleźć jakąkolwiek robotę, żeby zacząć cokolwiek przynosić do domu”. Chodziłem po agencjach reklamowych, pisałem jakieś teksty reklam, nagrywałem się do banków głosu, trafił się jakiś dubbing. Zacząłem pracować coraz więcej głosem. Nie było żadnych ciekawych propozycji aktorskich, ale powoli, powoli zaczynałem pracować coraz więcej. Jak mówił gospodarz Wiesław Wojnar...

...z filmu „Wesele” Smarzowskiego...

...pięknie zagrany przez Mariana Dziędziela: „Pieniądze szczęścia nie dają, ale trzeba je mieć”. Ten moment, kiedy zacząłem przynosić do domu pieniądze, dorzucać się do rachunków, do tego, co jest w lodówce, to był chyba taki najważniejszy dla mnie moment mojego ukonstytuowania się jako faceta. Bo gdzieś jednak raz – wzorzec mamy, a dwa – może ja mam po prostu śląską, prostą konstrukcję, że facet jest od tego, żeby zapewnić godziwy byt rodzinie. Dobra, możesz mi powiedzieć, że jest to wzorzec patriarchalny, ale ja po prostu taki jestem, tak wychowany. Facet jest od tego, żeby zapewnić byt, wykształcić dzieci etc.

A swoje ambicje, swoje marzenia to sobie może odłożyć na później?

– Mają czekać, to jest druga kolejność odświeżania – krótko mówiąc. Kiedy tylko ogarnąłem świat realny, gdy zacząłem normalnie pracować, to uspokoiłem się, nabrałem pewności. Zaakceptowałem sam siebie, powiedziałem sobie: „nadaję się”. I wtedy się wszystko zaczęło: zaczęły się pojawiać role, założyłem Dr Misio, miałem czas i energię na inne wariackie pomysły, pisanie scenariuszy, reżyserię teatralną czy filmową. Bo wzrosła moja samoocena. „Tak, Jakubik, daleś radę”. Tak samo jak mama ogarnąłeś rzeczywistość i teraz możesz wszystko, bo jesteś dobrym ojcem.

Wiem, że jesteś z synami tak mocno związany, że jak wyjechali na studia, spałeś w ich łózkach – tak za nimi tęskniłeś.

– Zdarzało się, ale teraz, odkąd pojawił się „trzeci synek”, to robię to już rzadziej! A wiesz, że oni są zazdrośni trochę o Bazylego? Opowiem ci jeszcze coś: ja długo myślałem, co ja jako ojciec, nie mając wzorca swojego ojca – tylko Świętej Barbary – co ja mam swoim synom przekazać? Wiedziałem od samego począt-

szą bardzo. Ale jak któryś powie mi, że chce się zapisać do kółka teatralnego, to nie wypuszczę z domu, przywiążę do kaloryfera”. I może dzięki temu oni mieli normalne i fajne dzieciństwo, bez celebryckich ról, „dzieci aktorów”, bez bankietów, ścianek z fotoreporterami, bez niebezpiecznych pokus, gdy byli nastolatkami.

No i co? Jak się to skończyło...?

– No i Kuba, starszy – mieszanaka Agnieszki i moja – w klasie maturalnej pokazał mi tablicę, gdzie było napisane, jakie ma plany. Zda je na scenopisarstwo, musi przygotować to i to. A potem, jak skończy licencjat, to będzie zdawał na reżyserię. Wszystko zaplanowane. I jest tak, jak sobie założył. Skończył scenariopisarstwo w Łodzi, teraz kończy tam reżyserię.

A Janek?

– Wyciągasz tę historię ode mnie... Najpierw była trudna z nim rozmowa: „Stary, grasz za dużo na komputerze. Może byś powiedział tatusiowi, z czego chcesz maturę zdawać i na jakie studia chcesz pójść?”. Usłyszałem: „Jeżeli myślisz, że się zastanawiam nad jakimiś artystycznymi waszymi fanaberiami, tak jak Kuba – to jesteś w błędzie. Chcę iść na informatykę”. Przysiadł do nauki i dostał się na Politechnikę Warszawską. Dla rodziców nie ma lepszego kierunku niż informatyka. Najbardziej perspektywiczny dzisiaj zawód! Janek kończy pierwszy semestr, przyjeżdża do domu. „Wszystko dobrze?”. „Tak, dobrze, zdam wszystkie egzaminy”. No to – wiedziony jakimś przeczuciem – pytam, co się dzieje. „Co byś powiedział, tato, jakbym spróbował zdawać do szkoły teatralnej?”. Opadła mi po prostu kopara. Ale przecież nie powiem: „Zostań na tej informatyce. Będziesz szczęśliwym człowiekiem”. Gonitwa myśli. Powiedziałem mu, żeby zrobił to, co czuje, żeby spróbował zdawać. Bo jak nie spróbuje, będzie sobie do końca życia wyrzucał, że tego nie zrobił. Poprosiłem tylko, żeby skończył ten rok informatyki, bo gdyby się do tego świata, który jest światem bardzo trudnym, dostał, a Janek jest bardzo delikatnym, wrażliwym chłopakiem, to może mu się ten świat nie spodobać... Janek nie jest gościem, który się lokciami potrafi rozpychać. Chodziło mi o to, żeby miał gdzie wrócić, gdyby coś poszło nie tak.

W tym tygodniu miał dyplom.

– Gra Hamleta w Łodzi w Teatrze Studyjnym. Napisał też do tego spektaklu muzykę.

Powiem ci, że ja nie wiem, jak ty z tą miłością, którą masz do synków, i tą wrażliwością – taką jak Janek – sobie radzisz z takimi rolami, które ostatnio przyjmujesz. Bo to głównie ojcowie szukający dzieci. I jeszcze teraz ten ojciec alkoholik w „Informacji zwrotnej”...

– Masz rację, ja jestem chyba specjalistą w graniu ojców, i to ojców szukających w dramatycznych okolicznościach swoich dzieci. Gdy grałem w „Klangorze”, moje serialowe córeczki były mniej więcej w wieku moich synów i żeby wejść w rodzaj takich ekstremalnych emocji, to sobie wtedy „przyklejałem” twarze swoich synów na aktorki, które grały moje serialowe córki. To była masakra. Ale czuję, że dzięki temu ten tata w Klangorze jakoś tak chyba wiaręgodnie wypadł.

Teraz – w „Informacji zwrotnej” – szukasz syna.

– Ale tu jest jednak inaczej, ponieważ Marcin Kania, bohater „Informacji zwrotnej”, nie ma relacji ze swoimi dziećmi. Więc tutaj nie mogłem sobie tylko „poprzyklejać” twarzę swoich synów, bo z nimi mam akurat fantastyczne stosunki. Więc trzeba było wsiąść do wehikułu czasu, przenieść się 30 lat wstecz... Tatusi, mój tatusi. Mój ojciec był blisko Marcina Kani, musiałem sobie go przypomnieć, wrócić do tamtych emocji i do tamtych skojarzeń.

Ale ten Kania z powieści Jakuba Żulczyka, na której był oparty scenariusz, straszna kanalia – jest zupełnie inny niż ten serialowy.

– Najbardziej mnie ciekawi, jak ludzie odbiorą tego naszego Kanię. Znajomy dziennikarz po

Znajomy dziennikarz po obejrzeniu „Informacji zwrotnej” powiedział mi: „Arek, pierwszy raz cię nie lubilem”

no, i więcej nigdy w życiu nie byliśmy na etacie w żadnym teatrze. Po tej przeprowadzce do stolicy nastąpił czas dla mnie bardzo trudny – nie mogłem znaleźć pracy przez pięć lat.

To musi źle działać na człowieczeństwo, poczucie własnej wartości, męskość.

– A jeszcze jak! Zapadasz się. Twoja samoocena sięga dna. Agnieszka nas utrzymywała, bo jeździła ze spektaklami po całym kraju. Urodził się Kuba i ja wyładowałem na tacierzyńskim. Nagle byłem mamusią tatusiem, który karmił, przewijał. Agnieszka zostawiała pokarm w zamrażarce, a ja go do rondelka, do ciepłej wody... Kubuś był łobuzem strasznym, nie chciał zasnąć. Nic nie pomagało oprócz garbusa Bazylego. Jak już nie miałem siły, to wkładałem go do siedzonka dla dzieci i jeździliśmy po Warszawie – dopiero wtedy Kuba zasypiał.

ku, że muszę ich trzymać jak najdalej od tego zawodu, który ja mam i który – z perspektywy faceta o prostej instrukcji obsługi – jest pomysłem na życie fatalnym. Bo cholerny telefon z propozycją zadzwonił do ciebie albo nie zadzwoni. I jak on nie dzwoni, to sam szukasz roboty. A im bardziej szukasz roboty, to tym bardziej ta robota nie chce cię znać. Bo im bardziej się przypominasz w agencjach, produkcjach, tym bardziej ktoś cię nie chce.

I nie chciałeś, żeby synowie coś mieli wspólnego z aktorstwem, a tym bardziej z tym dziecięcym, które uderza do głowy jak woda sodowa.

– O to, to! Mówiłem im, jak już byli kumaci, mieli gdzieś po 10 lat: „Panowie, ja was będę zawoził na jakie chciecie zajęcia. Piłka nożna, karate, na balet, jeśli będziecie chcieli – pro-

obejrzeniu „Informacji zwrotnej” powiedział mi: „Arek, pierwszy raz cię nie lubilem”. Ja to potraktowałem jako uznanie. Mam taką konstrukcję psychiczną, że muszę zawsze bronić tej swojej postaci: może to wynika z mojej – jako człowieka – potrzeby akceptacji u innych ludzi? A może to jest też to, co ja mam wdrukowane: że każdy anioł ma mniej lub więcej brudu za paznokciami. A każdy morderca ma mniejszą albo większą aureolę z tyłu głowy. Że warto zawsze szukać tej drugiej strony. Powiem ci – ja po lekturze książki Żulczyka, zresztą świetnej, byłem załamany.

Nie znosiłeś swojej postaci?

– Napelniała mnie wstrętem. Marcin Kania był odrażający. Kto takiego gościa polubi, takiego, który zabija swojego psa? „Polubi” to nie jest adekwatne słowo. Kto takiemu gościowi będzie kibicował? Nie wyobrażałem sobie, że mógłbym zagrać tę scenę z psem. Na szczęście Kacper Wysocki, scenarzysta, ją wyrzucił. Kuba Żulczyk, gdy zobaczył serial, powiedział mi, że zrobiłem dobrą robotę, uczłowieczyłem go, obroniłem, że z takim Kanią można iść przez tę historię. To ogromna zasługa Kacpra, który też walczył o to, żeby obronić tego bohatera. Oczywiście to jest cały czas ten sam Kania: zły, chory, alkoholik z ogromnym ego, oszust. Ale gdy się kończy ta historia, część osób mimo wszystko trzyma za niego kciuki: dasz radę, chłopie, ty chuju ostatni złamany. I w tym jest potęga tej historii: trzymamy za bohatera kciuki po tym wszystkim, co nawywyjał.

Alkoholizm – nasza narodowa choroba – w „Informacji zwrotnej” jest dojmujący.

– W Polsce według statystyk jest 600-700 tys. alkoholików, to dwa procent społeczeństwa. Tych jednak, którzy nadużywają, a alkoholikami nie są, jest znacznie więcej: to aż 12 procent. To miliony rozwalonych, rozbitych, nieszcześliwych rodzin. Jeszcze więcej osób z DDA, uzależnionych od funkcjonowania z alkoholikami członków rodziny. Ja mam dużo w sobie momentami niepotrzebnej wiary w człowieka, takiego naiwnego optymizmu. Jednak już nie wierzę, że po obejrzeniu „Informacji zwrotnej” coś się zmieni. Że film czy serial może zmieniać świat. Taką wiarę miałem po „Klerze” i co? Ale nie, nie będzie tak, że alkoholik zobaczy ten serial i powie: „O Boże, to jest straszna choroba, co ja robię?”.

Nawet jedna osoba tak nie powie?

– Wątpię. Kania mnie w tych wątpliwościach utwierdził. Może bardziej „Informacja zwrotna” pomoże ludziom z DDA. Podejmą jakiś wysiłek, jakieś działania, żeby pomyśleć w końcu o sobie, żeby sobie pomóc. A z drugiej strony myślę sobie o tej hipokryzji nas wszystkich, państwa polskiego: na każdej stacji benzynowej masz ścianę alkoholi, wszystko, co sobie wymarzysz. Na stacji benzynowej!!!

Jest taka wspaniała scena w serialu, gdy bohater stoi przed tą ścianą z bizantyjskim bogactwem trunków.

– I opowiada, że znał kogoś, kto szedł na odwyk na rok, by znów zacząć pić i móc się napawać nowymi gatunkami, które się przez ten rok w sklepie pojawiły... Tymczasem zobacz, marihuana, za której legalizacją jestem, za jednego jointa możesz trafić na kilka lat do więzienia. Mówię o tej hipokryzji państwa, bo przecież stwierdzono naukowo, że alkohol jest o wiele gorszą, bardziej uzależniającą trucizną. No i nic, jest akcyza, są pieniądze, alkohol jest dostępny wszędzie i tyle. Więc jaka może być w naszym kraju rozmowa o walce z tą straszną chorobą?

Wchodzenie w takie role może być psychicznym łomotem. Rozumiem, że Bazyli jest psem terapeutycznym, ale jak ty sobie oprócz tego radzisz?

– Bazyli ma genialne właściwości terapeutyczne. Ale wiesz, od 15 lat, czyli od momentu, kiedy powstał Dr Misio, sposobem na wychodzenie z postaci, na resetowanie tych emocji jest praca z zespołem. Kiedy kończą się zdjęcia, od razu mam ustawioną pracę z muzykami nad kolejną płytą albo nad moim solowym projektem muzycznym – po to, żeby

mieć gdzie głowę zanurzyć i wykasować ten monolog wewnętrzny mojej postaci. Gdy nie miałem Dr Misio, było ciężko. Pamiętam, jak grałem Edwarda Środonia w „Domu złym” – a to najtrudniejsza, myślę, moja rola obok Kani. Ze Środonia „wychodziłem” przez następnych kilka miesięcy, siedząc w totalnej depresji i chodząc po ścianach. To był straszny czas. A ja – jako uparty osioł spod znaku Koziorożca – sobie założyłem, że nie pójdę do psychologa po pomoc, bo ja „muszę dać radę”, bo ja „muszę być twardym facetem”, który ogarnia. A ten ostatni czas po odejściu mamy nieraz dawał mi do zrozumienia, że „chłopie, może byś poszedł gdzieś pogadać do kogoś specjalisty, bo są dni, kiedy jesteś w fatalnej formie, a wszędzie teraz piszą o depresji”. Może, stary, ty w niej jesteś, trzeba coś z tym zrobić i dać sobie pomóc. Najbardziej dojmujący oprócz tego przekonania, że muszę sam ogarnąć swoje problemy, jest chyba strach przed drugą osobą, która miałaby mi pomóc, albo niewiara w to, że ja byłbym w stanie obcej osobie otworzyć się tak do końca i opowiedzieć o sobie. Nasza rozmowa też pełni jakiś rodzaj kozetki psychoanalitycznej. Bar-

No i myśmy się w parku zaczęli delikatnie przepychać, w te liście. Połączył nas – i to jest bardzo ważna nazwa! – na ławeczce w tym parku miód pitny Bazyli

dzo ładnie otwierasz mnie jak konserwę, ale okej – ja się na to zgodziłem. I jakby było coś nie halo, tobym wyszedł albo przeprosił cię i powiedział, że może się zdzwonimy czy coś.

Po Środoniu odchodziłeś od zmysłów, a po kanalii Kani – nie?

– Skończyliśmy zdjęcia we wrześniu ubiegłego roku i ja miałem już od razu ustawione studio nagraniowe i prace nad najnowszą płytą Dr Misio „Chory na Polskę”. I pomogło mi to zapomnieć tego Kanię. Ale gdy dzisiaj sobie na zimno słucham tej płyty, to widzę tam ducha Marcina Kani. Frazy w rodzaju: „alkohol leje się i jasne stają się gesty, układy słów, które wykonasz znów”. Albo „Dziewczyna Śmierć” czy „Moja wina”. Kania był przecież muzykiem rockowym, pisał przeboje. Poczulem się, jakby ten koleś siedział wtedy razem ze mną i pisał część tych piosenek. Na szczęście nie napisał wszystkich numerów na płytę „Chory na Polskę”.

Chciałam cię wypytać o tę „chorość” na Polskę i patriotyzm. Z każdej piosenki prawie wychyla ci się ojczyzna – a nawet bardziej matczyzna.

– Matczyzna! Dobrze, podpisuję się pod tym. Tak, jestem patriotą i nie dałem sobie zabrać tego prawa, żeby się nie wstydzić mówić to na głos. Tego, że kocham Polskę, że jestem Polakiem, że kocham swoją ojczyznę. Bo przecież był taki czas, że ta druga strona zabrała nam, przejęła właściwie całkowicie tę narrację. Powiedzenie „jestem patriotą” było jak powiedzenie „jestem faszystą i idę na Marsz Niepodległości”. Niebywałe. Ucieszyłem się bardzo, jak zmieniła się narracja opozycji demokratycznej i w końcu nagle zrozumieli, że mogą mówić „naród”, „Polacy to my” – to jest coś fantastycznego. To jest normalna rzecz. Wiesz, skąd mi się to wzięło?

Mów.

– Z moich Strzlec Opolskich. W moim liceum im. Broniewskiego było nas w klasie 32 osoby. Byłem w klasie mat.-fiz. Interesowała mnie zawsze fizyka jądrowa, teoria względności Einsteina itd. Dopiero potem pojawiła się po-

lonistka, moja ukochana pani Urszula Kraka. Porwała mnie, zabrała moją duszę i serce w świat książek, emocji, opowieści i oczywiście zapisała mnie do kółka teatralnego. To dzięki niej przeszedłem na dobrą stronę mocy, choć w klasie maturalnej miałem dziesięć matematyk i osiem fizyk tygodniowo. Zdałem rozszerzoną maturę z matmy i fizyki i już nigdy w życiu więcej nie miałem z tymi przedmiotami nic wspólnego. Ale do rzeczy: w 1986 r. Bundestag uchwalił takie prawo, że wszyscy urodzeni na ziemiach dawnej III Rzeszy dostają obywatelstwo niemieckie, naukę języka niemieckiego, mieszkanie komunalne i zasiłek dla bezrobotnych. Za ten zasiłek wtedy po prostu można było w Niemczech żyć po kokardę. Całe wioski, miasteczka wyjeżdżały z Opolszczyzny. W klasie maturalnej zostało nas 15 osób. A ja w tej klasie miałem trzech przyjaciół, razem tworzyliśmy „czwórkę apokalipsy”. Nie zgadzaliśmy się na to, że tak dużo ludzi wyjeżdża z Polski. Wiadomo, jest bieda, puste sklepy, ale kto tutaj zostanie, jak wszyscy mądrzy ludzie stąd wyjadą? Kto będzie ten kraj ratował, budował, kto? Było tam też oczywiście robienie sobie żartów, jaj, ale tak

naprawdę był pod tym wszystkim jakiś rodzaj totalnej niezgody. I mówienie o tym, że nigdy nie wyjedziemy z Polski, bo jesteśmy Polakami. Pamiętam też takie upokarzające sceny: gdy przyjeżdżali ci Polacy, którzy wyjechali do Niemiec. Tam się wstydziło tego, że są Polakami, a tutaj przyjeżdżali swoimi 20-letnimi niemieckimi autami i szpanowali, obnosili się ze swoimi dzinsami, adidasami. W Strzelcach był jeden motel, w którym można było się przespać – Motel Leśna z parkingiem. Tam się zatrzymywały samochody, które jechały do Opola, Wrocławia i do granicy niemieckiej. Moi znajomi się zatrzymali na tym parkingu przy Motelu Leśna, otworzyli bagażnik i do dzieci, które się w pobliżu bawiły, zawolali: „Chcecie bonbonsy?”.

Czyli cukierki.

– Wyciągnęli jakąś torbę z tymi bonbonsami i rzucili je w powietrze. „No to zbierajcie, zbierajcie”. I zaczęli zdjęcia robić, że niby w Polsce jest taka bieda, że dzieci zbierają cukierki z ziemi. A my już jesteśmy Niemcami, my jesteśmy panami, dobrze, żeśmy stąd wyjechali, z tego syfu. Ja nie wiedziałem, co mam zrobić. Nic nie zrobiłem oczywiście. Nie rzuciłem się na nich, nie opierdoliłem, ale obraz mi pozostał i taka wewnętrzna totalna niezgoda.

A co z „czwórką apokalipsy”?

– Rozjechała się po studiach. Ja wylądowałem we Wrocławiu, jeden kolega na AGH w Krakowie. Dwóch kolegów w Opolu. No i najpierw jeden wyjechał do Niemiec, potem drugi. Aż w końcu trzeci. Nie oceniam ich, w jakimś sensie rozumiem, bo to były trudne decyzje związane z ich rodzinami. Ale koniec końców zostałem tutaj sam. No i co? Ciężko pracuję, robię, co mogę, ale wiem, że nigdy stąd nie wyjadę, choćby nie wiem co się działo. Moje miejsce jest tutaj. I to wszystko starałem się moim synom przekazać. „Panowie, wasz talent, wasza ciężka praca muszą owocować tutaj. Po prostu tu jesteście potrzebni”. Oczywiście jak się ma te ojcowskie uczucia – to się mięknie. Jak któryś powiedziałby, że chce, musi wyjechać, to go nie zostawię, tylko pomogę. Ale synkowie wiedzieliby, że nie jest to po drodze ojcu.

I z tego, co wiem, nie wybierają się na emigrację. Ale w tym kontekście chcę ci jeszcze opowiedzieć o dwóch rzeczach.

Słucham.

– Mówilem ci o tej mojej magicznej umiejętności przyciągania rzeczy do przerobienia. Tak przyszedł „Wołyni”, kiedy nie za bardzo chciałem zmierzyć się z przeszłością swojej rodziny, z jej genealogią. Coś we mnie otworzyła ta filmowa skrzynia, na której Maciej Skiba, jako najstarsza ręka rodu, zapisywał najważniejsze wydarzenia z życia rodziny, domu: Niemcy weszli, Ruscy weszli, koń kupiony, krowa się ocieliła, syn się urodził, syn umarł. Po tym filmie postanowiłem pogrzebać w naszej historii: pojechaliśmy z mamą do Krosna. Spotkaliśmy się z Krysią Przewłocką i znalazłem początek: moi dziadkowie uciekali przed Ukraińcami spod Lwowa. Przerazeni, na bosaka, głodni, wysiedli na pierwszej polskiej stacji właśnie w Krośnie, gdzie obcy ludzie – rodzina Przewłockich – się nimi opiekowała. Dała im pracę, nakarmiła, dała schronienie. Po roku moi dziadkowie wsiedli do kolejnego pociągu repatriantów i wylądowali w Gliwicach, tam się urodzili moi rodzice. Potem wsiedli do kolejnego pociągu repatriantów, wylądowaliśmy w Strzelcach Opolskich. Potem ja wsiałem w kolejny pociąg do Wrocławia, potem do Warszawy, potem mój brat i mama się sprowadzili. Pewnego dnia mama zapytała mnie, czy to jest koniec naszej wędrówki. Co bym powiedział na to, żeby sprowadzić prochy jej męża, naszego taty, na pobliski cmentarz.

Ostatnia stacja.

– Mama była osobą głęboko wierzącą, poszła więc do księdza. Ksiądz, jak się dowiedział, czyją jest matką, dostał szału. Strasznie ją poobrażał: jakiego ma syna, antychrysta, komunistę. Mama się tam popłakała, ale najbardziej dlatego, że tenże ksiądz dopisał do normalnej ceny kwatery na cmentarzu dla dwóch osób jedno zero i mama chyba była najbardziej przerażona tym, jak ona ma mi to powiedzieć, bo ja obiecałem, że kupię tę kwaterę.

I co zrobiłeś?

– Wściekłem się, wyjąłem kasę z konta i kupiłem. Wiesz, ile cmentarzy należy do Kościoła w tym kraju? Mam nadzieję, że to kolejna rzecz, która się zmieni po wyborach: że rozdzielimy w końcu ołtarz od tronu i rozwiążemy konkordat, koniec z przywilejami dla panów w czarnych sukienkach. Pamiętam, jak zarządca tego cmentarza, który de facto pracuje dla księdza proboszcza i zawiaduje jego włościami, mówi do mnie: „Panie Areczku, słyszałem, że pan to przeplacił u księdza za kwaterkę”. Powiedziałem mu ile. „Oż, to... Ale panie Areczku, bo pan by pewnie chciał gdzieś blisko tutaj rodziców, prawda, leżeć? Ale pan już tu kwaterki nie kupisz, dlatego ja panu proponuję, żeby panu zrobić piéterko”. „Ale jak piéterko?”. „No nad tatusem, mamusia – oby żyła jak najdłużej – będzie obok, ale to ja piéterko zrobię dla pana i dla pana żony. Ja mówię do niego: „Panie Karolu, czy pana pogięło? Co ja mam pójść do domu i zapytać żonę, czy chce mieć piéterko na cmentarzu?”. A on: „Pan pogada w domu, pan się zastanowi, ja poczekam jeszcze tutaj z tą murarką”. Na szczęście Agnieszka ma poczucie humoru, dystans. Uśmieła się, kiedy ją zapytałem: „Wolałabyś nad teściem leżeć czy nad teściową, bo jest taki plan, żebyśmy sobie wybudowali piéterko”. No i wiesz co, wtedy ta ostatnia stacja została ustanowiona – ponieważ mama leży koło taty, my z Agnieszką też już mamy swoje miejsce. Dotarło do mnie, że żeby zostać prawdziwym mężczyzną, to nie wystarczy syn, dom, drzewo, tylko jeszcze musi być kwaterka na cmentarzu. Gdziekolwiek synowie pojadą – zawsze będą mieli dokąd przyjechać, do dziadków i do rodziców – na jedno miejsce. Poczulem się jakiś taki spokojny, bezpieczny. Mamy ten swój świat, tę swoją wymarzoną, bezpieczną Polskę elegancko ogarniętą. ●

10 wskazówek dla reformatora nauki



Co zrobić, żeby polska nauka dogoniła światową? To proste.

Mniej polityki, gonitwy za punktami, troski o status quo i pozycję.

Więcej pieniędzy, młodości, ambicji i świeżej krwi

Prof. dr hab. Jacek Kuźnicki*

Ilustracja **Jacek Gawłowski**

DOKTOR NIEKONIECZNIE HABILITOWANY

Po Polsce potrzebna jest nauka? To prowokacyjne pytanie padło w trakcie spotkania zorganizowanego przez Instytut Problemów Współczesnej Cywilizacji im. Marka Dietricha na Politechnice Warszawskiej w grudniu 2022. Chciałoby się odpowiedzieć – oczywiście, że jest, ale biorąc pod uwagę, jak nauka jest postrzegana przez polityków prawie każdej opcji, odpowiedź nie może być pozytywna.

Jeśli racją jest, że nauka w Polsce jest wspierana adekwatnie do oczekiwań społecznych i w związku z tym nie powinna być lepiej finansowana, to powinniśmy pracować nad zmianą nastawienia społeczeństwa do nauki – i zmienić polityków, którzy nie widzą polskiej racji stanu w tym, aby nauka była na znacznie wyższym poziomie. Prawdziwy przywódca to ten, który ma plan działania dla dobra kraju i wprowadza go w życie, nawet gdy wiąże się to z ryzykiem utraty poparcia.

Jak napisaliśmy z prof. Januszem Bujnickim: „Tylko ci, którzy wskażą sposoby wspierania rozwoju nauki i szkolnictwa wyższego i będą umieli wykorzystać wiedzę i rzetelne dane do podejmowania decyzji, poprowadzą Polskę w kierunku dalszego postępu cywilizacyjnego”. W tym tekście przedstawię subiektywną ocenę największych problemów nauki w Polsce i zaproponuję sposoby ich przezwyciężenia, mając nadzieję, że wśród polityków pojawi się mąż stanu na miarę Stanisława Staszica.

DZIESIĘĆ WSKAZAŃ
DLA REFORMATORA NAUKI
W POLSCE

1
UTWORZENIE NIEZALEŻNEJ POLITYCZNIE
JEDNOSTKI DO OPRACOWANIA
REFORMY SKUTKUJĄCEJ LOGICZNYM
POŁĄCZENIEM W SPÓJNĄ CAŁOŚĆ
EDUKACJI PODSTAWOWEJ, ŚREDNIEJ
I WYŻSZEJ ORAZ SZCZEBLI KARIERY
NAUKOWEJ

Zainteresowanie młodych ludzi pracą w nauce w Polsce się zmniejsza, co widać w rekrutacji na stanowiska doktorantów i postdoków. Nie wiadomo, co jest przyczyną. Czy zła edukacja szkolna, jakość kształcenia na uczelniach, kwestie dotyczące stypendiów i wynagrodzenia naukowców, czy postrzeganie naukowców w społeczeństwie. Kolejne etapy edukacji łącznie z uzyskaniem doktoratu powinny być spójne z systemami krajów, które mają naukę na najwyższym poziomie. Przygotowanie takiej reformy powinno się odbyć w wyniku konsensusu. Jednak już teraz można wiele rzeczy zmieniać. Jedną z nich jest znacząca poprawa uposażenia, warunków pracy nauczycieli i podniesienie prestiżu ich zawodu. Niewiele się jednak uda osiągnąć, jeśli edukacja i nauka będą zmieniane pod bieżącą presją. Tak jak polityka zagraniczna, tak i ta sprawa powinna być ponad podziałami partyjnymi i światopoglądowymi.

2
ODPOLITYCZNIE NIE DECYZJI
DOTYCZĄCYCH NAUKI

Zmiany w punktacji czasopism i zmiany zasad w trakcie ostatniej ewaluacji to przykład, że decydenci działają nie w oparciu o jakość i dobro wspólne, ale by wspierać jednostki według poglądów własnych i partii u władzy. Podobnie, zapowiadana dawniej przez Ministerstwo Edukacji i Nauki zmiana ustawy o Narodowym Centrum Nauki miałyby być wprowadzona, ponieważ politykom nie podobały się uzasadnione merytorycznie wyniki konkursów. Nawet najlepiej funkcjonującą organizację można zepsuć, jeśli politycznymi decyzjami łamie się zasady jej funkcjonowania. Państwo działające według zasady „bez żadnego trybu” jest skazane na przegraną w globalnej konkurencji. Kontynuacją upolityczniania nauki są nominacje na stanowiska szefów niektórych agencji. Zamiast przejrzystych reguł decydujących o zasadach zatrudniania, po-

ne transparentne zasady, a decyzje podejmowane w oparciu o merytoryczne wskazniki i unikanie konfliktu interesów, wzorowane na funkcjonowaniu European Research Council (ERC), Fundacji na rzecz Nauki Polskiej czy NCN. Powołanie Akademii Kopernikańskiej to spektakularny przykład upolitycznienia nauki. Mimo sprzeciwu zgłoszonego przez wszystkie gremia reprezentujące instytucje naukowe oraz Senatu przegłosowano w Sejmie odpowiednią ustawę. Nowa Akademia będzie przypominać jeszcze bardziej upolitycznioną wersję akademii byłych krajów socjalistycznych i można się obawiać, że sposób podziału środków będzie podobny, czyli według klucza politycznego. Tymczasem to dążenie do jak najlepszej jakości badań, a nie koneksje polityczne, powinno decydować, kto dostaje wsparcie na badania oraz stypendia i nagrody.

3
REZYGNACJA Z EWALUACJI PUNKTOWEJ
NA RZECZ EKSPERCKIEJ
PRZEZ ODPOWIEDNIE KOMISJE

Ogromnym problemem nauki jest wartościowanie instytucji naukowych i badaczy na podstawie tzw. punktów. W środowisku naukowym nie mówi się już o planach badawczych, o wynikach własnych badań, ale o tym, ile punktów przyniosła publikacja. Ta patologia nazywana punktozą wyrządza szkody niweczające osiągnięcia najlepszych badaczy w Polsce. Obecna punktacja czasopism nie odzwierciedla ich znaczenia dla danej dziedziny nauki, a ewaluacja jednostek naukowych na tej podstawie to imitacja ich rzeczywistych dokonań i wpływu na naukę światową. Skuteczną reakcją na tę chorobę jest rezygnacja z ewaluacji opartej na liczeniu punktów oraz wprowadzenie eksperckiego systemu ewaluacji. Czym może być ocena ekspercka i jak ją zorganizować? Wzorem może być metoda wykorzystana w 2019 r. przez resort nauki, który w ramach programu „Inicjatywa doskonałości – uczelnia badawcza” (IDUB) wyłonił 10 uczelni badawczych. Proces wyłaniania beneficjentów odbył się wzorcowo m.in. dzięki profesjonalizmowi i autorytetowi zagranicznych członków komisji. Należałoby zatem powołać trzy międzynarodowe komisje zgodnie z podziałem w ERC i NCN: po jednej z nauk humanistycznych, nauk ścisłych i nauk o życiu. Powinny składać się one z badaczy, którzy nie mają związków z polskimi uczelniami i instytucjami, deklarujących brak konfliktu interesów, a tym samym możliwej stronniczości. Powinni to być uczeni o wybitnych osią-

nikami i rekomendacje powinny być dostępne publicznie.

4
FINANSOWANIE UCZELNI I INSTYTUCJI
NAUKOWYCH DOSTOSOWANE DO ICH
ROLI W NAUCE I KSZTAŁCENIU

Nie można oceniać różnych instytucji naukowych według tego samego wzorca. W Polsce mamy bardzo różne uczelnie: publiczne i niepubliczne, duże i mniejsze, zlokalizowane w dużych ośrodkach lub w mniejszych miejscowościach, gdzie są czasem jedyną tego typu instytucją. Różna też jest rola uczelni i ich znaczenie dla lokalnej społeczności oraz dla kształcenia w skali kraju. To zróżnicowanie powinno być wzięte pod uwagę w procesie ewaluacji uczelni oraz ich finansowania. Wzmocnienie wybranych uczelni w ramach programu IDUB było słuszną decyzją. Należy wspierać takie jednostki, które mają możliwości prowadzenia wysokiej jakości badań. Nie wszystkie jednak uczelnie korzystają z szansy, jaką jest zwiększenie o 10 proc. ich budżetów. Są i takie, które uznały, że dodatkowe fundusze należy przeznaczyć na inne cele niż inwestycje w kapitał ludzki, czyli na przykład zatrudnienie nowych postdoków i kierowników nowych zespołów naukowych. Polityka kadrowa, która ogranicza dopływ nowych naukowców i opiera się na chowie wsobnym, nie odniesie sukcesów. To jeden z poważniejszych problemów prowadzenia nauki w Polsce – bardzo mizerna mobilność naukowców pomiędzy ośrodkami i niechęć samodzielnych pracowników nauki do mechanizmów, które taką mobilność wspierają. Pokłosiem jest to, że pod względem odsetka naukowców Unii Europejskiej wyjeżdżających za granicę w latach 2005-22 Polska znalazła się na 27., ostatnim miejscu w Europie. W mniejszych miejscowościach uczelnie, oprócz kształcenia, pełnią ważną rolę społeczną i kulturotwórczą, dlatego zakres ich działalności naukowej nie może być głównym czynnikiem determinującym ich ocenę. Podobnie należy różnicować ocenę działalności instytutów Polskiej Akademii Nauk i międzynarodowych działających w Polsce, które prowadzą badania podstawowe, od działalności instytutów sieci Łukasiewicz, których główną rolą mają być wdrożenia. Dla działalności instytutów w tej sieci powinna powstać osobna komisja, w skład której wchodziłoby fachowcy mogący ocenić rzeczywistą wartość dokonań i zastosowań praktycznych.

5
ZWIĘKSZENIE FINANSOWANIA
BADAŃ PODSTAWOWYCH

Prace dotyczące badań podstawowych są w Polsce zależne od funduszy z budżetu państwa, które są znacząco niższe niż w innych krajach UE. Nie może więc dziwić fakt, że tak niska jest liczba polskich prac na liście najczęściej cytowanych publikacji. Główną agencją finansującą badania podstawowe w Polsce jest NCN. Utrzymująca się od kilku lat stagnacja jej budżetu czyni wyniki konkursów grantowych NCN coraz bardziej przypadkowymi i powoduje, że nawet bardzo dobre wnioski nie są finansowane. Konieczne jest zwiększanie budżetu NCN przez najbliższe lata po około 150 mln zł rocznie. Finansowanie nauki to najlepsza inwestycja, lepsza niż np. budowa Centralnego Portu Lotniczego. Stopa zwrotu jest znacznie większa, szybsza, a w dodatku – pewna. Co szczególnie ważne dla przyszłości Polski, inwestycja wspierająca rozwój młodego pokolenia naukowców, umożliwiająca im dobre warunki pracy w naszym kraju zmniejszy drenaż mózgów, a w dłuższej perspektywie może go odwrócić.

6
PODZIAŁ NARODOWEGO CENTRUM
BADAŃ I ROZWOJU (NCBR) NA DWIE
NIEZALEŻNE AGENCJE

Powstanie NCBR i NCN było wzorowane na podobnym modelu finansowania nauki funkcjonującym w Finlandii. Tam okazało się to sukcesem, w Polsce jednak działalność NCBR jest mało skuteczna. Powodów jest kilka. Po pierwsze, NCBR powstało jako odłam ministerstwa ze wszystkimi problemami biurokracji i upolitycznienia jego funkcjonowania. Byłoby lepiej, gdyby powstawało ono od nowa i poza Warszawą, tak jak NCN. Po drugie, ze względu na duży budżet stało się atrakcyjnym źródłem funduszy dla niejasnych, nieskutecznych, a czasem kuriozalnych przedsięwzięć. Przy braku odpowiednich reguł unikania konfliktu interesów, jawności procedur i innych sposobów gwarantujących merytoryczne decyzje ogromne środki krajowe i unijne zostały wydane bez widocznych efektów w postaci zastosowań. NCBR przynależało w różnych konkursach kilkadziesiąt miliardów złotych. Trzecim powodem braku znaczących efektów finansowania jest zbyt szeroka materia działalności NCBR. Warto rozważyć podział NCBR na dwie agencje. Jedną przeprowadzałaby konkursy na sfinansowanie badania potwierdzającego, że odkrycie dokonane w ramach badań podstawowych ma możliwości aplikacyjne i na uzyskanie patentu. Druga finansowałaby wdrożenia, co do których stwierdzono potencjał aplikacyjny oraz które mają już ochronę własności intelektualnej. W umowach NCBR z grantobiorcami powinna być zapewniona z przyszłych wdrożeń część zysków dla budżetu państwa lub bezpośrednio dla NCBR. Nie powinno być tak, że państwo inwestuje w prywatne spółki, dokapitalizuje je w postaci grantów, a potem jedynym beneficjentem jest właściciel takiej spółki. Ponadto nazwiska recenzentów oraz członków zespołów, którzy uczestniczyli w procesie przyznania finansowania, powinny być podane do publicznej wiadomości. To radykalnie ograniczyłoby podejrzenia o lobbging lub inne pozaprawne działania.

7
POWOŁANIE KOMISJI RZETELNOŚCI
NAUKOWEJ

Istnieje i działa komisja ds. etyki w nauce przy PAN, która w założeniach miała służyć całemu środowisku naukowemu. Jednak jej rola jest ograniczona ze względu na skalę problemów związanych z etyką w nauce i wąski zakres uprawnień. Walka z plagiatami, korupcją naukową, „spółdzielniami” naukowymi, lobbgingiem, mobbingiem i innymi patologiami wymaga bardziej zdecydowanych działań. Powinien powstać niezależny organ o znacząco większych uprawnieniach. Przyzwolenie w środowisku na różnego rodzaju nieprawidłowości ma negatywny wpływ nie tylko na działalność badawczą, ale też na to, kto pozostaje w instytucjach naukowych i uczelniach oraz jak postrzegane są wyniki naukowe publikowane przez autorów z Polski. Brak zdecydowanych działań powoduje, że złe wzorce przenoszą się na kolejne pokolenia.

8
REZYGNACJA Z HABILITACJI

Kariera naukowa w Polsce opiera się na centralnym systemie stopni i tytułów: doktorat, habilitacja i profesura przyznawana przez prezydenta. To system stopniowego osiągania niezależności, który tłumii potencjał młodych i ambitnych badaczy, uniemożliwiając im wczesne usamodzielnianie się. Wiele osób po doktoracie i stażu podoktorskim nie ma możliwości stworzenia wła-

Finansowanie badań podstawowych to inwestycja lepsza niż budowa Centralnego Portu Lotniczego. Stopa zwrotu jest znacznie większa, szybsza, a w dodatku – pewna

wołuje się czasem osoby bez kwalifikacji, ale mające wsparcie konkretnych polityków. Tak nominowane kierownictwo realizuje zapotrzebowanie partyjne w danej agencji, a nie misję, do której została powołana. Tam, gdzie są rozdzielane publiczne pieniądze, powinny być zachowa-

gnięciach i znaczącym autorytecie międzynarodowym. Komisje pracowałyby przez kilka lat, sukcesywnie prowadząc ocenę poszczególnych instytucji. W pierwszej kolejności mogłyby oceniać te, które same się do takiej oceny zgłosiły, a następnie byłyby oceniane instytucje wyłonione losowo. Wy-

snego zespołu naukowego. W ten sposób bezpowrotnie mija ich najbardziej kreatywny okres w życiu zawodowym. Część osób rezygnuje z ambitnych planów naukowych i przystosowuje się do otoczenia. Część podejmuje wyzwanie i „pracuje na habilitację”, zbierając określoną liczbę publikacji po doktoracie, lub gromadzi punkty, aby spełnić wymagania stawiane przez radę naukową lub radę wydziału, która będzie procedowała proces habilitacji. Konieczność jej uzyskania to nie tylko opóźnianie kariery młodych badaczy, ale również możliwość jej zahamowania. To system, w którym starsze pokolenie może uzależniać od siebie młodszych badaczy i ograniczać ich rozwój bez podstaw merytorycznych.

Zniesienie habilitacji oznaczać będzie lepsze dostosowanie do systemu ERC, w którym grant Starting można uzyskać od 2 do 7 lat po doktoracie, czyli bezpośrednio po stażu podoktorskim, ale już z obowiązkiem prowadzenia badań z pełną samodzielnością i możliwością stworzenia własnej grupy badawczej. Ważnym wymogiem w tym konkursie jest to, aby beneficjenci mieli już niezależne osiągnięcia badawcze. To radykalnie ogranicza szanse młodych naukowców z Polski, ponieważ bez habilitacji nie mogą wykazać tej samodzielności.

Przeciwnicy zniesienia wymogu habilitacji to najczęściej samodzielni pracownicy naukowi już po habilitacji, którzy twierdzą, że z powodu niskiego poziomu niektórych doktoratów jest ona konieczna, inaczej osoby z miernym doktoratem będą miały swoich doktorantów. Odpowiedziałbym im, że po pierwsze, za jakość doktoratów sami są odpowiedzialni jako promotorzy i recenzenci prac doktorskich, a po drugie, nie każda osoba po doktoracie musi prowadzić doktorantów. Zależy to od kilku czynników, w tym od decyzji kierownika jednostki, która może być negatywna, jak również od uzyskania funduszy na doktorantów w szkole doktorskiej. Po trzecie, należy stworzyć system, który wspiera najlepszych, a nie system, który poprzez wymóg habilitacji ma ograniczać słabych naukowców.

Rezygnacja z habilitacji spowoduje konieczność przejścia przez uczelnie i instytuty naukowe obowiązku oceny osiągnięć nowo rekrutowanych liderów z doktoratem, przyszłych promotorów doktorantów. Takie osoby powinny być wyłaniane w otwartych, międzynarodowych konkursach, co upoważniałoby je, po zatrudnieniu na stanowisku kierownika niezależnego zespołu, do uzyskania prawa do prowadzenia doktorantów. To nie stopień doktora habilitowanego wnioskowany przez komisję habilitacyjną, ale komisja konkursowa danej instytucji powinna być odpowiedzialna za to, kto w tej instytucji będzie miał doktorantów.

Taki mechanizm stwarza szanse na zmniejszenie lub eliminację zjawiska „dziedziczenia” pracowni naukowych, chowu wsobnego, promowania własnych wychowanków i umożliwia pozyskiwanie nowych liderów z ambitnymi planami. Wspierając kariery tych, którzy po stażach doktorskich mogą tworzyć własne zespoły naukowe.

9

ZWIĘKSZENIE WYNAGRODZENIA I OGRANICZANIE WIELOETATOWOŚCI

Niskie wynagrodzenia w instytutach naukowych i na uczelniach nie sprzyjają poprawie jakości badań. Przeciwnie, działają na nią negatywnie. Składa się na to wiele czynników, a jednym z nich jest konieczność dorabiania na dodatkowych etatach lub podejmowania prac zleconych. To powoduje, że trudno jest się skupić na twórczej działalności i na wydajnej pracy w macierzystej jednostce. Wieloetatowość niszczy poczucie lojalności wobec podstawowego miejsca pracy, utrudnia wewnątrzinstytucjonalną współpracę, a jeśli dodatkowe prace są wykonywane w ramach godzin

pracy lub z wykorzystaniem infrastruktury jednostki macierzystej, to rodzą się problemy etyczne. Warto zatem rozważyć ograniczenie pracy do jednego podmiotu, w zamian oferując odpowiednio wysokie wynagrodzenie w jednej tylko jednostce.

Drugim efektem niskich wynagrodzeń jest niechęć do podejmowania pracy naukowej przez młode i ambitne osoby, które znajdują wyższe wynagrodzenia w innych miejscach, gdzie też mają większe szanse na awans. Wyrażna niechęć świeżo upieczonych doktorów do podejmowania pracy na stanowisku postdoka to wynik m.in. braku perspektyw po jego zakończeniu. Wprowadzenie mobilności naukowców, uczciwych konkursów na stanowiska postdoków i kierowników grup badawczych oraz wyższe wynagrodzenia to sposób na zwiększenie atrakcyjności pracy naukowej w Polsce. Tak też już dzieje się w coraz większej liczbie placówek PAN.

W Niemczech od lat 90. powstało kilkadziesiąt nowych instytutów Maxa Plancka, w Polsce zaledwie kilka nowych instytutów PAN

10

RADYKALNA REFORMA POLSKIEJ AKADEMII NAUK

PAN powstała na początku lat 50. XX wieku, podobnie jak Towarzystwo Maxa Plancka (MPG) w Niemczech i ma podobną liczbę instytutów. Na stanowisko kierownika grupy badawczej lub postdoka w instytutach MPG zawsze aplikuje kilkadziesiąt osób, a do polskich tylko kilka, rzadko kilkanaście. Czynnikiem o tym decydującym są nie tylko pensje, ale przede wszystkim prestiż instytutów MPG, poziom naukowy jego pracowników, twórcze reguły pracy, dążenie do podejmowania ambitnych wyzwań i uzyskania wyników przełomowych, a nie odtwórczych i przyczynkowych. Z drugiej strony bylejakość, cwaniactwo naukowe i wszelkie formy nierzetelności naukowej są tam piętnowane. Wszystko to sprawia, że praca w instytutach MPG oznacza nobilitację naukową i umożliwia osiąganie kolejnych etapów kariery naukowej w najlepszych jednostkach na świecie.

Zmiany polityczno-ekonomiczne w Polsce po 1989 r. i zjednoczenie Niemiec w 1990 r. stworzyły szanse na zmiany w organizacji nauki w obu krajach. I tak, np. od tego czasu w Niemczech powstało na terenie byłej NRD kilkadziesiąt nowych instytutów MPG, które mają wszelkie wspomniane pozytywne cechy. Natomiast w tym samym okresie w Polsce powstało zaledwie kilka nowych instytutów i to w efekcie działań oddolnych, a nie systemowo wprowadzonych przez PAN czy ministerstwo. Konieczne jest stworzenie mechanizmu umożliwiającego powstawanie i sfinansowanie startu nowych instytutów PAN podejmujących wyzwania współczesności.

Nie tylko liczba instytutów pozostała praktycznie na tym samym poziomie, ale tematyka i zakres badań pozostały w wielu te same. Taka zachowawczość nie wpłynęła na poprawę jakości i spora część z nich nie prowadzi przełomowych badań, które z zasady powinny być realizowane w PAN. Być może te instytuty byłyby bardziej przydatne, gdyby zostały włączone do uczelni, a niektóre powinny zostać rozwiązane

ne z zapewnieniem wszystkim pracownikom osłony i możliwości przekwalifikowania się.

Reforma PAN jest konieczna, aby stała się ona nowoczesną organizacją adekwatną do potrzeb kraju i wyzwań dzisiejszej nauki. Konieczne jest wypracowanie modelu, który umożliwi rozwój dobrych instytutów PAN, wzmocni współpracę z uczelniami oraz wesprze je dzięki członkom korporacji oraz przez administrację PAN.

W jakim kierunku powinny nastąpić zmiany? Wiele sugestii znajduje się w projekcie PAN-beta inspirowanym strukturą MPG. Na przykład, struktura władz Akademii powinna być tak uproszczona, aby mogły sprawnie podejmować decyzje i je wdrażać, a także, aby była określona odpowiedzialność poszczególnych organów władzy. Powinien powstać Senat zajmujący się poziomem naukowym instytutów. W jego skład wchodziłoby, oprócz wybranych re-

prezentantów korporacji PAN, interesariusze społeczni i zagraniczni naukowcy o wysokim autorytecie. Wspierając działalność badawczą instytutów PAN, Senat podejmowałby decyzje w takich sprawach jak powołanie, połączenie czy rozwiązanie instytutu, a także nominacje i odwołanie dyrektorów instytutów oraz zatwierdzałby budżet PAN. W projekcie PAN-beta zaproponowano zmianę relacji między władzami PAN, korporacją a instytutami w taki sposób, aby członkowie korporacji mieli autentyczny wpływ na jakość działalności naukowej w tych instytutach, a dyrektorzy – rzeczywisty udział w kształtowaniu polityki Akademii. Kierownictwo PAN powinno stworzyć warunki prawnego wsparcia poszczególnych instytutów wobec zmieniających się przepisów i ich niejasnych interpretacji. W projekcie wskazano m.in. na kluczową rolę międzynarodowych komitetów doradczych, sugerując ograniczenie roli rad naukowych oraz na konieczność prowadzenia wyborów na stanowiska dyrektora, kierownika grupy badawczej i postdoka w otwartych międzynarodowych konkursach.

Reforma Akademii powinna wziąć pod uwagę problemy lokalowe różnych instytutów i stworzyć władzom możliwość ich rozwiązania. Potrzebny jest specjalny fundusz z budżetu państwa, który to umożliwi, np. obligacje, które obecnie są przeznaczone jedynie dla uczelni. Dodatkowym sposobem może być zbycie zbędnych nieruchomości i przeznaczenie uzyskanych środków na dofinansowanie infrastruktury istniejących instytutów oraz tworzenie nowych. W tym celu konieczny jest pełny audyt nieruchomości Akademii oraz uzyskanie poparcia władz państwa dla tej działalności.



Mimo opisanych problemów są też pozytywne przykłady, jak np. utworzenie i osiągnięcia międzynarodowych instytutów. Jednak największym sukcesem było powstanie 12 lat temu Narodowego Centrum Nauki w Krakowie.

Dzięki decyzjom władz kraju nie tylko powstało, ale mogło rozwijać działalność, otrzymując znaczące środki finansowe. Od początku istnienia NCN ogłoszono 225 konkursów, w których złożono ponad 130 000 wniosków, przyznano pra-

wie 26 000 grantów na łączną sumę około 13 mld zł, a konkursy rozstrzygano, zgodnie z ustawą o NCN, w ciągu 6 miesięcy. Połowę przyznanych funduszy otrzymali młodzi naukowcy. NCN jest agencją, która funkcjonuje według najlepszych wzorców światowych i zyskała uznanie w środowisku naukowym za rzetelne, merytoryczne uzasadnione decyzje grantowe. Ma też ogromny prestiż wśród najlepszych zagranicznych agencji finansujących badania.

Dzięki NCN pojawiło się pokolenie naukowców, które pod parasolem Centrum rozpoczynało kariery, dojrzewało naukowo albo przenosiło się z zagranicy do Polski i którego bez NCN dzisiaj by w naszym kraju nie było. To grono stanowi ogromny kapitał intelektualny. Należy zatem zrobić wszystko, aby mogło ono dalej się powiększać. Musimy zadbać, aby następne pokolenie miało co najmniej takie same lub lepsze warunki konkursowe do prowadzenia wartościowych projektów badawczych. Co więcej, granty NCN dobrze przygotowują do starania się o granty europejskie.

Z lekkim optymizmem można patrzeć w przyszłość z powodów politycznych. Choćby dawniej Nowoczesna, a teraz Polska 2050 mają w programie sprawy nauki, czyli są jednak w Polsce politycy, którzy rozumieją jej znaczenie dla rozwoju kraju. Pandemia pokazała, że wyniki badań naukowych mogą uratować miliony ludzi. Nauka i technologia to również podstawowe elementy bezpieczeństwa i obronności. Nie można zapominać o roli nauki w budowaniu nowoczesnej gospodarki oraz poczucia narodowej dumy. Dlatego mimo wojny, kryzysu finansowego oraz niespokojnej sytuacji światowej politycy powinni wspierać badania naukowe. Nie można na tym oszczędzać, gdyż jest to część polskiej racji stanu.

Jednak to nie politycy pracują na uczelniach i w instytutach naukowych. Poziom nauki i szkolnictwa wyższego zależy od nas samych. Niezależnie od reform konieczne jest rozbudowywanie działań związanych z przemianą mentalności społeczeństwa, aby rozumiało znaczenie wspierania nauki. Takimi działaniami są festiwale nauki, inicjatywy Centrum Nauki Kopernik czy warsztaty organizowane np. przez Biocentrum Edukacji Naukowej. Coraz więcej naukowców zdaje sobie z tego sprawę i uczestniczy w tych aktywnościach.

Potrzebna jest też zmiana naszego myślenia, aby nie tolerować bylejakości w nauce, cwaniactwa naukowego i nie wspierać nauki odtwórczej. Naczelną wartością naszego środowiska powinna być jakość badań, a nie ochrona przywilejów i statusu. Bądźmy pozytywnym przykładem. ●



FOT. MATERIAŁY NCBR

*Prof. dr hab. Jacek Kuźnicki

• neurobiolog, członek PAN. Pracował w amerykańskim Narodowym Instytucie Zdrowia w Bethesda, przewodniczył radzie Narodowego Centrum Nauki i Komitetowi Polityki Naukowej, kierował Międzynarodowym Instytutem Biologii Molekularnej i Komórkowej w Warszawie, gdzie prowadzi Pracownię Neurodegeneracji.

Tekst ukazał się w książce „**Nauka polska. Szanse, bariery i wyzwania**”. Dziękujemy Wydawnictwu Naukowemu Scholar za zgodę na przedruk. Tytuł i lead od redakcji. Pełna wersja tekstu na [Wyborcza.pl/magazyn](https://wyborcza.pl/magazyn).

• Anna Politkowska, 2006 r.
FOT. EFFIGIE/LEEMAGE/AFP

Moja Ania
dostawała
od rówieśników
wiadomości,
że „skończy
jak babcia”

BUKIET RÓŻ
SPRYSKANY
TRUCIZNĄ



Z **WIERĄ POLITKOWSKĄ**, CÓRKĄ SŁYNNNEJ
DZIENNIKARKI ZAMORDOWANEJ Z INSPIRACJI PUTINA,
ROZMAWIA **WIKTORIA BIELIASZYN**

Minęło siedemnaście lat od śmierci pani mamy. Osoba, która zleciła jej zabójstwo, nie została odnaleziona.

– Jestem przekonana, że człowiek, który zlecił zabójstwo mojej matki, jest w Rosji osobą wpływową. Być może nawet sprawuje jakiś urząd.

Zrozumiałe jest, że w dzisiejszej rzeczywistości nikt tej osoby nie będzie ścigać ani szukać. Nie powinno to dziwić. Tropy, które na przestrzeni wielu lat śledztwa udało nam się podjąć i namierzyć, wskazują na to, że zleceniodawca jest powiązany z organami struktur siłowych.

Nazywa się Władimir Putin czy Ramzan Kadyrow?

– Dopóki nie ma dowodów, które pozwoliłyby mi z przekonaniem powiedzieć, kto jest zleceniodawcą zabójstwa, nie jestem w stanie wymienić żadnego nazwiska, mimo że mam swoje podejrzenia. Mogę tylko powiedzieć, że Władimir Putin ponosi odpowiedzialność za śmierć mojej matki, bo doprowadził do sytuacji, w której to, co się stało, mogło się w ogóle wydarzyć.

Wierzy pani, że uda się ustalić, kto za tym stoi?

– Bardziej mam nadzieję, że kiedyś do tego dojdzie. Wiem jednak, że będzie to możliwe w zupełnie innej Rosji, kiedy obecny system upadnie. Nie zapowiada się, że nastanie to szybko. Nie chodzi tylko o Putina. Jeśli on zniknie, będzie toczyć się krwawa i brutalna walka o wpływy i władzę. Później zacznie się wewnętrzny ferment i dopiero po iluś latach, być może, u władzy znajdzie się odpowiedni człowiek.

Osoby odpowiedzialne za organizację zabójstwa zostały skazane, ale część z nich już wkrótce wyjdzie na wolność. Obawia się pani ich uwolnienia?

– W pewnym sensie tak, tym bardziej że ci ludzie są w taki czy inny sposób powiązani z organami struktur siłowych.

Ale rozumiem, że śledztwo w sprawie zabójstwa Anny Politkowskiej wciąż trwa?

– Formalnie tak, w praktyce nic się tam nie dzieje.

Wierzyła pani, że będzie inaczej?

– Przez pierwsze lata tak. Przez pierwsze pięć lat byliśmy w centrum uwagi, sprawa zabójstwa mojej matki była pod specjalną kontrolą prokuratora generalnego, szefa Komitetu Śledczego. Dostawaliśmy szczegółowe informacje, które dawały nam nadzieję, że śledztwo się toczy i są w nim nawet jakieś postępy. Dzisiaj myślę, że to był celowy zabieg, by trzymać nas w tej iluzji, że coś się w tej sprawie dzieje, a w praktyce nikt tak naprawdę ani przez moment nie szukał osoby, która zleciła zabójstwo.

Czytając książki Anny Politkowskiej, np. „Udręczona Rosja” czy „Rosja Putina”, opublikowane na początku XXI w., trudno nie odnieść wrażenia, że jako jedna z pierwszych głośno mówiła o tym, kim tak naprawdę jest rosyjski prezydent. Kiedy stało się to dla niej tak jasne?

– Bardzo wcześnie. W czasie, kiedy wielu wiązało z nim jakieś nadzieje co do rozwoju Rosji, moja mama mówiła, że Putin zgotuje nam taki los, o jakim nam się jeszcze nie śniło. Wtedy ludzie mówili, że przesadza. I że Putin nie jest wcale tak okropny. Historia pokazała, że w ocenie mamy nie było przesady. Ona nie miała tendencji ani do upiększania rzeczywistości, ani do koloryzowania dla wywołania większego efektu, co wielu jej wtedy zarzucało. A ona po prostu opisywała to, co widziała.

Iść pod prąd jest trudno.

– Reakcje ludzi ją bolały. Czula się osamotniona, bo oprócz kolegów z „Nowej Gazety” nikt z dziennikarzy specjalnie nie okazywał jej wsparcia. Wiem, że zginęła ze świadomością, że nie została zrozumiana. Bolało ją, że ludzie nie chcą znać prawdy, jeśli jest przykra i trudna. Albo komplikująca życie i obraz świata. Pisząc kolejne artykuły, m.in. o koszmarze wojny w Czeczenii, widziała, że społeczeństwo woli o tym wszystkim nie wiedzieć, nie słyszeć, bo wtedy może udawać, że czegoś nie ma.

Nazwisko Politkowska pomaga dzisiaj czy przeszkadza?

– W Rosji przeszkadzało. Łapałam się na tym, że poznając nowe osoby czy załatwiając coś, staram się, dopóki nie jest to absolutnie konieczne, nie mówić, jak się nazywam, bo nie wiedziałam nigdy, z jaką reakcją się spotkam. Dzięki mojej matce nazwisko Politkowska stało się symbolem sprzeciwu wobec obecnych władz. Niestety, dla tych, którzy popierają Kreml, władza jest dzisiaj jednoznaczna z ojczyzną. I jeśli jej się sprzeciwiasz, to występujesz przeciwko Rosji. Co jest absurdalne, nigdy przeciwko Rosji nie występowałam i wyraźnie widzę różnicę między krajem a władzami. Ale chodzi też o zachowanie tych, którzy się jej boją i nie chcą być z opozycją kojarzeni.

Jaki obraz Anny Politkowskiej mają Rosjanie?

– Większość zdaje się nie wiedzieć, kim była. Czytałam wyniki sondaży przeprowadzonych nie tylko w dużych miastach, ale i na rosyjskiej prowincji. Okazuje się, że przeciętny Rosjanin, czyli taki, który nie interesuje się polityką, nie jest w stanie odpowiedzieć, kim była Anna Politkowska. Z kolei zain-

interesowani sytuacją polityczną w kraju mają na jej temat zdanie zależne od własnych poglądów i sympatii. Bo jeśli ktoś popiera Kreml, to widzi w niej zagorzałą opozycjonistkę. A dla tych, którym działania rosyjskich władz się nie podobają, jest wzorem, kimś, kto gotów był do samego końca bronić swoich wartości, mimo że nie były one popularne.

Spotkałam się kiedyś z opinią, że Anna Politkowska dla wielu była „ostatnią instancją”.

– Dla tych, którzy do niej przychodzili, rzeczywiście tak było. Szukali u niej pomocy ludzie, którzy wyczerpali wszelkie inne środki, byli pozostawieni sami sobie lub ignorowani przez władze. Mama wysłuchiwała ich historii, publikowała na łamach „Nowej Gazety”. Chociaż nie zawsze powstawały na ich podstawie artykuły. Mama jako dziennikarka miała możliwość pomagać się od organów władzy informacji, oficjalnej odpowiedzi, o którą zwykły obywatel bezskutecznie ubiegał się miesiącami. Mama każdy przypadek i każdą historię traktowała bardzo osobiście. Angażowała się emocjonalnie, nie była w stanie zostawić człowieka w potrzebie.

Jak pani postrzegała jej pracę?

– Jako nieodłączną część jej życia. Praca pochłaniała ją do tego stopnia, że nie dało się powiedzieć, że w domu Anna Politkowska jest mamą, a w redakcji czy delegacji – dziennikarką. Nie dało się tej pracy od niej oddzielić, dziennikarstwo było dla niej na tyle ważne, że całkowicie wpisało się w jej tożsamość i życie. Jednocześnie nie jestem w stanie powiedzieć, że praca była dla mamy na pierwszym miejscu, bo zawsze, kiedy tylko tego potrzebowaliśmy, mogliśmy liczyć na jej uwagę i pomoc.

W książce wielokrotnie podkreśla pani: „mama była trudnym człowiekiem”.

– Była. Myślę, że inaczej nie byłaby w stanie tego wszystkiego udźwignąć. Nie zajmowałaby się takim dziennikarstwem. Ona nie tyle nawet przeżywała ludzkie historie, z którymi mierzyła się w swoim życiu zawodowym, co filtrowała je przez siebie, stając się niejako ich częścią. To bardzo wyczerpujące emocjonalnie.

Mama była trudna i w domu, i w pracy. Ogólnie w kontakcie. Jak w każdej rodzinie i w naszym domu zdarzały się kłótnie. Zwłaszcza że mama bardzo duży nacisk kładła na naszą edukację, była przy tym bardzo stanowcza i nieustępliwa. Nawet w wakacje, kiedy inne dzieci się bawiły lub leniuchowały, my rozwiązywaliśmy zadania przygotowane przez mamę. Jako nastolatka często się na nią z tego powodu złościłam. Z czasem, kiedy dorosłam, nasza relacja się zmieniła. Mama stała się także moją przyjaciółką.

O czym rozmawialiście?

– O wszystkim. To, co mama od zawsze starała się nam wpoić i przekazać, to wiara w prawo do wyrażania własnego zdania. I że może być ono słuszne, nawet jeśli większość się z nim nie zgadza. I znaczenie zwykłego człowieka. Dla niej najważniejszy był tzw. zwykły, szary człowiek, jego problemy i troski.

Matka powtarzała wam, że jej śmierć może być nagła i niespodziewana. Dla dzieci to potwornie trudne.

– My ze świadomością, że coś takiego może się wydarzyć, żyliśmy od zawsze. Dla nas lęk o życie rodziców był normą, choć zabrzmi to pewnie strasznie. Początkowo strach był związany z pracą ojca, który w czasach pieriestrojki znany był jako ostry, bezkompromisowy dziennikarz. Później, w kolejnych latach, groźby zaczęła otrzymywać też mama. I ja, i brat od zawsze wiedzieliśmy, że w każdym momencie może wydarzyć się coś, czego nie będzie się dało odwrócić.

Jak przygotowywała was do tego mama?

– Uczulała nas, byśmy byli ostrożni. Polecenia, by nie rozmawiać z nieznajomymi, nie wsiadać do nieznanych samochodów, nie były dla nas zbiorem pustych formułek, tylko radami, którymi mieliśmy się kierować w codziennym życiu. Mama nauczyła nas, że wychodząc z domu, trzeba się dokładnie rozejrzeć, sprawdzić, czy w pobliżu nie kręci się ktoś podejrzany. Kiedy o tym myślę, widzę, że to zupełnie zwyczajne środki ostrożności, nic specjalnego. Nie chodziliśmy z ochroniarzem.

Mimo że Anna Politkowska miała taką możliwość. Dlaczego z niej nie skorzystała?

– Mówiła, że to przesada.

Chociaż jednocześnie przygotowywała was na wypadek swojej nagłej śmierci i instruowała, co należy zrobić, jeśli po nią przyjdą?

– Mama uważała, że ryzyko jest wpisane w jej zawód i należy je zaakceptować. Zawsze wiedzieliśmy, gdzie są w domu pieśniadze, dokumenty i do kogo trzeba zadzwonić w razie czego. Częstsze rozmowy o śmierci zaczęły się po tym, jak otruto Jurija Szczekoczichina, dziennikarza śledczego „Nowej Gazety”, który ujawniał m.in. afery korupcyjne. Jurij został otruty tabletem. Krótko przed śmiercią zesza z niego skóra, stracił włosy, organy, jeden po drugim, przestawały działać. Mama pozwalała sobie wtedy na dziwne uwagi. Mówiła na przykład, że jeśli również miałaby zostać otruta, to chciałaby umrzeć ładnie. Powiedziała, że byłoby miło, gdyby otrzymała bukiet róż spry-

skany trucizną. Że to piękna śmierć dla kobiety. To były oczywiście posępne żarty, ale zapadły mi w pamięć.

W książce zwróciłam uwagę na pani reakcję, kiedy dowiedziała się pani o zaginięciu mamy na Kaukazie Północnym albo że najprawdopodobniej została otruta na pokładzie samolotu. Nie spanikowała pani, nie rozkleiła się, tylko wyszła na scenę i wystąpiła podczas koncertu. Pani też się z ryzykiem jej pracy pogodziła?

– W tych momentach dochodziło do mnie, że nastąpiło coś, na co nas przygotowywała. I że niezależnie od wszystkiego trzeba działać.

Nie powiedziałabym, że się z tym ryzykiem pogodziłam, chociaż... Wielu członków rodziny prosiło mamę, kiedy stało się jasne, że jej działalność przeszkadza władzom, by się zatrzymała. Tłumaczyli, że chmury nad jej głową są coraz ciemniejsze. Nigdy jej o tym nie mówiłam. Wiedziałam, że praca jest dla niej częścią życia, której nie da się odsunąć, bo składa się ona na całą jej tożsamość. Wydawało mi się, że nie mogę jej prosić, by tę misję porzuciła, bo to oznaczałoby, że chcę, żeby była kimś innym, niż jest. Jasne było dla mnie zresztą, że choćbym nie wiem co zrobiła, nie przekonam jej.

Czym tłumaczyła tę potrzebę ciągłego powracania do Czeczenii?

– Że jeśli nie ona, to nikt inny się tym nie zajmie. Mama wracała tam, rozmawiała z ludźmi, bo dobrze wiedziała, że bez tego jej praca nie miałaby takiej wartości. Bezpośredni kontakt z ludźmi był jej niezbędny, by pisać o sytuacji na Kaukazie Północnym, którą rosyjskie władze starały się maksymalnie uproszczyć i zakłamać.

Jest pani matką. Jak pani ocenia działalność swojej mamy z perspektywy czasu, mając takie doświadczenie?

– To trudne pytanie. Jestem jedynym rodzicem dla mojej córki, wychowuję ją samodzielnie. Dostosowuję swoje życie do tej sytuacji. Jeśli coś się ze mną stanie, moje dziecko zostanie samo. Nie mogę do tego dopuścić. Mama miała inną sytuację, my mieliśmy ojca i oczywiście było, że jeśli coś się stanie, będzie z nami on.

Została pani dziennikarką ze względu na rodziców?

– Nie, mama robiła wszystko, by żadne z jej dzieci nie miało nic wspólnego z mediami albo polityką. Kiedy okazało się, że jestem uzdolniona muzycznie, cieszyła się, że zdecydowałam się studiować w moskiewskim konserwatorium. Teoretycznie wynikało to ze zmęczenia tematem, bo w naszej rodzinie na dziennikarstwie i polityce wielu zjadło zęby, ale nie wykluczam, że chodziło o nasze bezpieczeństwo.

Zostałam dziennikarką przypadkiem: po ukończeniu konserwatorium rozpoczęłam pracę w zawodzie i rozumiałam, że w ten sposób się nie utrzymam. Zaczęłam pisać teksty o kulturze dla jednej z redakcji, wciągnęłam się, tak wyszło.

Nie miała pani potrzeby, by coś sobie lub komuś udowodnić i zajmować się takim dziennikarstwem, jakie uprawiała pani mama?

– To, co robiła moja matka, było na tyle wyjątkowe, że nikt nigdzie się podobnymi rzeczami nie zajmuje, bo jej praca nie była tylko klasycznym dziennikarstwem, ona w każdy swój tekst wkładała całą siebie, nasycala go swoimi cechami, których nikt inny nie ma.

Wyjechała pani z Rosji, gdy pani nastoletnia córka, która nazywa się tak jak jej słynna babcia, zaczęła otrzymywać groźby śmierci.

– Ania ma w sobie wiele z mojej mamy. Tak jak ona nie boi się zabierać głosu i wyraża swoje zdanie w różnych sprawach. Może to geny, a może też fakt, że jest w okresie dorastania. Kiedy zaczęła się rosyjska inwazja na Ukrainę, Ania zajęła bardzo stanowcze stanowisko i nie ukrywała przed kolegami w szkole, że jest przeciw. Zaczęły się konflikty, Ania dostawała wiadomości, dzieci pisały jej, że „skończy jak babcia”. Zabrałam ją ze szkoły. Dla mnie to była kropla, która ostatecznie przelała czarę goryczy. Chcę, żeby moja córka mogła normalnie żyć, a w tych warunkach okazało się to niemożliwe.

Pani w czasach nastoletnich miała podobne problemy.

– Chodziłam do szkoły w czasie pieriestrojki, kiedy społeczeństwo było bardzo podzielone co do oceny sytuacji. Niektóre dzieci, których rodzice nie zgadzali się z opinią mojego ojca, atakowały mnie. Tłumaczono mi jednak wtedy w domu, z czego to wynika.

W jednym z wywiadów przyznała pani, że zastanawia się, jak wiadomość o napaści na Ukrainę skomentowałyby Anna Politkowska. Podkreśliła pani, że pewnie trudno byłoby jej uwierzyć, jak daleko to wszystko szaszło.

– Tak, bo sama byłam w szoku, mimo że wiedziałam przecież, co mówi się o możliwej napaści na Zachodzie. Czytałam zagraniczne media, z których wynikało, że Putin przygotowuje się do wojny, a jednocześnie słuchałam wypowiedzi rosyjskich urzędników podkreślających, że to brednie. Kiedy Władimir Putin wystąpił kilka dni przed inwazją z wielką przemową, w której opowiada, czym jego zdaniem jest Ukraina, wszystko stało się

Ludzie nie chcą wojny, nie chcą krwi.

Problem w tym, że spora część Rosjan wierzy, że tylko Putin jest w stanie poradzić sobie z rządem tak wielkim i trudnym krajem jak Rosja

jasne. Wiadomo było, że do napaści dojdzie, ale nawet wtedy nie brałam pod uwagę, że może ona odbyć się na taką skalę.

Co pani wtedy czuła?

– Niedowierzanie, bo trudno było przyjąć do wiadomości, że to w ogóle możliwe. Zrozumiałam też, że musimy wyjechać z Rosji. I że Putin właśnie zepchnął nasz kraj w przepaść.

W książce opisuje pani, że kiedy pani oglądała w internecie, jak na Kijów spadają bomby, Moskwa żyła swoim życiem.

– Tak, chociaż muszę podkreślić, że całe moje środowisko było wstrząśnięte. Patrzyliśmy na siebie z szeroko otwartymi oczami, nie wiedząc, co powiedzieć czy zrobić. To, że dzisiaj ludzie w Rosji nie protestują i nie sprzeciwiają się otwarcie wojnie, mnie nie dziwi. Skala represji jest ogromna, właściwie nie da się nic zrobić, jeśli nie jest się gotowym pójść do więzienia.

W Polsce słyszę często, że Rosjanie tę wojnę popierają.

– Niezależne badania socjologiczne mówią, że nie więcej niż 30 proc. Rosjan popiera wojnę. Ludzie nie chcą wojny, nie chcą krwi. Problem polega na tym, że jednocześnie spora część Rosjan wierzy, że tylko Putin jest w stanie poradzić sobie z rządem tak wielkim i trudnym krajem jak Rosja. To efekt działania wieloletniej, agresywnej propagandy.

Dopiero po rozpoczęciu rosyjskiej inwazji na Ukrainę Zachód przyznał, że Putin jest zbrodniarzem, a nie politykiem, z którym należy prowadzić dialog i robić interesy. Pani matka mówiła o tym już dwadzieścia lat temu. Byłoby inaczej, gdyby wtedy jej wysłuchano?

– Historia nie ma trybu przypuszczającego. Mogę tylko przyznać, że tak, to prawda, moja matka o tym wszystkim mówiła już wcześniej. Szkoda, że jej nie posłuchano.

W Parlamencie Europejskim jedna z sal poświęcona jest Annie Politkowskiej. W wielu miastach Europy ulice, place i skwery również noszą jej imię. Przyjdzie dzień, kiedy i w Moskwie podobna inicjatywa będzie możliwa?

– Dopóki Putin jest u władzy – nie.

„W Rosji dojdzie do rewolucji, ale nie będzie ona ładna”, mówiła pani matka.

– Całkowicie się z tym zgadzam. Przyniesie ona dużo ofiar i wiele krwi, więc nie mogę powiedzieć, że chciałabym, by wydarzyła się ona jak najszybciej, ale jestem pewna, że prędzej czy później do niej dojdzie. I będzie to trudny czas dla całego kraju. ●

„Matka. Anna Politkowska. Życie w imię prawdy”. Książka Wiery Politkowskiej i Sary Giudice wydana przez Rebis już w do- brych księgarniach, na stronie wydawnictwa i w formie e-booka na Publio.pl. Tam także trylogia samej Politkowskiej: „Dziennik rosyjski”, „Tylko prawda” i „Rosja Putina”



Adam Michnik poleca

NIE NAZYWAJ ROSJI IMPERIUM

Czy Rosjanie chcą wojny? Zapytajcie nowo wcielonych, dla których zabrakło amunicji: „nie ma czym napierdalać w Ukrów”

Michaił Szyszkin*

Wyobraźmy sobie, że jest 20 lipca 1944 r., a operacja Walkiria zakończyła się powodzeniem. Pułkownik von Stauffenberg wysadza Hitlera w powietrze. Nowy rząd ogłasza koniec wojny. Warunkiem pokoju stawianym przez aliantów jest denazyfikacja Niemiec. Przeprowadzają ją partia i Gestapo.

Deputinizacji podejmie się następny Putin.

Całe życie stąpałem po pewnym gruncie, jakim była kultura rosyjska. Teraz pod stopami mam pustkę. Madame de Staël stwierdziła kiedyś: „Le silence russe est tout à fait extraordinaire: ce silence porte uniquement sur ce qui leur inspire un vif intérêt” („Milczenie Rosjan jest szczególnie niezwykle: milczą tylko o sprawach, które budzą ich żywe zainteresowanie”).

We wrześniu 2014 polecałem na targi książki do Krasnojarska. Wielkie święto literatury. Było jak we Frankfurcie nad Menem. Tak powinno to wyglądać w XXI wieku: kultura światowa czuje się na Syberii jak u siebie w domu.

W tamtym roku wszystkim moim europejskim wystąpieniom towarzyszyły dyskusje wyłącznie o wojnie. Na targach w Rosji natomiast rozmawiano o wszystkim, tylko nie o wojnie. Publikę interesował nowy przewodnik po starożytnym Rzymie. Byłem, zdaje się, jedyną osobą, która mówiła ze sceny o nadciągającej katastrofie.

To milczenie było poniżające zarówno dla pisarzy, jak i dla czytelników. Nie chciałem już nigdy więcej przeżywać takiego upokorzenia. W latach wojny milczenie stało się ogłuszające, a po 24 lutego 2022 nie do zniesienia.

Nieprzerwana lawina słów: „festiwale jabłkowo-książkowe”, prezentacje nowych przewodników po starożytnym Rzymie, periodyki literackie udające, że wszystko jest OK, kurs „Teorie i praktyki rzemiosła literackiego”, warsztaty dla młodych pisarzy na aktualne tematy: „Jak konstruować fabułę”, „Konflikt, bohaterowie, styl”. Lawina milczenia. Milczenie chórem. Jeden wielki masterclass z rosyjskiej kultury przemilczania.

Donośne niemówienie o tym, co ważne, jest jak policzek. Milczenie jako forma ocalenia? Rosyjska literatura nie uchroniła nas przed Gulagiem, ale



• Moskwa, październik 2022 r., pożegnanie młodych Rosjan zmobilizowanych na wojnę przeciw Ukrainie

pomagała przetrwać w Gulagu, jakim był nasz kraj. I dziś znów spieszy na pomoc.

Cytat z Facebooka pewnego znanego autora, występującego na spotkaniach z czytelnikami w Rosji:

„Publiczność na spotkaniach jest wdzięczna, serdeczna, uważna (od słowa uważać). Powiem jeszcze jedną rzecz: rok temu każde słowo, nawet zająknięcie o tym, co się wokół wyprawia, wywoływało falę wdzięczności. Dziękuję, dziękuję, że o tym mówisz! A teraz jest odwrotnie: dziękuję ci, że nie mówisz! Wszyscy wszystko i tak wiedzą. Zrozumieli. Zmęczeni się. Im dalej od otaczającej rzeczywistości, tym lepiej. Byle odpocząć i choć na moment zlać oddech”.

Milczenie jako strategia przetrwania, milczenie jako powietrze do oddychania.

Czas i okoliczności historyczne zmieniają kubki smakowe. Dawniej, w młodości, rosyjska klasyka chroniła mnie przed zachłystnięciem się sowieckim kłamstwem. Książki na półkach wciąż te same, rymy trwają w objęciach, litery się nie rozpięchły, tylko słowa znaczą coś zgoła innego, nabrały nowego smaku. Próbuję wracać do ulubionych poetów złotego wieku [lata 20.-40. XIX stulecia], a oni do cna przesiąkli patriotyczną rygownią.

Nie możemy nie nosić w sobie śladów mocarstwa, w którym dorastaliśmy. My wszyscy, urodzeni od Moskwy aż po peryferie, przyszlismy na świat i dorastaliśmy w tysiącletnim imperium i mimo żywej niechęci oddychaliśmy jego powietrzem. I kiedy mówimy o rosyjskiej „im-

perialności” czy o „kolonializmie”, to jest to dla tego bezkresnego, krwawego bajora pochlebne, bo stawia je na równi z imperium brytyjskim.

Należy zdać sobie sprawę z tego, że ów kraj nawet w XXI wieku żyje według praw Złotej Ordy: na szczycie piramidy stoi chan, a u jej podnóża – pozbawieni prawa głosu i własności niewolnicy. Jedynym celem istnienia tego ustroju jest władza dla samej władzy, a warunkiem jego istnienia – wystarczającym i koniecznym – jest przemoc. Taki sposób funkcjonowania całego kraju nie może zostać zniesiony żadnym dekretem, tak samo jak nie sposób dekretem znieść języka.

W ciągu życia wielu pokoleń więzienna rzeczywistość kształtowała więzienne zachowania. Kiedy wejdiesz między wrony, musisz krakać jak i one. Odzwierciedleniem owego stanu jest język, który był powołany do służenia rosyjskiej rzeczywistości, do utrzymywania nas w stanie niekończącej się wojny zarówno ze światem i ze sobą nawzajem.

Skoro wszyscy żyją według praw obozu, zadaniem języka jest wojna każdego z każdym. Jeśli obowiązkiem silnego jest pobicie słabszego, to język ma to zrobić słowem. Poniżyć, obrazić, odebrać przydział chleba, upokorzyć.

Język jako forma braku szacunku dla jednostki. Język jako narzędzie niszczenia godności ludzkiej. Takiej werbalnej broni, jak przekleństwa, nie posiada żadne inne „imperium”. Językiem tym, wyrażającym istotę rosyjskiego życia, mówią do ty-

siąca lat i władza, i lud. Język literatury rosyjskiej zaś jest tu kwiatkiem do kożucha, zagraniczną przybudówką języka niewolniczej piramidy, dobudowaną w XVIII wieku, gdy zachodni osadnicy przywieźli ze sobą takie obce pojęcia, jak Liberté, Égalité, Fraternité.

Dawno już zauważono, że rosyjska władza przypomina króla Midasa: podobnie jak starożytny król zamieniał w złoto wszystko, czego się dotknął, tak wszystko, czego dotknie się ona, zamienia się w łajno i krew. Władza wyciąga łapy po wszystko, czego dotknie się ona, zamienia się w łajno i krew. Władza wyciąga łapy po wszystko. Chce wykorzystać Tolstoj, Rachmaninowa, Brodskiego. Uprawia kult zmarłych, wiedząc, że ci nie zaprotestują, i roi sobie, że blask klasyków opromieni jej własne oblicze, reżim Putina i tę ich „specjalną operację wojskową”.

Nie mam wątpliwości, że Tolstoj wysłałby to bandyckie pseudopanstwo w... i zażądał, aby w każdej szkole na lekcji literatury nad tablicą wisiały zamiast portretu jego słowa: „Patriotyzm to niewola!”. Rachmaninow dawałby dziś koncerty charytatywne na rzecz rannych ukraińskich dzieci. Brodski pokajałby się za swoje haniebne „Igarstwa Tarasa” [Szewczenki; słowa z szyderczego wiersza „Na niepodległość Ukrainy”] i wygłaszając wykłady, zbierałby pieniądze na Siły Zbrojne Ukrainy. A co do Dostojewskiego, z jego prawosławnym wszechczłowiekiem, obawiam się, że byłby prowadzącym na prokremlowskim kanale Cargrad.

Po 24 lutego na protesty wychodziły tylko pojedyncze osoby. Gdzie się teraz podziabili ci wspaniali ludzie, którzy wyszli

FOT. SEFA KARACAN / ANADOLU AGENCY/ABACA / EAST NEWS

wtedy bronić godności narodu i kraju? Siedzą w więzieniach albo uciekli. Lud milczał. Strategią przetrwania pokoleń stało się milczenie. Zachodni znawcy Rosji tłumaczyli to strachem. Potem ogłoszono mobilizację i świat w zdumieniu przyglądał się setkom tysięcy Rosjan idących posłusznie na wojnę, by zabijać Ukraińców i by dawać się zabić. To już nie ma wiele wspólnego ze strategią przetrwania.

Czy Rosjanie chcą wojny? Zapytajcie nowo wcielonych, dla których zabrakło amunicji: „nie ma czym napierdalać w Ukrow”. Mieszkańcy Rosji skażeni są mentalnością plemienną. Ludzkość leczy tę chorobę wieku dziecięcego edukacją. W cywilizacji nowoczesnej plemię jest wypierane przez jednostkę, a ośnowę społeczeństwa stanowi podmiot. To ja sam ponoszę odpowiedzialność za najważniejsze decyzje, za odróżnienie dobra od zła. Jeśli mój kraj, mój naród czyni zło, to ja sprzeciwiam się swojemu krajowi i narodowi.

W świadomości plemiennej brakuje pojęcia odpowiedzialności indywidualnej za wybory moralne. Matka ojczyzna wzywa! Każdy rosyjski reżim – od „samodzierżawia, prawosławia, narodowości” po „Chwała KPZR!” i „Krym nasz” – starał się wzmacniać trybalizm i syndrom obłożonej twierdzy.

W mojej rodzimej rzeczywistości politycznej istnieją tylko dwie pory roku: porządek i smuta. Mądrość ludowa pokoleń mówi, że porządek to dowód prawowitości cara, a smuta to znak, że car jest fałszywy. Zwycięzców się nie wybiera. Jedynie siła legitymizuje rosyjską władzę. Przegrał w wojnie czezeńskiej? Borys alkoholik. Wygrał? Car na Kremlu. Anektował Krym? Jest Putin, a więc jeszcze Rosja nie zginęła. Nie pokonał kijowskich nacjonalistów? Karzeł w bunkrze za kilometrowym stołem.

Rosja to terytorium, na którym zatrzymał się czas historyczny. Kraj nie może w żaden sposób wyrwać się z przeszłości do teraźniejszości – zmiana kalendarza nie pomogła. Przegrana pod Kijowem czy brak zwycięstwa w wojnie z Ukrainą to czytelne znaki, że car jest fałszywy.

Kraj zamarł, gdy czołgom Prigożyna pozostało 400 kilometrów do Moskwy, potem 300, 200... W „oswobodzonym” Rostowie wagnerowcom rozdawano kwiaty i lody. Prigożyn mógł się ogłosić nowym carem. Miał po temu wszelkie warunki – siłę, której nie stawiano żadnego oporu. Był kością z naszej kości, rozciązał znajomy rosyjskiemu nosowi zapach więzienia, z jego ust płynęła ojczysta mowa. I co najważniejsze – był jedynym z putinowskich „generałów” z małym, bo małym, lecz jednak zwycięstwem w kieszeni.

Rosja jest gotowa na nowego cara, ale nowy car nie jest jeszcze gotów na Rosję. Nikt nie przyjedzie do Moskwy na abramsie. W sensie historycznym Niemcy miały szczęście, że płk von Stauffenberg nie dokonał udanego zamachu na Hitlera. Denazyfikację przeprowadzali nie członkowie Gestapo, tylko władze okupacyjne.

NATO nie będzie rozklejać w rosyjskich miasteczkach plakatów z wizerunkami zabitych ukraińskich dzieci: „To wasza wina, to wina waszego miasta”, jak robili to Amerykanie w powojennych Niemczech. Na mapie Rosji nie znajdziemy Norymbergi. Nie będzie narodowej skruchy. Postputinowscy władcy nie będą klękać w Buczy, Mariupolu, Pradze, Budapeszcie, Wilnie, Tbilisi. To nie licuje z carskością. W związku z tym nie będzie też planu Marshal-la. Będzie za to handshake z pierwszym kremlowskim panem, który obieca Zachodowi kontrolę nad rdzewiejącym arsenałem jądrowym.

Po jednym z wystąpień przedwyborczych Nawalnego ktoś podszedł do niego i powiedział: „Aleksieju, podoba mi się to, co mówisz, i ty też mi się podobasz, ale najpierw musisz zostać prezydentem, dopiero wtedy na ciebie zagłosuję”.

Aby wprowadzić w Rosji demokrację, trzeba najpierw zostać jej carem. A bycie carem oznacza bycie carem. Aktor odgrywa swą rolę, lecz nie może jej zmienić.

Rosja w najbliższej przyszłości będzie dla świata kultury strefą skażenia radioaktywnego. Rektorzy uczelni, dyrektorzy muzeów i bibliotek, reżyserzy teatralni i filmowi, którzy otwarcie poparli „specjalną operację wojskową”, stali się przestępcami wojennymi. Jednak nie muszą się martwić – lustracji nie będzie, a w sąd ostateczny i tak nie wierzą. Oczywiście, popierając wojnę, ratowali swoje muzea, biblioteki, teatry. Lecz zdradzając siebie, aby uratować teatr, reżyser nie będzie potem w stanie robić w teatrze tego, do czego jest powołany. Za pomocą zdrady nie da się ocalić ani siebie, ani teatru.

Kultura to forma istnienia ludzkiej godności. Można się oczyścić z brudu i potu, ale jak zmyć z siebie milczenie? Gdzie jest granica między milczeniem w imię ocalenia a podłością? Półrozpad strontu trwa 28 lat, cezu – 30. Jak długo trwa półrozpad podłości?

Wojna Putina to wojna zarówno przeciw Ukrainie, jak i Rosji. Zaprzepaszcza się kulturę. Unicestwia cały kraj. Lud milczy i zgodnie ze zwyczajem kładzie głowę pod topór z westchnieniem, że na górze wiedzą lepiej.

Jedyne, co można przeciwstawić milczeniu, to słowo. Wolne słowo to już akt oporu. W Rosji można śpiewać patriotyczne pieśni albo milczeć. Można emigrować. Emigracja to akt oporu.

Czy rosyjska kultura może istnieć poza granicami kraju? Od emigracji minionych wieków odróżnia nas możliwość korzystania z nowoczesnych technologii. Często się zastanawiam, jakie to musiało być trudne, jak bardzo odcięte od centrów rosyjskiej emigracji – od Berlina czy Paryża – musiało się czuć, dajmy na to, jakieś kółko literackie w Harbinie. A teraz jedziesz pociągiem przez Afrykę i mając dostęp do wi-fi, jesteś w centrum rosyjskiej kultury. To może być szansa na powstanie „pięknej Rosji przyszłości”, w której są Czechow i Rachmaninow, ale nie ma ani Putina, ani Prigożyna. Ten kraj istnieje w wirtualnym świecie. I być może z samej zasady nie może istnieć offline.

Moja Rosja to kraj ogłaszający niezależność od państwowego buta. Nie potrzebuje legalizacji, nie potrzebuje paszportów. Jej legitymacją jest oddech człowieka żyjącego rosyjską kulturą. Stolica jej jest wszędzie tam, gdzie my, jej nosiciele, konsumenci i twórcy.

Tylko jak długo może przetrwać język na emigracji? Mamy doświadczenie porewolucyjnego exodusu: dzieci mówiły jeszcze po rosyjsku, ale wnuki już nie. Mamy własne doświadczenie: dzieci jeszcze z nami rozmawiają po rosyjsku, ale co z wnukami? Rosyjska emigracja nie ma podstaw, które pozwoliły Żydom zachować swoją tożsamość przez tysiąclecia. Żydzi mają język i Boga. Rosjanie – tylko język. Czyli sławiści będą studiować literaturę w martwym języku jak łacinnicy?

Mieszkańcy naszej historycznej ojczyzny będą zawsze tworzyć rodzimy język, jak cudowny stoliczek magiczne potrawy, i nikt nie krzyknie: „Stoliczku, nie nakrywaj się!”. Przepływ świeżej krwi słownej z Rosji nie ustanie. To z sowieckiej brei wyłonił się Brodski, Sasza Sokolow, Wołodja Szarow. Jak rzeka znajduje swoje koryto, tak język zawsze znajdzie swojego poetę.

Po co nam rosyjska kultura? Jedynie tekst może przywrócić godność literaturze rosyjskiej. Tekst – odkupienie. I musi być napisany nie przez emigranta, lecz przez tego, kto siedział w okopie w Ukrainie i zadawał sobie pytania: kim ja jestem? Co tu robię? Po co ta wojna? Dlaczego my, Rosjanie, jesteśmy faszystami?

Czy taki tekst zostanie napisany? Bóg jeden wie. ●

przeł. Agata Jarek

*Michaił Szyszkin

– ur. w 1961 r. znany pisarz rosyjski, od 1995 r. żyjący w Szwajcarii. Po polsku ukazały się jego powieści „Włos Wenery” i „Nie dochodzą tylko listy nienapisane”. W 2013 r. odmówił uczestnictwa w delegacji pisarzy rosyjskich na międzynarodowe targi książki w USA, motywując to niechęcią do reprezentowania reżimu Putina. W kolejnych latach apelował do społeczności Zachodu m.in. o bojkot olimpiady w Soczi, a także innych masowych imprez organizowanych przez Rosję.

Tekst za portalem Radia Swoboda, gdzie ukazał się 30 września 2023 r. Tytuł – „Wyborcza”

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Leopold Staff*

Pierwsza przechadzka

Żonie

Będziemy znowu mieszkać w swoim domu,
Będziemy stąpać po swych własnych schodach.
Nikt o tym jeszcze nie mówi nikomu,
Lecz wiatr już o tym szepcze po ogrodach.

Nie patrz na smutnych tych ruin zwaliska.
Nie płacz. Co prawda, lży to rzecz niewieścica.
Widzisz: żyjemy, choć śmierć była bliska.
Wyjdźmy z tych pustych ulic na przedmieścia.

Mińmy bezludne tramwajów przystanki...
Nędzna kobieta u bramy wylotu
Sprzedaje chude, blade obwarzanki...
Będziemy znowu mieszkać w swoim domu.

Wystawy puste i zamknięte sklepy.
Życie się skryło chyba w antypodach.
Z pudłem grzebyków stoi biedak ślepy...
Będziemy stąpać po swych własnych schodach.

Ty drzysz, od chłodu. Więc otul się szalem.
Bez nóg, bez ramion, w brunatnej opończy
Młodzi kalecy siedzą przed szpitalem.
Widzisz: już pole. Tu miasto się kończy.

Zwalone leżą dokoła parkany,
Dziecko się bawi gruzem na chodniku,
Kobieta pierze w podwórku lachmany
I kogut zapał krzykliwie w kurniku.

Kot się pod murem przeciąga leniwo,
Na rogu człowiek rozmawia z człowiekiem...
Znowu w sklepiku zjawi się pieczywo
I znów zabrzęczą rano bańki z mlekiem.

Przejdą dni ciężkie klęski i rozgromu
I zapomnimy o ranach i szkodach...
Będziemy znowu mieszkać w swoim domu,
Będziemy stąpać po swych własnych schodach.



***Leopold Staff** — 1878-1957, poeta, dramatopisarz, tłumacz. Jeden z najbardziej znanych poetów polskich XX wieku. Wiersz z jego zbioru „Martwa pogoda” (1946), tutaj za: Staff, „Wybór poezji”, wyd. II, Ossoli-neum, Wrocław 1970.

FOT. ZBIÓRY BIBLIOTEKI NARODOWEJ

N A S Z A E U R O P A

Bernard-Henri Lévy:

SOJUSZ KREMŁA Z HAMASEM

Putin był uprzedzony o ataku na Izrael. Sprzęża własny imperializm z celami islamistów.

Laure Mandeville

LE FIGARO

Pisarz i filozof, człowiek instytucja, a także największy celebryta pośród francuskich intelektualistów, który nakręcił swój trzeci już film dokumentalny o Ukrainie, twierdzi, że „Rosja, która już całkiem otwarcie próbuje rozpętać wojnę światową przeciwko Zachodowi, stała się siłą w niebezpieczny sposób sprzęgającą z rosyjskim także chiński, irański i turecki imperializm”. Nowy film Bernarda-Henriego Lévy’ego o Ukrainie to dzieńnik z linii frontu, poniekąd hymn dla narodu obywateli-żołnierzy oderwanych od zwykłego życia i zmobilizowanych do walki z najeźdźcą. Premiera filmu, który 14 listopada został wyemitowany na antenie France 2, odbyła się parę dni wcześniej w Paryżu w obecności pierwszej damy Ukrainy Oleny Zelenskiej.

...

W pana filmie uderzyło mnie, pod jak wielkim wrażeniem ukraińskiego ruchu oporu pan pozostaje.

– To prawda. Podziwiam Ukrainę już od czasu rewolucji na Majdanie w 2014 r. Zachwycił mnie wtedy rozmach i spontaniczność tego wydarzenia. W historii nie tak znów często obserwujemy na własne oczy takie imponujące momenty zwrotne.

Mówi pan o „pojawieniu się narodu, który na nowo odkrył zapomniany w Europie smak bohaterstwa”.

– Zostałem wychowany przez ojca w kuliście Wolnej Francji, pierwszych gaullistów, ochotników Armii Afrykańskiej, a wcześniej Brygad Międzynarodowych w Hiszpanii. I tego samego ducha odnajduję w Ukrainie, podobny zbiorowy heroizm. To jest to, co Marc Roussel i ja sfilmowaliśmy w okopach i na froncie, gdzie od prawie dwóch lat wielomilionowy naród przypomina światu maksymę: „Lepiej ryzykować życie, stojąc, niż żyć na kolanach”.

Powtarza pan też, że stawka jest większa niż tylko los Ukrainy.

– Nie ja to mówię, tylko Ukraińcy. Zadaliśmy im wszystkim pytanie Franka Capry: „O co walczyć?”. Wszyscy odpowiadali: „Za nasz kraj i za Europę”. Albo: „Za naszą wolność i świata”. Stawka tej walki jest globalna, bo Ukraińcy walczą z Rosją, która właśnie próbuje rozpętać wojnę światową. Jeśli Putin miałby tu wygrać, to naprawdę byłby koniec Europy, koniec autorytetu Zachodu, promieniowania jego, naszych wartości.

Celem nie jest podporządkowanie Ukrainy, tylko konfrontacja z Zachodem?

– Przecież to właśnie on i jego ideolodzy powtarzają od dwudziestu lat. Nie chcieliśmy tego słyszeć ani rozumieć. Putin, kagiebiści,

nienawidzi Zachodu, który wyciągnął rękę do Rosji po upadku muru berlińskiego i zaofiarował jej każdą możliwą formę stowarzyszenia. A jeszcze bardziej nienawidzi tego aspektu Zachodu, który tkwi w umysłach i aspiracjach świata niezachodniego. Zachód jest nie tylko pojęciem geograficznym, ale też metafizycznym. Jest pewnym regionem świata, ale głównie pewnym sposobem bycia. Regionem, w którym mówi się coś bardzo prostego, choć Europa chora na pogardę dla siebie samej z coraz większym trudem to słyszy: wolność jest lepsza niż niewola. Ustrój polityczny i społeczny oparty na równości płci jest lepszy niż ten oparty na poniżeniu kobiet. I jeszcze: demokracja parlamentarna jest lepsza od „orientalnego despotyzmu”, o którym po Monteskiu pisał wielki historyk Chin Karl Wittfogel.

Akcja filmu toczy się na linii frontu od czerwca do września 2023 r. Co pan sądzi o pesymistycznej ocenie kontrofensywy dokonanej przez dowódcę Sił Zbrojnych Ukrainy Walerija Żaluźnego? Mówi w „The Economist”, że nastąpił impas i potrzeba cudu technologicznego, by go przełamać.

– Mielśmy już do czynienia z psychologicznym cudem: postawa Zelenskigo, potem zryw Ukraińców i ich męstwo. Teraz potrzebujemy drugiego cudu, w sumie znacznie łatwiejszego niż pierwszy, i nie jestem pewien, czy jest on naprawdę „technologiczny”. Chodzi o to, by Ukraina wreszcie dostała samoloty F-16, bez których nie da się pójść do przodu. Zachód robi bardzo dużo – ale to wciąż zaledwie tylko tyle, żeby Ukraina nie upadła. A za mało, żeby wygrała. I cały czas za późno. Razem z moją ekipą badaliśmy sytuację na linii frontu w Donbasie. Liczyliśmy amunicję. Ukraińcy za każdym razem mieli zapasy na kilka dni. W niektórych miejscach na tydzień. Pomoc z Zachodu spływa kroplami.

Zachód przyhamował z pomocą, bo boi się scenariusza, który doprowadzi do eskalacji lub ryzykownej implozji Rosji?

– Na razie to jedyny prawdziwy sukces Putina. Udało mu się wsączyć w nasze żyły przekonanie, że Rosja jest krajem niebezpiecznym, gotowym na wszystko. I że zbyt wielka porażka pograży ją w chaosie podobnym do tego po rewolucji 1917 roku lub upadku muru berlińskiego. Zważywszy na globalny kontekst geopolityczny, w jaki wpisuje się ta wojna, ja bym się z takiej perspektywy cieszył. Jestem jak François Mauriac, który tak bardzo „kochał” Niemcy, że nie przeszkadzało mu po klęsce nazizmu powstanie aż dwóch niemieckich krajów...

Chce pan powiedzieć, że politycy, np. w Pałacu Elizejskim, nie rozumieją tych globalnych ram działań Kremła?

– W Paryżu akurat rozumieją je lepiej niż gdzie indziej. Ale martwię się o Waszyngton, zwłaszcza po wyborach, a także, oczywiście, o to słynne globalne Południe, gdzie, jak się wydaje, nie rozumieją, że dzisiejszy imperializm z jego szlakiem grabieży, morderstw, upokorzeń i uzależnień jest chiński, turecki, irański, islamski i oczywiście rosyjski.

Jak odnieść konflikt ukraiński do kryzysu na Bliskim Wschodzie, który wybuchł wraz z atakiem Hamasu 7 października?

– Hamas to organizacja z ducha nazistowska, która nie istniałaby bez strategicznego i finansowego wsparcia Iranu. A za Iranem przecież stoi Rosja. Ukraińcy o tym wiedzą. „Kiedy ty kręcisz ten film – powiedzieli mi – Ławrow



FOT. LEV RADIN/SHUTTERSTOCK

rozmawia z Hamasem, a w Bejrucie, z blogosławienstwem Putina, toczą się rozmowy między Hezbollahem, irańskimi instruktorami i mordercami z Hamasu”. Jestem przekonany, że Rosjanie wiedzieli o planie ataku na Izrael. I Ukraińcy też tak myślą.

Putin utrzymywał równowagę między swoimi relacjami z Izraelem a powiązaniami z Hamasem, Hezbollahem, Iranem. Teraz zdystansował się od Izraela.

– Nigdy nie wierzyłem w tę sympatię Kremła dla Izraela. Znam teksty otaczających Putina ideologów. Kilka lat temu w Amsterdamie brałem nawet udział w debacie z Aleksandrem Duginem, teoretykiem eurazjyzmu. On ma dwa kompasy – antysemityzm i, oczywiście, antyzachodność. Zawsze powtarzał, że Izrael jest lokajem Ameryki, a syjonizm – plagą tego świata. 7 października, w dniu ataku Hamasu, wrzucił tekst na Twitterze. Ani słowa o ofiarach. Żadnego potępienia terroryzmu. Tylko pochlebne zdania na temat mesjanizmu w radykalnym islamie.

Jak uzasadnia pan ten sojusz islamizmu z antysemityzmem? Czy to tylko frustracja zbyt długą dominacją Zachodu, walka z nowoczesnością?

– Dugin, śladem ideologów nazizmu, usprawiedliwia antysemityzm „korumpującym” charakterem „żydowskiego fermentu” mającego na celu rozpuszczenie najsilniejszych organizmów tożsamości. Zaczynając od rosyjskiej.

Ale czy sojusz z muzułmańskim radykalizmem nie jest przede wszystkim narzędziem Kremła? Rosyjskie prawosławie nie łączy się dobrze z muzułmańskim fundamentalizmem.

– Tak by się wydawało, prawda? Na tym polega „oryginalność” putinizmu. Używa prawosławia, by uzasadniać, dlaczego wrogiem Rosji jest katolicyzm i judaizm. A najbardziej znienawidzonym przez tych „wielko-

ruskich” ideologów – nazywających katolicyzm „łacińską herezją” – elementem chrześcijaństwa zachodniego jest zasadniczy rozdział między tym, co boskie, a tym, co cesarskie. Dlatego opowiadają się dziś za wielkim sojuszem dwóch mesjanizmów, rosyjskiego i muzułmańskiego.

ZSRR finansował arabski terroryzm.

– Wszystkie palestyńskie ruchy terrorystyczne były finansowane z ukrycia przez KGB. Ale to było doraźne, pragmatyczne w czasie zimnej wojny, natomiast wraz z Putinem przeszliśmy na wyższy, bardziej ideologiczny poziom. To nie przypadek, że na początku wojny w Ukrainie Putin opierał się na dwóch nogach – Prigożynie i myślącym jak on obozie ultranacjonalistycznym oraz Kadyrowie, watażce, który w oddanej mu we władanie Czeczenii wprowadził terror i prawa szariatu.

Czy to Rosja jest teraz siłą stojącą za „międzynarodówką resentymentu”, z Chińczykami w tle, o czym świadczy kolosalny wzrost antyizraelskich wypowiedzi na TikToku?

– Zarysowała się już dość wyraźnie międzynarodówka, która postanowiła zdobyć serca globalnego Południa. Z jednej strony mamy Stany, Europę i tych przedstawicieli reszty świata, którzy dzielą nasze wartości. Z drugiej strony Putin, Xi Jinping, Erdogan i Chamenei, którzy wraz z sunnickimi talibami i Hamasem dostrzegli szansę na zmianę porządku geopolitycznego na swoją korzyść. To nowa konfiguracja.

Szczególnie niepokojące jest to, że podział przebiega już także przez kraje Zachodu. Zarówno na amerykańskich kampusach, jak i w wielu dzielnicach Paryża ludzie głośno wspierają Hamas i otwarcie szczują na Żydów, Izrael i zły, biały, pouczający, ale obłudny Zachód.

– Co, nawiasem mówiąc, oznacza, że jeśli faktycznie mamy do czynienia z „wojną cywilizacji”, to znowu nie ma ona wcale charakteru geograficznego, tylko toczy się w głowach, w naszych miastach. A Putin czy Erdogan nieprzerwanie dolewają oliwy do ognia. Za epidemią antysemickich graffiti na ulicach Paryża prawdopodobnie – według naszych służb – stoją Rosjanie.

W filmie pokazuje pan podobieństwa łączące dziś sytuację Izraela i Ukrainy.

– Owszem, poprzez scenę z młodymi żołnierzami Sił Obronnych Izraela, z odsłoniętymi twarzami, którzy walczą ramię w ramię z elitarną ukraińską jednostką.

Pokazuje pan także odrodzenie żydowskiego życia w Ukrainie. Czy przepracowuje się tam złą przeszłość?

– To przeszłość potworna. Ale jedna z różnic między Rosją a Ukrainą polega na tym, że Ukraina rozpoczęła pracę nad pamięcią, żałobą i pokutą. I widzimy już skutki – synagogi w Dnieprze i Odessie, gdzie ludzie z dumą modlą się i uczą.

Jest w filmie scena, w której ranny żydowski żołnierz robi pompki w synagodze w Dnieprze, bo chciałby jak najszybciej wrócić do akcji...

– A przy okazji został idolem moich ukraińskich pomocników: wszyscy walczyli o zaszczyt zrobienia sobie z nim selfie.

Wspomina pan o Ukraińcach, którzy pomagali przy filmie. Jak został tam

NASZAEUROPA

przyjęty Francuz? W pewnym momencie żołnierze demonstrują ironicznie „postawę bojową” zwaną postawą Macrona...

– Od początku wojny widzieli, jak przyjeżdżam, a potem znów wracam, spędzam czas w terenie i przynajmniej w ułamku dzielę ich życie. Wiedzą, że jestem ich przyjacielem.

Kolejna niezapomniana scena to rozmowa z trzema rosyjskimi jeńcami.

– Są tak godni pożałowania! Nieprzygotowani do brzemienia, jakim jest ta inwazja. Traktowani przez swoich jak niewolnicy. Nie mają cienia pojęcia, dlaczego walczą w tej wojnie. Chciałbym, żeby Francuzi zobaczyli ten fragment i zrozumieli, jak zdemoralizowana jest „druga co do wielkości armia świata”, która zdaniem wielu z nas jest niezwykczona...

Ale czy w obrazie bohaterskiej Ukrainy są jakieś rzeczy, które budzą pana niepokój co do przyszłości? Françoise Thom, specjalistka od Rosji, obawia się zjawiska, jakie obserwowano u francuskich żołnierzy po powrocie z wojny 1914-18. Bezmiar strat zrodził pacyfizm, który doprowadził potem do klęski.

– To możliwe i wszystko mnie martwi: zniszczone życie tylu ludzi, nieodwracalne szkody wyrządzone ciałom i duszom, ruiny. Nie wiem, jak można dojść do siebie po takich doświadczeniach. Ale żołnierze się trzymają. Zachód jest zmęczony tą wojną, której nie prowadzi i którą ogląda z fotela. Nie oni.

Sugeruje pan, że gdyby coś takiego spotkało Europę, nie będzie w nas takiej samej zdolności do walki?

– Nie wiem. Wystarczy spojrzeć na to, co wydarzyło się ostatnio w Afryce, skąd rejterujemy. Jesteśmy zbyt pasywni. A jednak mam nadzieję, wierzę, że znajdziemy w sobie taką siłę. Dlatego właśnie nakręciłem ten film. Żeby pokazać tutaj, we Francji, przykład oporu, tak nieoczekiwanego.

Mówi pan w filmie: „Ja odchodzę, a oni zostają”. Czy nie kusilo kiedyś pana, by zostać i samemu chwycić za broń?

– Raz, 30 lat temu, w czasie oblężenia Sarajewa. Zasugerowałem bośniackiemu prezydentowi pomysł stworzenia międzynarodowej brygady. Uśmiechnął się i powiedział: „Mamy żołnierzy, których potrzebujemy; jeśli ty wiesz, jak trzymać kamerę, to ten obraz może być wart tysiąca karabinów”. Wtedy nakręciłem swój pierwszy dokument.

Mówił pan wcześniej o galerii bohaterów. Którzy są dla pana najważniejsi?

– Wolna Francja de Gaulle’a, o której już wspominaliśmy. Ale też międzynarodówka pisarzy, którzy są ludźmi czynu i którzy fascynowali mnie od najmłodszych lat: Malraux, Lawrence z Arabii, Orwell, Hemingway z czasów hispańskiej wojny domowej i oczywiście mistrz ich wszystkich, lord Byron.

Jak w tym kontekście odbiera pan zarzuty o narcyzm?

– Śmieję się z tego. Od 50 lat staram się rzucić nieco światła na zapomniane ofiary i bohaterów współczesnych wojen. Emmanuel Levinas nazywał to stawaniem się zakładnikiem Innego, które pochwalał.

Michel Foucault nazywał to „parrêsia”. Po grecku: „odwaga mówienia prawdy”. Ale „pilna potrzeba” też wystarczy, żeby wyjaśnić, dlaczego jeżdżę z kamerą na te wojny.

Boi się pan tego, co dzieje się we Francji? Rosnącej przemocy, komunitaryzmów, antysemityzmu?

– Boję się dwóch rzeczy. Ataków antysemickich. A potem, zważywszy na podsycany przez skrajne poglądy klimat nienawiści, wojny domowej w jakimś kraju na Zachodzie. ●

tłum. Sergiusz Kowalski

Dlaczego państwa zabijają

Zemsta, kara, samoobrona

Pokusa „selektywnej eliminacji” osób uznanych za wrogów państwa to coś, co cechuje dyktatury, ale jest nieobce i demokracjom.

Robert Stefanicki

Aleksander Litwinienko, były oficer KGB, otruty polonem w londyńskiej restauracji. Osama bin Laden, szef Al-Kaidy, zastrzelony przez amerykańskich komandosów w domu w Pakistanie. Jamal Khashoggi, publicysta krytyczny wobec reżimu Saudów, poćwiartowany w konsulacie w Stambule. Daria Dugin, córka ideologa rosyjskiego imperializmu, wysadzona bombą w samochodzie. Hardeep Singh Nijjar, sikhijski separatysta, rozstrzelany przed świątynią w Kanadzie.

Bardzo różni ludzie, a łączy ich jedno: zostali zabici przez służby państwa innego niż to, w którym mieszkali, bo wyrządzili mu szkodę lub w ramach przestrogi dla innych.

Zemsty serwowane na zimno

Żadne z nich w chwili śmierci nie tworzyło bezpośredniego zagrożenia dla zleceniodawców. Zemsty były serwowane na zimno. Litwinienko skompromitował Putina, gdyż uciekając z kraju, zabrał ze sobą dokumenty dowodzące przestępczej i korupcyjnej działalności rosyjskich służb bezpieczeństwa – ale co miał ujawnić, już ujawnił. Podobnie Khashoggi nie stanowił ryzyka dla władz w Rijadzie. Najjar grał Indiom na nerwach, organizując niepodległościowe referenda i manifestacje, ale fantazje o wykrojeniu samodzielnego państwa Sikarów nie miały żadnych szans na realizację. Aleksandr Dugin, który był właściwym celem zamachu, i jego córka, choć popierała wojnę w Ukrainie, to nie byli za nią odpowiedzialni.

Al-Kaida dekadę po zamachach z 11 września była osłabiona i niezdolna do ponownego ataku na terenie USA. Zabicie Osamy i zrzućenie jego ciała do morza miało symbolicznie przypieczętować triumf USA w wojnie z terroryzmem. Nawet nie próbowano go pojąć i postawić przed sądem.

Prawo międzynarodowe jest w tej materii niejednoznaczne. Karta Narodów Zjednoczonych nakazuje „powstrzymywanie się od użycia siły przeciwko integralności terytorialnej lub niezależności jakiegokolwiek państwa”. Jednocześnie statut ONZ uznaje „przyrodzone prawo do indywiduальной lub zbiorowej samoobrony w przypadku napaści zbrojnej”. Czyli zabójstwa w czasie wojny mogą być dopuszczalne, o ile są zgodne z prawem wojennym.

Wyrok podczas joggingu

Broni się więc zabójstwo Stanisława Rzyckiego, byłego dowódcy rosyjskiej łodzi podwodnej, odpowiedzialnego za wystrzelenie rakiety, która w lipcu 2022 zabiła 38 Ukraińców. Rzycki został zastrzelony rok później podczas joggingu w Krasnodarze. Też była to zemsta, ale trwa wojna i żołnierze muszą się liczyć ze śmiercią. Ukraina atakuje dowódców rosyjskich, tak jak w 1943 r. alianci zestrzelili nad Wyspami Salomona samolot przewożący japońskiego admirała Yamamoto Isoroku, autora ataku na Pearl Harbour. Nie ma z tym problemu.

Ale dalej sprawa się komplikuje. Terrorystów, w tym Osamę ben Ladena, można uznać za żołnierzy, a zamach terrorystyczny za ich agresję zbrojną. Ale co zrobić z tymi, którzy dla jednych są bojownikami o wolność, a dla drugih terrorystami? Tak problem jest m.in. obecnie z oporem palestyńskim. Hamas stosuje terroryzm, ale dla Arabów terroryzmem jest to, co robi Izrael. Jedni i drudzy będą się powoływać na prawo do samoobrony. Możemy polegać tylko na subiektywnych odczuciach.

Dlaczego żałujemy Khashoggiego, a nie Dunin? Bo on był krytykiem reżimu łamiącego prawa człowieka, a ona służyła podobnego reżimu. Ale czy karą za to powinna być śmierć? Kijowski korespondent tygodnika „Economist” napisał, że zabijanie rosyjskich „propagandystów średniego szczebla” budzi kontrowersje również wśród Ukraińców.

Celami „selektywnej eliminacji”, jak oględnie można przełożyć angielską frazę „targeted killing”, są wrogowie pozostający poza zasięgiem sprawiedliwości. Siłą rzeczy wydawane na nich wyroki będą budzić wątpliwości.

Trocki, Mosad i doktryny

Potencjalnie każdy naród może stanąć przed takimi dylematami. Jeśli złamanie się system demokratyczny i rządy prawa, to zniknie nadzieja na to, że sprawcy zostaną uczciwie osądzeni. Jeśli władza zacznie eliminować krytyków, to po drugiej stronie uaktywnią się sądy kapturowe. Potem kolejne pokolenia będą się spierały, czy samozwańczym sędziom i katom oddawać cześć, czy się ich wstydzić.

Zlecane przez państwo zabójstwa wrogów chroniących się za granicą nie są nowością. Najbardziej znany jest z tego wywiad izraelski, do którego czasem czyni aluzje ukraińskie kierownictwo, gdy mruga okiem, wypierając się sprawstwa zamachów na Rosjan i kolaborantów. Ale Ukraińcy nie muszą szukać tak daleko. Mosad wzorował się na tajnej policji z czasów sowieckich kierowanej przez Pawła Sudopłatowa. Urodził się on w Melitopolu i spędził lata 30. na infiltrowaniu ukraińskich grup nacjonalistycznych. Jednego z ich liderów zabił bombą ukrytą w pudełku czekoladek. On także zaplanował zabójstwo Lwa Trockiego w Meksyku przy użyciu czekana.

Skrytobójstwa są wpisane w doktrynę bezpieczeństwa narodowego Izraela. Karząc ramię Mosadu sięga po byłych nazistów, arabskich terrorystów, irańskich atomistów. W zgodzie z Talmudem: „Jeśli ktoś przyjdzie, żeby cię zabić, wstań i zabij go pierwszy”. Palestyńczycy też mogliby się pod tym podpisać.

Ale nikt nie zrobił więcej dla oswojenia tego narzędzia niż Amerykanie. Jeszcze w XX w. były to akcje sporadyczne i niekiedy komiczne, jak próby zgładzenia Fidela Castro przy użyciu zatrutego cygara. Natomiast po zamachach Al-Kaidy w 2001 r. ruszyła lawina. Administracja G.W. Busha zaprzęгла prawników, którzy kombinowali, jak dać rządowi większą swobodę działania bez pytania Kongresu. Uznano, że akcja militarna w innym państwie jest dopuszczalna, jeśli to państwo „nie chce lub nie jest w stanie” zapobiegać aktom terroryzmu. Następnie wymyślono „przewidującą samoobronę”, pozwalającą na użycie siły, aby zapobiec zagrożeniu atakiem. Najpowszechniej akceptowana definicja głosi, że to zagrożenie powinno być „natychmiastowe, przytłaczające i niepozostawiające

wyboru środków ani czasu na namysł”. Ale ludzie Busha usprawiedliwiali użycie siły, jeszcze zanim zagrożenia „w pełni się uformują”. Wystarczy, że prezydent uzna, iż posłuży to interesowi narodowemu.

Administracja Obamy na nowo zdefiniowała znaczenie słowa „nieuchronne”. Jego prokurator generalny stwierdził, że należy ocenić „okno możliwości działania” – czyli wysyłamy helikoptery z komandosami, jak tylko wywiad wyśledzi cel i akurat nie ma w pobliżu zbyt wielu kobiet i dzieci, a nie wtedy, kiedy wiemy o planowanym zamachu. Wiele zapożyczono z Izraela, gdzie sąd najwyższy orzekł w 2006 r., że w przypadku terrorystów „odpoczynek pomiędzy działaniami wojennymi to nic innego jak przygotowanie do następnej agresji”.

Selektywna eliminacja tkwi we mgle uznaniowości. Czy np. uzasadniona była eliminacja Kassema Sulejmaniego, irańskiego szefa sił Gwardii Rewolucyjnej? Przez lata USA zabiły za pomocą dronów tysiące dżihadystów – oraz wielu postronnych cywilów.

Należy eliminować terrorystów, ale o tym, kto nim jest, też nie decyduje niezależna komisja. Jeśli o sikhijskim terroryzmie ostatni raz słyszeliście w latach 80., kiedy Sikhowie zabili Indirę Gandhi i wysadzili samolot Air India – to nic was nie ominęło. Indie, jak wiele innych rządów, usiłują wrzucić do jednego worka z terroryzmem separatyzm i radykalizm. Ale nie wymagajmy zbyt wiele, skoro USA utrzymują Kubę na krótkiej liście państw terrorystycznych w trosce o głosy antycastrowskiej diaspory z Miami.

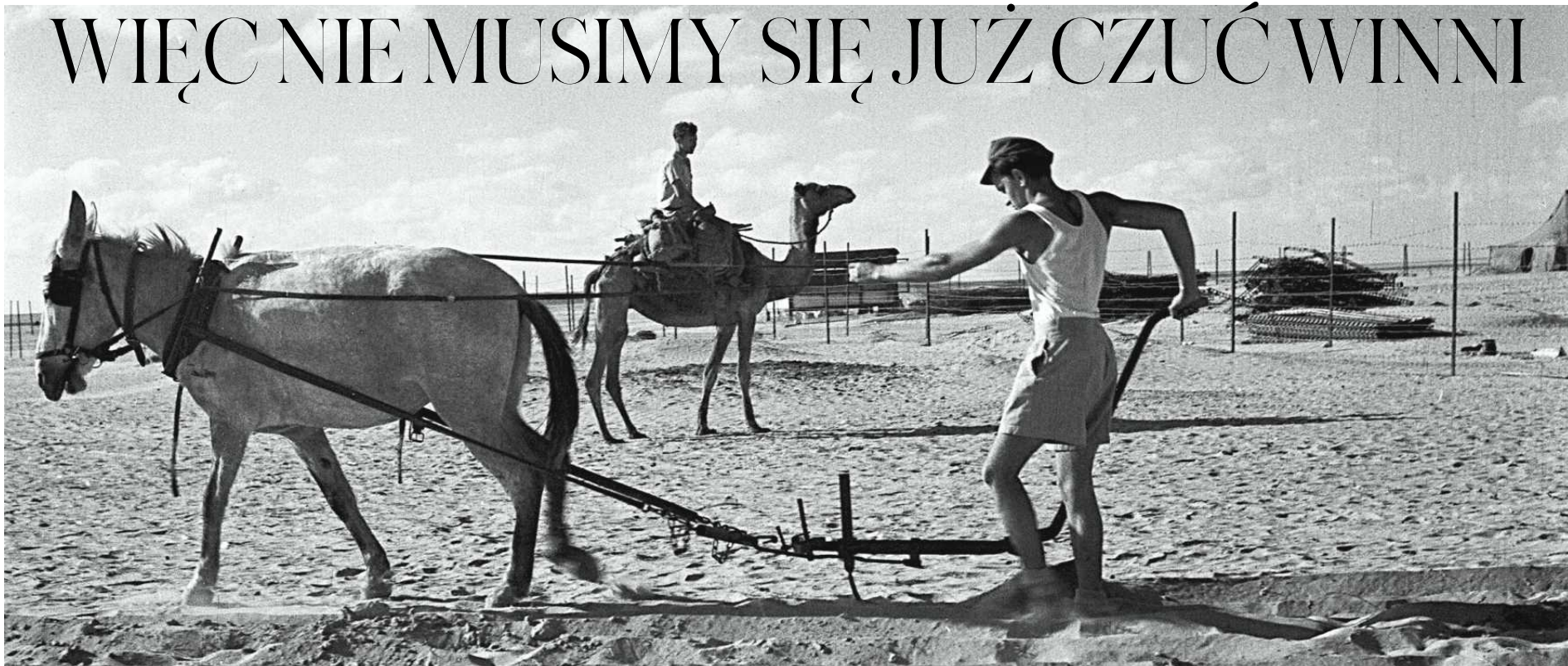
Zlecający „selektywną eliminację” nie muszą się obawiać poważnych konsekwencji. Zabójstwo Litwinienki nie stanęło na drodze do resetu Obamy z Rosją. Pakistan trochę się gniewał po zabiciu ben Ladena, ale potrzebuje gospodarczej pomocy Ameryki. Arabia Saudyjska nie została pariasem, jak chciał dawniej Joe Biden, który namawia teraz Muhammada bin Salmana, domniemanego zleceniodawcę zamachu na Khashoggiego, do uznania Izraela.

Kryzys dyplomatyczny między Kanadą i Indiami też wygaśnie. Indyjscy urzędnicy powinni oburzonemu kanadyjskim kolegom przysłać link do referatu pewnego podpułkownika, wiszący na stronie Kanadyjskiego Kolegium Wojskowego. Tytuł: „Celowe zabójstwa – skuteczna i uzasadniona metoda samoobrony przed atakami terrorystycznymi”. Autor głosi: „Obowiązkiem państwa jest ochrona obywateli przed krzywdą za pomocą wszelkich środków. Zabijanie terrorystów w obcych krajach należy postrzegać jako realizację polityki zagranicznej”.

Można twierdzić, jak słynny dziennikarz Ronen Bergman, że likwidacja Palestyńczyków odpowiedzialnych za śmierć izraelskich sportowców podczas igrzysk w Monachium w 1972 r. skłoniła Jasera Arafata do zaprzestania podobnych akcji. Ale dowodów nie ma. Nie dysponujemy alternatywnym światem kontrolnym, żeby dowiedzieć się, czy bez „selektywnej eliminacji” terroryzmu byłoby więcej czy mniej. Zwolennicy tej metody uważają, że usuwanie kolejnych przywódców organizacji dżihadystycznych zapobiega kolejnym zamachom, sieje w ich szeregach strach i chaos.

Sceptycy – że każdego zabitego przywódcę zastępuje zaraz nowy, a każda kolejna głowa hydry jest coraz wścieklejsza. ●

ŻYD TEŻ ZABIJA WIĘC NIE MUSIMY SIĘ JUŻ CZUĆ WINNI



• 1947, orka w kibucu Urim FOT. KLUGER ZOLTAN / ISRAEL GOVERNMENT PRESS OFFICE

Był wzorem i nadzieją, państwem braterstwa i postępu, jest militarystyczno-religijnym pariasem. Co się stało – z Izraelem albo w naszych głowach?

Z **KONSTANTYMEM GEBERTEM***
ROZMAWIA **WALDEMAR KUMÓR**

Antysemityzm powrócił, i to na wielką skalę. Jak to się stało?

– Bo nie umieliśmy sobie z nim poradzić. Obłożyliśmy go klątwą, nie wolno było tego ruszać, bo wiadomo, że to jest koncentrat wszelkiego zła – w Zagładzie wymordowano 6 milionów ludzi. Ale już powszechnie znanej i przyswojonej wiedzy o tym, dlaczego tak się stało, tak naprawdę nie było. Na początku wystarczyło samo poczucie grozy, z jakim Europa zareagowała po 1945 roku na Auschwitz i Treblinkę. Ale ta groza się skończyła.

Co pomyślałeś, gdy doszło do fali antyizraelskich demonstracji w Europie, po tym co Izrael robi w Gazie?

– O wielkiej hipokryzji. Nie było takich demonstracji antyarabskich, gdy 7 października Hamas wymordował 1200 ludzi.

Nie było też masowych demonstracji antychińskich, gdy Chiny osadziły w obozach ponad milion Ujgurów. Zdarzały się demonstracje przeciwko władzom Chińskiej Republiki Ludowej. Ale nie było aktów przemocy w chińskich dzielnicach w Europie czy w USA. Nikomu do głowy nie przyszło, że jakiś pan Lee, który ma restaurację w Londynie, powinien zostać ukarany za to, co rząd w Pekinie robi Ujgurom.

Nie było też masowych protestów, gdy buddyjscy ekstremiści wymordowali i wypędzili prawie milion muzułmanów Rohingya. Nikt nie wzywał Dalajlamy, by się z tego tłumaczył. Bo zdroworozsądkowo opinia publiczna wie, że Dalajlama nie ma nic wspólnego z tą zbrodnią.

A w przypadku Izraela i Żydów taka rozłączność nie działa, a incydentów antyżydowskich jest masa: tylko we Francji ich liczba wzrosła dziesięciokrotnie. Mało kto rozdziela politykę rządu Izraela od samego Izraela, czy narodu i religii żydowskiej.

Jak to się stało, że szczególnie antyizraelscy są ludzie o lewicowych, często skraj-

nie lewicowych, poglądach? To, zdaje się, zaczęło się w latach 70.

– Do tego momentu był postrzegany jako mały, dzielny postępowy kraj, który walczy z ohydny, reakcyjnymi reżimami arabskimi. Wtedy Izrael był dla lewicy wcieleniem socjalizmu, który działa, bo Izraelczycy świadomie budują braterskie społeczeństwo oparte na równości i wzajemnym szacunku. Oczywiście to była tylko część prawdy – tak jak tylko częściowo jest prawdą dzisiejsze stereotypowe postrzeganie Izraela jako wcielenie prawicowego marzenia o państwie nacjonalistycznym, militarystycznym i religijnym. Ale w jednym i drugim przypadku ludzie nie przejmują się faktami.

Czy ta postawa antyizraelska to też przedłużenie nienawiści do USA, które tak wspierają Izrael?

– Bądźmy precyzyjni: lewicowa nienawiść do Izraela, bo tak to trzeba nazwać, jest niezależna od lewicowej nienawiści do USA, choć obie się wspierają.

Izrael jest postrzegany jako państwo kolonialne, a więc będące czymś złym z natury. Państwa kolonialne nie zasługują, żeby istnieć. A to państwo jest obiektem szczególnej wrogości lewicowców z byłych państw kolonialnych zgodnie z mechanizmem przeniesienia. Jeżeli jestem Brytyjczykiem, Francuzem, Belgiem, Holendrem, Hiszpanem, nawet Włochem, to sposobem na rozprawienie się z kolonialną przeszłością mojego kraju jest potępienie „kolonialnego” Izraela.

Tak, to prawda: Izrael jest poniekąd państwem kolonialnym, bo został zbudowany przez osadników – a osadnik to polska wersja słowa kolonizator. Tyle tylko, że ci osadnicy nie mają metropolii, do której mogliby wrócić, jak Francuzi z Algierii: ta rzekoma kolonia jest ich jedyną ojczyzną. A kiedy Izrael budowano, to osadnicy dla lewicy byli wcieleniem wszelkich cnót. Oto bezproduktywni intelektualiści albo inni burżuje porzucają Europę i jadą na pustynię pracować fizycznie, dosłownie rękami i w ten sposób moralnie się odrodzić. Czyli to kolonizowanie było czymś dobrym.

I ono się aż tak nie zmieniło; zmienił się sposób myślenia i oceniania Izraela.

W Polsce też?

– W Polsce osadnictwo ma dobrą reputację. Osadnicy zasiedlili ziemie przyznane nam po Niemcach po II wojnie światowej, wcześniej wojskowi osadnicy na Wołyniu po odzyskaniu niepodległości tam nieśli polskość. Nikomu nie przychodzi do głowy, że to zjawiska niemal dokładnie takie samo jak izraelskie.

Tak więc nienawiść do Izraela wynika z tego, że dzisiaj bycie lewicowcem oznacza w krajach, które były kolonialne, czuć się odpowiedzialnym za tę paskudną przeszłość własnego państwa – a wynikające z niej potępienie przenosić na inne państwo.

W Polsce też kiedyś powstanie refleksja nad tym, że naszą kolonią była Ukraina.

Do tego dochodzą oskarżenia Izraela o apartheid, taki jak kiedyś w RPA.

– Tak uważają poważne organizacje praw człowieka: Amnesty International, Human Rights Watch. Ale ich raporty stwierdzają, że apartheid, który potępiają w Izraelu, to nie jest ten apartheid, który istniał w Republice Południowej Afryki. Im chodzi o to, że na Zachodnim Brzegu są dwa różne systemy prawne i ludzie tam mieszkający podlegają albo jednemu, albo drugiemu. I że to jest krzywdzące.

Tak, to jest krzywdzące. Ale jeżeli na tym ma polegać apartheid, to mamy go też w Polsce. Przecież jest sądownictwo wojskowe i cywilne, czyli dwa systemy prawne na jednym terytorium różnie traktujące ludzi.

W przypadku Izraela nie chodzi już o to, by wytknąć mu – zasadnie – że jego władza na Zachodnim Brzegu dyskryminuje Palestyńczyków. Chodzi o to, by uderzyć w Izrael najcięższą maczugą, jaką się posiada. Bo dla mieszkańców krajów postkolonialnych apartheid jest synonimem wszelkiego zła. I jeżeli Izrael jest uznany za państwo apartheidu, to znaczy, że w walce z Izraelem wszystko jest uzasadnione.

To jest jedna z form nowoczesnego antysemityzmu?

– Tak to można nazwać. Bo to nie byłoby możliwe bez trwania antysemickich stereotypów. Na tym polega różnica między Izraelem toczącym w Gazie wojnę obronną a na przykład Chinami wynaradawiającymi Ujgurów.

Nie ma negatywnych stereotypów Chińczyków, do których się można odwołać: „no proszę, to już od czasów Konfucjusza te Chińczyki tak mają”. Natomiast jest rzeczą oczywistą, że oskarżenie Izraela, że morduje ze szczególnym okrucieństwem dzieci w Gazie, nie byłoby w ogóle nośne, gdyby nie stereotyp żydowskiego mordu rytualnego.

Gdyby nie było tego stereotypu, opinia publiczna stwierdziłaby: no tak, jest rzeczą straszną, że w Gazie giną dzieci. Ale skoro połowa ludności Gazy ma poniżej 18 lat, jest rzeczą oczywistą, że mniej więcej połowa ofiar będzie miała poniżej 18 lat. Innymi słowy, to że połowę ofiar stanowią dzieci, byłoby postrzegane jako konsekwencja struktural-

ry demograficznej Gazy. Ale mówimy o tym tak, jakby Izrael zbudował jakieś specjalne bomby, które celowo wyszukują dzieci. No bo Izrael lubi mordować dzieci!

Ale wiesz, tak naprawdę mało mnie interesuje, czy ludzie, którzy podtrzymują ten nienawistny stereotyp, robią to z pobudek antysemickich, czy też wręcz przeciwnie: uwielbiają „Skrzypka na dachu” i gefilte fish.

Czyli hasbara – proizrealska propaganda już nie działa? Ben Gurion uważał, że „liczy się to, co Żydzi robią, a nie to, co nie-Żydzi powiedzą”. Menahem Begin był zdaje się w ogóle przeciwny propagandzie: „Nie potrzeba nam więcej Goebbelsów”. A Benjamin Netanjahu?

– Netanjahu w ogóle nie pasuje do tego towarzystwa. Pierwsi dwaj byli wybitnymi mężami stanu. Byli o sobie wzajemnie bardzo złego zdania, ale obaj byli państwowcami. Żaden z nich nie interesował się – tak jak Netanjahu i jego żona – różowym szampanem.

Ben Gurion wracał do kibucu, gdzie mieszkał i pracował. Był socjalistą i człowiekiem niewierzącym. Begin był nacjonalistą i człowiekiem bardzo głęboko wierzącym, ale obu łączyło przekonanie, że są zasady większe od nich. Że dla nich nie ma specjalnych praw.

Ben Gurion to mówił zaraz po Zagładzie. Znaczyło tyle, że jedno, czego historia Żydów nauczyła, to że jeżelibyśmy polegali na tym, co nam mówią i obiecują, toby nas dawno nie było. Więc nie możemy być zależni od tego, co nam mówią, wszystko jedno wrogowie, czy przyjaciele – sami musimy brać za siebie odpowiedzialność.

Ciekawym przykładem, jak świat stosował różne miary wobec Izraela, była masakra w obozach palestyńskich w Sabrze i Szatili podczas pierwszej wojny libańskiej w 1982 r. Wtedy wojska izraelskie zdobyły Bejrut, a Izrael był sprzymierzony z maronitami, chrześcijanami libańskimi, którzy toczyli krwawą wojnę domową przeciwko libańskiemu sunnitom i ich sojusznikom – Palestyńczykom. Uważali ich za najeźdźców i strona izraelska się zgodziła, żeby maronici weszli do obozów palestyńskich, by rozbroić tamtejsze bojówki palestyńskie. Każdy, kto miał jakiegokolwiek pojęcie o realiach, wiedział, co będzie się działo – no i doszło do masakry, co najmniej 800 zabitych cywilów.

Izraelska armia nie interweniowała, a Begin stwierdził: „chrześcijanie mordują muzułmanów, a świat potępia Żydów”. Z jednej strony to było beczelne wypieranie się odpowiedzialności – bo to Izrael wpuścił tam

chrześcijan, ale z drugiej strony tego rodzaju masakry dokonywały się wcześniej podczas libańskiej wojny domowej, gdy chrześcijanie mordowali muzułmanów, a muzułmanie chrześcijan. I nikt się tym szczególnie nie przejmował. Ale wystarczyło, że pojawili się Żydzi – nawet nie w roli sprawców, tylko tych, którzy umożliwili sprawcom zbrodnie – i zaraz wybuchła oburzenie na cały świat.

Tak więc i Begin, i Ben Gurion zwrócili uwagę, że tak naprawdę wobec Izraela stosowane są inne miary ocen. Tymczasem Izrael ma do czynienia z terrorystami, którzy mordują ludzi, a każde państwo musi się przed terrorem bronić. Hasbara nie powinna mieć znaczenia, bo i tak każdy normalny człowiek stanie po stronie mordowanych.

Ale jak widać po reakcjach na izraelską odpowiedź na to, co zrobili terroryści z Hamasu, to nie jest niestety prawda.

Dziś na amerykańskich uniwersytetach ostrzega się studentów żydowskich, żeby nie wychodzili z akademika.

– Tylko pamiętaj, że rozmawiamy w kraju, w którym rektor uniwersytetu w Białymstoku przed corocznym spodem ONR-u wydał instrukcję dla studentów obcokrajowców, by też zostali w akademikach.

Studenci żydowscy w USA czy Europie Zachodniej rzeczywiście mają powody do obaw. Bo funkcjonuje przekonanie, że jest czymś uprawnionym mszczenie się na żydowskich studentach za to, że izraelskie bomby lecą na Gazę.

Czyli żadna, ani emocjonalna, ani oświecona hasbara nie zadziała? Naiwnie myśleć o filmach, książkach, lekcjach historii?

– Nie. Bo nie ma skuteczniejszej propagandy niż demografia. To nie jest tak, że popierająca w ONZ rezolucję potępiającą Izrael za „zażydzenie” Jerozolimy Nigeria ma jakieś bardzo głębokie polityczne interesy w kwestii Świętego Miasta. Ale Nigeria ma na co dzień bardzo istotne polityczne interesy w kwestii relacji z państwami arabskimi oraz ma własnych muzułmanów, którzy stanowią znaczącą część przeszło dwustumilionowej ludności.

W USA wyborcy arabscy są dzisiaj dużo liczniejsi niż żydowscy. Wiemy z sondaży, że Biden stracił Michigan. A to stan, który głosował na Demokratów. Lecz teraz tam mieszka dużo wyborców arabskich, a ci popierają Bidena, bo poparł Izrael. A bez Michigan nie wygra wyborów prezydenckich.

Masz jakiś pomysł, jak rozmawiać z wrażliwymi, młodymi ludźmi, z reguły

o lewicowych poglądach? Widzę, jak na przykład na Facebooku przy zdjęciach przyklejają palestyńskie flagi. Mam wrażenie, że rytualnie potępiają to, co zrobił Hamas, a całą emocję wyrzucają na Izrael – bo w mediach społecznościowych, w portalach, w telewizjach widać głównie martwe palestyńskie dzieci.

– Nie ma nic złego w przyklejaniu sobie flagi palestyńskiej, czy też izraelskiej – kwestia wolnego politycznego wyboru. Ale nie można potępić Izraela, który toczy wojnę w samoobronie, za to, że ją toczy. Wojna jest zawsze zbrodnią: polega na zabijaniu ludzi i niszczeniu ich dobytku. Ale myślę, że trzeba przypominać, że w czasie II wojny, żeby pokonać Hitlera, alianci mordowali dziesiątki tysięcy niemieckich cywilów: socjaldemokratów, antyfaszystów, komunistów, liberałów i tak dalej oraz niemieckich dzieci. Drewno zostało zbombardowane zupełnie na zimno, tam nie było zakładów zbrojeniowych.

Nie porównuję Hamasu do hitlerowców, ale w Gazie jest tak wiele ofiar cywilnych, bo Hamas posługuje się mieszkańcami jako żywymi tarczami. Zbudował 500 km tuneli pod Gazą. Cywile tam nie mają wstępu. Tam są gigantyczne schrony i magazyny broni.

Czy Netanjahu dał się wpuścić w pułapkę Hamasu?

– To nie tak. Winna jest jego bardzo krótkowzroczna polityka. Świadomie osłabiał Autonomię Palestyńską. Dzięki temu mógł potwarzać Zachodowi, że nie ma z kim rozmawiać, bo Autonomia jest słaba, skorumpowana i nawet nie sprawuje władzy na całym Zachodnim Brzegu. A jeśli nie Autonomia, to pozostaje Hamas, który chce wymordować wszystkich Żydów, więc z kim tu rozmawiać.

To była świadoma linia, a jej konsekwencją było tolerowanie, że Katar – który popiera ideologicznie Bractwo Muzułmańskie, a Hamas jest ich oddziałem – przywoził do Gazy miliony dolarów w walizkach, którymi płacił funkcjonariuszom Hamasu.

To było krótkowzroczne. Przecież w 1939 roku Polską rządziła klika, która jako partner Hitlera krótkowzrocznie wzięła udział w rozbiórce Czechosłowacji. W polityce wewnętrznej prześladowali mniejszości, opozycję zamykali w obozach i kradli z publicznej kasy. Czy to znaczy, że Niemcy i Sowietci mieli prawo podzielić się Polską?

Podobnie bezsensowne jest myślenie, że skoro w Gazie są terroryści, to Palestyńczykom nie należy się prawo do samostanowienia. Należy, bo są narodem, a nie w nagrodę za dobre sprawowanie. I podobnie prawo do tego, żeby nasi obywatele nie byli mordowa-

ni, nie jest przyznawane warunkowo w zależności od tego, czy nam się podoba rząd, czy nie.

Czyli jednak propaganda-wiedza jest potrzebna. No bo ilu ludzi wie o tych dolarach od Kataru.

– No tak. Ale ja się boję, że propaganda zmieni się dopiero wtedy, kiedy zacznie okazywać się, że model ustrojowy Hamasu opiera się na mordowaniu nie tylko Żydów, ale i innych, którzy Hamasowi wejdą w drogę.

Czyli wtedy, gdy skończy się zdumiewający sojusz europejskiej lewicy z ruchem, który programowo morduje gejów za to, że są gejami, a opozycję zrzuca z dachu wysokich budynków. Dziwny sojusz, bo jeśli uznajemy, że Hamas ma rację, to wcześniej czy później jacyś dziarscy młodzi ludzie zechcą przenieść jego metody do Europy, licząc na poparcie oświeconej europejskiej lewicy.

Świat się nie oburza, gdy prezydent Iranu mówi, że „całujemy błogosławione dłonie Hamasu”. Prezydent Turcji przekonuje, że Hamas to nie są żadni terroryści, tylko ruch wyzwoleniczy. No a skoro wszyscy wiemy, że Zgromadzenie Ogólne ONZ uchwaliło rezolucję, że narody pod okupacją mają prawo walczyć z nią wszystkimi środkami, to właściwie dlaczego nie popierać Hamasu?

Na szczęście Zgromadzenie Ogólne nie stanowi prawa międzynarodowego, ale i tak na tę nieszczęsną rezolucję powołują się różne całkiem poważne rządy, gdy potępiają Izrael.

Z argumentacji tej wynika, że prawa człowieka nie przysługują obywatelom państw okupacyjnych. Więc nie przysługują Izraelczykom, bo każdy Izraelczyk jest okupantem, gdyż jest żołnierzem – bo każdy Izraelczyk, nie licząc ortodoksów i Arabów, albo służy, albo służył, albo będzie służył w wojsku.

Lecz idąc tym tropem, jest czymś słusznym i chwalebny mordować nie tylko izraelskie dzieci, bo wyrosną na żołnierzy, ale także wszystkich Turków. Wszak Turcja okupuje północny Cypr, okupuje północną Syrię, okupuje kawalki Iraku, okupuje ziemie Kurdów. A więc jeżeli ktoś jest Turkiem, to dlaczego mielibyśmy traktować go inaczej niż Żyda? Ale co z Niemcem pochodzenia tureckiego? Logicznym byłoby, że też można poderżnąć mu gardło. Dlaczego nikt się poważnie nie zastanawia nad konsekwencjami zasad nierozważnie przyjmowanych przez Zgromadzenie Ogólne ONZ?

Przypomniał mi się rysunek z 1988 roku, z czasu pierwszej intifady, przerysowane

zdjęcie chłopca z warszawskiego getta, za którym stoi niemiecki żołnierz: chłopiec w arabskiej czapce a za nim izraelski żołnierz. Takie coś zdobyło jedną z europejskich nagród za rysunek satyryczny.

– Te nawiązania do Zagłady, stawianie znaku równości tym, co zrobili naziści i co robi Izrael, powtarza się bardzo często nawet w poważnej prasie.

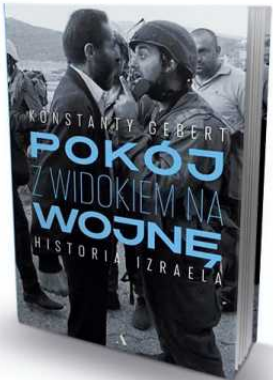
Ono się opiera na prostym skojarzeniu: w Gazie giną dzieci i w getcie ginęły dzieci. Naturalnie stoi za tym emocjonalny wstrząs: wtedy złi ludzie zabijali żydowskie dzieci, a dziś tak doświadczeni Żydzi zabijają innym dzieci! Tyle że gdy nieco odsunie się emocje, takie porównania okazują się bez sensu: przecież dzieci też ginęły w bombardowanych przez aliantów miastach niemieckich.

I lepiej uważać za przeliczaniem ofiar, bo wyjdzie, że w II wojnie światowej Wielka Brytania była gorszym zbrodniarzem niż Trzecia Rzesza, gdyż od angielskich nalotów zginęło prawie 200 tysięcy niemieckich cywili, a od niemieckich – około 70 tysięcy brytyjskich.

Nie wspominając o nalotach Amerykanów na Japonię...

– Takie rysunki sprawiają, że trudno odsunąć od siebie myśl, że chyba wyszło sztyldo z worka. Zestawiający Palestynę z gettem myślą sobie: ci Żydzi są teraz dokładnie tak samo paskudni, jak wszyscy inni. I my już się nie musimy czuć winni. ●

***Konstanty Gebert** – czołowy publicysta „Wyborczej” od chwili jej powstania, obecnie związany z „Kulturą Liberalną”. Niedawno ukazał się jego **„Pokój z widokiem na wojnę. Historia Izraela”**. Książka w dobrych księgarniach, na Kulturalnysklep.pl i w formie e-booka na Publio.pl. Tam dostępne również jego pióra „Ostateczne rozwiązania. Ludobójcy i ich dzieło”.



OŚWIADCZENIE WŁASNE WYDAWCY

34248365

**PIERWSZA TAKA KSIĄŻKA
O POLSKICH ARTYSTKACH**
wybitnych i zapomnianych

Nie da się powiedzieć nic innego o tej książce jak to, że jest rewelacyjna. Sylwia Zientek przeszukuje dla nas archiwa, odwiedza muzea, analizuje, pyta. Jest bezlitosna w tropieniu faktów i czuła w ich opisywaniu. Ta książka jest jak spacer, z którego nie chce się wracać.

ANGELIKA KUŹNIAK,
autorka Stryjeńskiej. Diabli nadali

NOWY TYTUŁ AUTORKI BESTSELLEROWYCH POLEK NA MONT-PARNASSIE I LUNII I MODIGLIANIEGO

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYSZ NA KULTURALNY SKLEP.PL WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA **publio.pl**

**Wydawnictwo
Agora**

Dlaczego Lech Janerka milczał przez 18 lat

FILOZOFIA TO NIE SĄ ŻARTY

Brak mi reakcji na zło,
których oczekuję od ludzi trzymających poziom

Z LECHEM JANERKĄ ROZMAWIA JAREK SZUBRYCHT

Kiedy wydawałeś poprzednią płytę, żyli jeszcze Jan Paweł II i Michael Jackson, prezydentem Polski był Aleksander Kwaśniewski, nie było TVP Kultura ani „Dzień Dobry TVN”, a w Emilcinie nie stanął jeszcze pomnik UFO.

– Bardzo dawno temu to było. Chociaż chronologie mi się teraz mylą, fakty również. Siatka czasowo-znaczeniowa powyginała się we wszystkie strony.

„Nie liczę lat, bo nie liczyłem nigdy chwil” – te słowa z jednej z nowych piosenek są formą usprawiedliwienia?

– Prostą konstatacją. Zawsze byłem mocno osadzony w czasie i wydarzeniach, ale przestałem. Niewiele też wspominam. Nie myślę o przeszłości. Staram się żyć teraźniejszością.

Mimo to zapytam w imieniu wiernych fanów, dlaczego na „Gipsowy odlew falsyfikatu” musieliśmy czekać tak długo?

– Materię muzyczną zrobiliśmy szybko, w trzy miesiące. Jeżeli komputer nie kłamie, a pewnie nie kłamie, było to 12 lat temu. Piosenki były skomponowane i zaaranżowane, były też solidnie podprodukowane, w sensie obudowania myśli muzycznej brzmieniem. Zaczęło się wspiewywanie tak zwanych wokali. Wydawało mi się, że to pójdzie rachiach, szybko napiszę teksty, ale okazało się, że mam z tym problem. Zacząłem się zastanawiać, o czym ta płyta ma być. Okazało się, że wszystkie wątki, które byłyby adekwatne do rzeczywistości, obrobiłem już wcześniej, w czasach Klausa Mittfocha, „Historii podwodnej” i paru innych płyt. Na cokolwiek bym reagował, przechodził mi do głowy cytat z którejś ze starych moich piosenek.

Przecież taką „Historię podwodną” pisałeś w zupełnie innym świecie. To był 1986 rok.

– Pozornie innym. Zaczynaj następnych chwil zawsze są podobne do poprzednich, historia działa w cyklach. Interakcje społeczeństwa z władzą, zanik jakości społeczeństwa, a potem jego odrodzenie – tak to się kręci. Przyznaję, jestem tym wszystkim trochę rozzarowany. Wszystko przez to, że wpadłem w pułapkę mierzenia innych własną miarą. Wydawało mi się, że wszyscy myślą podobnie do mnie, a kiedy okazało się, że większość chce czegoś zupełnie innego, pojawił się zawód.

Już raz tak było, w czasie przełomu ustrojowego. Któregoś dnia wziąłem do ręki „Gazetę Wyborczą” i czytam o Komitecie wyborczym Tadeusza Mazowieckiego. Jest lista nazwisk, a tam... Lech Janerka. Oszałam! Chwyciłem za telefon, zadzwoniłem do redakcji. „Może wypadaloby zapytać?” – mówię. „Nie pyskuj, Lem też jest” – usłyszałem w odpowiedzi. Doczytałem artykuł i rzeczywiście, był. Myślę sobie więc: „Sko-ro jest Lem, to nie będę się buntował”, tym bardziej że kandydatura Mazowieckiego nie była mi wstrętna. No, ale przegrał z Tymińskim. Pomyślałem sobie wtedy, że dziwne to społeczeństwo. Po raz pierwszy poczułem tak wielki rozdźwięk pomiędzy moim myśleniem a myśleniem większości.

A po raz drugi?

– Tuż przed naszym wejściem do Unii Europejskiej, kiedy głośnie były głosy przeciwne, apelujące, żeby nie wchodzić. Zadzwonił ktoś z gazety i o to zapytał. Byłem wtedy chory i w malignie odpowiedziałem, że nie interesuje mnie opinia tych ludzi, że nie wiedzą, co mówią. Dostałem za to wzorową zjebkę w artykule polemicznym od Jacka Podsiadły z „Tygodnika Powszechnego”. Napisał, że lu-

dzie mogą mieć różne opinie, a ja nie powinienem wypowiadać się w tak apodyktyczny, karcący sposób. Nie poczułem się spłoszony, coś mu tam odpyskowałem, ale polemistą jestem słabym. Przywołał mnie do porządku i dał mi do myślenia. Złapałem się na tym, że nie znam się na polityce. Doświadczam jakichś odprysków polityki w swoim życiu, ale są tak mało znaczące, że nie powinienem dotykać tych tematów.

Polityka i tak prędzej czy później cię dopadnie.

– Żyję w świecie dziwnych imaginacji, w bardzo dużej izolacji. Dawno udało mi się prze-trwać etap problemów z placeniem rachunków i napelnianiem łódówki. Nigdy nie żyliśmy rozrzutnie, ale rachunki były poplaczne, dzieci nie płakały, jeść nie wołały i jeszcze zostawało mi na papierosy. Niczego więcej nie potrzebuję.

Chciałbym jeszcze pociągnąć wątek jakości społeczeństwa.

– Już starożytni wymyślili społeczeństwo idealne, ale w zestawieniu z mnogością postaw i sprzecznych interesów te wszystkie dobre pomysły się rozlażą, okazują się utopią. Można twierdzić, że remedium na wszystkie problemy byłoby gruntowne, solidne wykształcenie, że to podstawa rozwoju społeczeństwa. Nie wszyscy jednak są w stanie temu wykształceniu poddać – i co z nimi zrobić? Przez jakiś czas mieszkalem w Stanach i okazało się, że wielu ludzi nie ma tam pojęcia o niczym, mimo to państwo całkiem sprawnie funkcjonuje. Może dlatego, że swoją władzę egzekwuje drakońskimi metodami. Publiczność długo to tolerowała, ale chyba przestała. Kto wie czy za chwilę nie wróci Trump. Na całym świecie odradzają się dziwne, populistyczne idee.

Przez te lata muzyka trochę się zmieniła. Próboweś nadażać? Kiedy w lutym 2005 r. wydawałeś poprzednią płytę, numerem jeden w Polsce był Piotr Rubik...

– Słyszałem o nim, ale nie słyszałem żadnego numeru.

Naprawdę skutecznie izolujesz się od świata.

– Cudem mnie to ominęło, ale wiedziałem, że jest szum. Nie ominął mnie hip-hop, czyli brzmienie zawieszzone na niedopowiedzianym bębnie, totalnie nisko brzmiącym basie i stopie. Robił wrażenie. Przekaz nie zawsze, choć przesłuchałem wszystkie płyty Taco Hemingwaya i podobały mi się. Jestem ciekaw interakcji młodych ludzi z rzeczywistością i to mnie zainteresowało, mimo że byłem już mocno dorosły. Tego typu muzyka jest wydarzeniem pokoleniowym i właśnie dzięki muzyce chyba więcej wiem o młodzieży niż o emerytach. Kilka tekstów Maty mnie rozbawiło, a pierwsze 15 sekund „Papugi” Maty brzmi genialnie, to kwintesencja prostej muzyki, która jednocześnie jest finezyjna. Hip-hop jest próbą powrotu do uzyskania maksymalnego efektu prostymi środkami. Jak w rock’n’rollu, gdzie koleś wrzeszczał, drugi walił w werbel i było dobrze. Wiem, że to zupełnie inny muzyczny świat, ale chciałem, żeby można było moje piosenki puścić w radiu między Matą a na przykład Gorillaz, żeby wystarczająco współcześnie to brzmiało.

„To wrogie terytorium” – takie słowa otwierają twoją nową płytę. Chodzi o Polskę, świat, życie w ogóle?

– Jesteśmy w stanie permanentnej wojny ze wszystkim. Nawet na poziomie komórkowym – nasz organizm stacza codziennie totalny bój, żeby przetrwać, żeby jakoś się utrzymać przy życiu. Jestem tym zmęczony. Konkwista mi wychodzi bokiem, mam dosyć walki.

Równocześnie proponujesz pewne strategię przetrwania. Ucieczka jest pierwszą z nich.

– Tak, eskapizm. Nigdy tego nie lubiłem, ale teraz rzeczywiście coś z tyłu głowy podpowiada mi: przeczekaj, zniknij... Jestem już w wieku, w którym na czekanie nie warto stawiać, nie mogę się pocieszać myślą, że wystarczy się przyczaić, by za 30 lat uzyskać pożądaną efekt.

Nigdy nie wiadomo, medycyna czyni galopujące postępy.

– No tak, medycyna, technologia... Houellebecq napisał „Możliwość wyspy”, książkę o ludziach, którzy mogą być nieśmiertelni za sprawą technologicznej reinkarnacji. Jej puentą jest to, że ci ludzie po prostu chcą umrzeć, mają dosyć tych powtarzających się cykli.



Lech Janerka,
„Gipsowy odlew
falsyfikatu”,
wyd. Mystic
Production
FOT. JACEK POREMBA

Eskapizm nie jest jedynym proponowanym przez ciebie rozwiązaniem: „Uwierzyć w coś i wziąć to w ręce”.

– Całe moje życie kręci się wokół Bożeny. To moja żona. Interakcja między nami pozwoliła nam przetrwać wiele rzeczy i dalej pozwala. Zamykam się więc w tym świecie, gdzie dostaję wsparcie i sam próbuję wspierać. Razem tworzymy małe perpetuum mobile, samonapędzającą się maszynkę, która daje frajdę i ciągle posuwa się do przodu. To jest dobro powszechne i darmowe – ciepło bycia z drugą osobą. Cywilizacja na tym wisi. „All you need is love” – jestem fanem Beatlesów i ciągle uważam, że to działa.

Sen to kolejny z bohaterów tej płyty. W sumie można go potraktować jako wariant ucieczki.

– Mnie się nic nie śni. Śniło mi się, kiedy byłem młody, ale miałem przykrości i wyeliminowałem sen. Śmiesznie to brzmi, ale pytałem u psychiatry i potwierdził, to możliwe. Człowiek śni bez względu na to, czy ma ochotę, czy nie, ale może nie pamiętać, więc ja nie pamiętam. Sen więc jest dla mnie odciążeniem, czysto biologiczną regeneracją, nie jestem w stanie funkcjonować, jak nie pośpię. Przez krótki okres próbowałem z tym walczyć i słabe to było. Pracowałem siedem lat w urzędzie wojewódzkim, gdzie musiałem być o konkretnej godzinie, żeby przyglądać się ludziom pijącym kawę, czytającym gazetę i słuchającym radia. Dopiero po trzech godzinach otwierali oczy i zabierali się do pracy. Zaproponowałem więc, że będę przychodził te trzy godziny później, ale nie przeszło. Zacząłem grać, żeby móc się wysypiać, żeby nie musieć rano stawiać się gdzieś i coś zrobić.

„Fortepiany znowu z hukiem lecą na bruk” – ostrzegasz.

– Brak mi reakcji na zło, których oczekuję od ludzi trzymających poziom intelektualny. Może to nie idzie w parze? Może jak ktoś jest mądry, to się nie wychyla? Mimo wszystko jest to rozczarowujące, że ludzie wnikliwie obserwujący rzeczywistość w ogóle nie zabierają głosu, natomiast przebijają się ci, co wrzucają gówno w wentylator, bo to fajnie wygląda.

„Maj/ Bzy pyłą pandemią/ ludzie mrą” – mamy też na płycie pocztówkę z 2020 r., pamiątkę po najbardziej intensywniej fazie pandemii. Byłem wśród tych, co naiwnie myśleli, że po tej próbie, po tym wstrząsie, wrócimy odmienieni, lepsi. – Ale wyskoczyło wielu krzykaczy zapewniających, że żadnej pandemii nie ma, że cała ta akcja to kompletna lipa. Moi sąsiedzi też tak

myśla. Pytam ich: „Ci wszyscy ludzie nie umarli? Obok was i na świecie?”. Robią duże oczy i tu się kończy polemika. Rozumiem, dlaczego Djoković nie chciał się zaszczepić. Ma tak wyregulowany organizm, że bał się, że jakakolwiek ingerencja pozbawi go jego supermocy. Z drugiej strony on mógł sobie na to pozwolić, bo kompletnie się izolował, nikogo by nie zaraził. Dla mnie też okres pandemii był idealny, bo nie musiałem się z nikim kontaktować. Ale nie bez powodu Nobla dostali państwo, którzy spreparowali technologię mRNA służącą za bazę do szczepionek przeciw COVID.

Kogo obchodzą Noble? Djoković został bohaterem, ikoną antysystemowego buntu.

– Djoković rano nie wychodzi do pracy, nie wsiada do tramwaju, nie kontaktuje się w biurze z innymi ludźmi. On nie jest antysystemowy, bo żyje poza systemem. Smutne, że ludzie są aż tak podatni na manipulację, że ulegają różnym dziwnym krzykaczom. Nawet Wielka Brytania, z całą swoją edukacją i kulturą, nie obroniła się przed tym. Brexit bardzo mnie rozczarował.

Nigel Farage, jeden z architektów brexitu, dziś bije się w pierś, twierdzi, że się pomylił. Pewnie wróć.

– Farage uważał, że ludziom należy dać szansę zagłosować, a oni na pewno zagłosują mądrze, czyli przeciwko wyjściu. Okazało się jednak, że znaleźli sobie pretekst, żeby zagłosować za. Bo za dużo Polaków przyjechało? Bo jakiś przepis unijny im się nie podobał? Inna sprawa, że Wielką Brytanię stać na wyjście z Unii Europejskiej, poradzą sobie choćby ze względu na ścisłe związki ze Stanami Zjednoczonymi. Nas na to nie stać. Poza tym nie widzę żadnego powodu. Kiedy wchodziliśmy do Unii, udzielałem wywiadu, chyba do Trójki. Prowadzący zapytał mnie, jakie będą konsekwencje. Odpowiedziałem, że powinniśmy zrewidować nasze podejście do patriotyzmu, że powinien zostać rozszerzony i obejmować nie tylko nasze wewnętrzne sprawy. Nasz patriotyzm powinien dotyczyć całej Europy.

To się chyba umiarkowanie udało. – W ogóle się nie udało. Jest przecież pomysł, że powinniśmy wyjść z Unii, i to najgłupsza rzecz, jaką ostatnio słyszałem.

To są bzdury plecione na politycznym marginesie. Bardziej powszechna jest myśl, że powinniśmy zostać, brać, co się da, ale opóźnić realizację zobowiązań. Strategia „na Orbána”. – Nie do zrobienia. Inne państwa UE wnikliwie nam się przyglądają. Może na początku

mówili: „No dobrze, trochę ta Polska rozchেলstana, bo dopiero weszła w nasze struktury, próbuje się stabilizować”, za chwilę jednak powiedzą: „Przynosicie więcej szkód niż pożytku, idźcie sobie na Wschód”. Jeżeli wchodzi się do jakiegoś systemu, trzeba na ten system pracować. Nikt nas na siłę zatrzymywał nie będzie i zostaniemy z ręką w nocniku. Bo jaki miałby być następny krok? Zostać amerykańską bazą? Tylko Amerykanie niespecjalnie się do tego palą. Zachód się wypnie, Rosja się przecież nie zmieni, więc będziemy otoczeni wrogami jak przed II wojną. Mnie już nie będzie, ale wnukom może nie być do śmiechu.

Może nie musimy być częścią żadnej większej całości.

– Takie małe państewko? Przepadnie. Mamy już podobne doświadczenia i kto przyglądał się dziejom Polski, choćby na lekcjach w szkole, ten wie, jak się kończy nadmiar wolności. Ja sam na sobie wymuszam wiele rzeczy i gorąco zachęcam, żeby inni też się napinali. Nie zawsze jest to przyjemne, ale jeżeli dobrze obstawisz cel, jest z tego pożytek i jest frajda.

Znajduję w twojej twórczości – i wiem, że nie jestem w tym odosobniony – myśli, które jakoś towarzyszą mi w życiu. Chyba odrobinę łatwiej mi z nimi, niż byłoby bez nich. Cała piosenka „Wyobraź sobie”, „Powinność kurdupelka”, połowa płyty „Ur” i wiele linijek z wielu innych tekstów. Na nowej płycie też jest taka myśl: „Głowa płonie, ale dystans i takt”.

– Staram się opowiadać o sobie i dla siebie. Kiedyś w piosenkach udało mi się powiedzieć takie dwa, trzy zdania, po których ludzie powiedzieli: „Dobra, dajemy ci kasę, gadaj dalej”. Tym samym dali mi wolność, więc gadam. Największa intensywność tego gadania skończyła się wiele lat temu, ale czasem coś się udaje. Ja jestem zachwycony frazą: „Lunatykuj ze mną – to światowy program”. Jako cywilizacja ciągle lunatykujemy, macamy... Ludzkość jest magmą, która rozlewa się w różnych kierunkach. Wysuwa czułki: „O, niedobrze, parzy!” – cofa się więc i wysuwa w innym kierunku. Jesteśmy na to skazani, bo jest nas za dużo. Przy miliardach ludzi trudno znaleźć jakiś konsensus, dogadać się, szybko zweryfikować, czy jakiś nowy pomysł przypadkiem nie jest gówniany. Jesteśmy skazani na lunatykowanie.

Pamiętam, jak protestowałeś, kiedy określano cię mianem poety. – Nie czytałem poezji, dopóki nie poznałem Świetlickiego. Przy czym nie poznaliśmy się na gruncie poezji – założył zespół Świetliki,

żeby coś pokazać w formie, w której i ja pracowałem. Kiedy wydawałem książkę, Marcin orzekł, że to jest poezja. Skoro Świetlicki tak mówi, szkoda czasu na polemikę, choć dla mnie to są teksty piosenek.

Bo ty nie jesteś poetą, tylko filozofem. – Czuję, że wpuszczasz mnie na minę... Jestem wiejskim filozofem.

Teraz już tak, bo wyprowadziliście się do domku pod Wrocławiem.

– A wcześniej byłem filozofem średniowiejskim. Rzeczywiście, interesowałem się filozofią już w szkole średniej, choć dostęp do lektur był utrudniony. Kiedy już zacząłem czytać Leszka Kołakowskiego, bardzo bliska wydała mi się myśl, że filozofowie od tysięcy lat stawiają sobie pytania i choć na żadne z nich jeszcze nie odpowiedzieli, samo zadawanie pytań i rozmyślanie o nich jest ważne. Dokładnie tak uważam. W gruncie rzeczy jednak jestem ignorantem, mam ogromne braki. Filozofia to nie są żarty.

Bo ty nie jesteś teoretykiem, lecz praktykiem.

– Wiem, jaką krzywdę może zrobić człowiekowi patrzeć na sprawy z jednego punktu widzenia. To jest mój uzysk z czytania filozofów. Świadomość, że wiele tęgich głów może przyglądać się jakiejś sprawie i każdy będzie widział ją inaczej. Trzeba zatem znaleźć rozwiązanie, które wszystkich zadowoli, szukać opcji, która pozwala wybrnąć z sytuacji konfliktowej – ale nie machając rękami i krzycząc, tylko myśląc.

Skoro już jesteśmy przy filozofii: tytuł płyty – „Gipsowy odlew fałszyfikatu” – brzmi jak wariacja na temat jaskini platońskiej.

– Jestem ofiarą tego tytułu. Uważam, że tego typu muzyka powinna być oryginalna. Jeżeli nie masz nic oryginalnego do powiedzenia, to lepiej zamilcz. I nagle robię rzeczy, które są echem czegoś...

Nie przesadzasz? Wszystko z czegoś się bierze, ma źródła, punkty odniesienia.

– To prawda, ale zawsze zdarzały się w kulturze nieoczekiwane zwroty, rzeczy, na które nie wpadłbyś, nawet gdybyś wiedział, co je inspirowało. Ktoś mnie kiedyś zapytał o tytuł nowej płyty. „Gipsowy odlew fałszyfikatu” – palnąłem, będąc złośliwym wobec samego siebie, i nigdy się z tego nie wycofałem. ●

REKLAMA

34283310



PATRONAT HONOROWY PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ ANDRZEJA DUDY

4. Międzynarodowy Konkurs Wiolonczelowy im. K. Pendereckiego

The 4th International Krzysztof Penderecki Cello Competition

26.11 – 4.12.2023

Kraków

AKADEMIA MUZYCZNA IM. KRZYSZTOFA PENDERECKIEGO W KRAKOWIE
PENDERECKICELLO.AMUZ.KRAKOW.PL



Historia o tym, jak w dwa lata zmienić się w kłębek koncentracji i cud adaptacji.

Radosław Leniarski

czy można się nauczyć czarów? Albo inaczej: czy mogą się nauczyć, jak świadomie obrócić na własną korzyść okoliczności, które z góry uważam za niekorzystne, poddające mnie ślepemu losowi; okoliczności, o których sądzę, że pogrzebią mnie, jeśli nie natychmiast, to za chwilę, nieuchronnie? Odkształcony kort, tropikalne ulewy i wichura tak mocna, że porwałaby Dorotkę do Oz razem z psem, oznaczają kłopoty nie do przeczwyczenia. Tenisa jest trudny i bez tego. A jednak Iga Świątek w takich okolicznościach wygrała w Cancun najważniejszy turniej WTA w sezonie, konfrontację ośmiu najlepszych tenisistek na świecie, tracąc najmniej gemów od wprowadzenia rozgrywek grupowych „każda z każdą” ponad dekadę temu.

Każdy ekspert, którego pytałem o tę sprawę, mówił: „No tak, Iga dała sobie świetnie radę i należy jej się szacunek”. Ale dlaczego aż tak świetnie dała sobie radę? Jakim cudem zaadaptowała się tak szybko, a inne w ogóle? Dlaczego rozbiła tę potężną traktorzystkę rodem z Białorusi, która krzycząc wniebogłosy, bije piłki tak mocno, żeby nigdy nie chciały wrócić na jej stronę siatki? Czy w ogóle można się dostosować do czegoś tak nienormalnego? W jakim tempie? Czy jest jakaś skuteczna metoda, procedura? Jaka? Bo ja chciałbym bardzo skorzystać.

To nie błaha sprawa. Dzisiaj osiemdziesięciopięciolatek musi się dostosować i obsługiwać aplikację PKO BP, nauczyć się jeździć autonomiczną toyotą, obsługiwać telewizor połączony z wewnętrzną siecią, w której są też odkurzacze i telefon, z hasłami i kodami oraz wiecznymi komunikatami o koniecznych aktualizacjach. Bez umiejętności natychmiastowej adaptacji do coraz bardziej nienormalnych wymagań nowoczesnego świata wypadasz z gry, wyklucasz się, nie zalogujesz się do Disney+, zostajesz na lasce TVP, Polsatu i TVN, nie zrobisz przelewu, bo nie umiesz zwiększyć limitu internetowego, aha, bo zapomniałeś numeru klienta. A w tenisie – pomyślałem sobie – wymóg adaptacji poddany jest zwielokrotnieniu, zintensyfikowaniu, przyspieszeniu. Jeśli zawodniczka nie umie się przystosować, nigdy nie osiągnie sławy, sukcesu i majątku.

Początkowo pomyślałem, że triumf Świątek w Cancun musi mieć jakiś tajemniczy związek z nauką geometrii (kortu), z wektorami (wiatru), siłami (na rakięcie), masami (piłki) i zaprzęgnięciem wiedzy i intuicji w proces zimnego pokonywania rywalki. Tylko 20 gemów straconych z numerem 1 na świecie i z raketami nr 3, 5, 6 i 7! W grze, w której każda rywalka pełne fiasko pierwszego seta mogła odrobić



Tenisowa szkoła życia

FOT. FERNANDO LLANO/AP

• Turniej w Cancun, Iga Świątek podczas wymuszonej przez pogodę przerwy w półfinale z Aryną Sabalenko

TO JA TEŻ MOGĘ BYĆ JAK IGA ŚWIĄTEK?

w drugim, a potem wygrać mecz! Ale nic takiego się nie zdarzyło. Przy czym mecz tenisowy jest naprawdę czymś innym niż sprint na 100 metrów, boks lub kolarski klasyk. W tenisie łatwiej wrócić do gry. W tenisie masz realne szanse zwyciężyć i zdobyć wielki majątek mimo złego początku, bo nikt cię nie odsadzi w blokach już na starcie w finale olimpijskim, nikt nie znokautuje na amen już w drugiej rundzie, nie urwie się w ucieczce po 50 kilometrach wyścigu. Byli tacy, którzy wygrywali finały Wielkiego Szlema po przegraniu jednego, a nawet dwóch pierwszych setów. Skąd wzięła się taka przepaść między Świątek a innymi dziewczynami z samego szczytu rankingu i dlaczego w tych – jakby powiedzieli skoczkiwie – loteryjnych warunkach w Cancun żadnej rywalce nie udało się wrócić do gry?

Uznałem, że lepiej poszukać jakiegoś racjonalnego wytłumaczenia, niż stwierdzić, że to były czary. I mam wrażenie, że przyczyny zja-

wiska zaobserwowanego w Cancun są głębsze, niż się wydaje na pierwszy rzut oka.

Poszukajmy ich.

Mam przed oczami króciutkie zdarzenie z meczu z Amerykanką Coco Gauff, mimo młodego wieku trzecią raketą świata. Przy stanie 6:0 i 4:4 w drugim secie meczu grupowego Iga serwowała. Amerykanka returnowała, ale nieudanie, ramą rakiety. Piłka – świetlisty meteor – poszybowała ponad trybuny. A Coco męła – uchwyciły to kamery i mikrofony – słowa: „To kort tak zrobił, ona nawet nie zaserwowała kick serwisu”. Mowa ciała: zapadnięcie się w sobie. A po drugiej stronie kortu dziarskim krokiem szła do pola serwisowego Świątek. Czy raczej – jechała do niego w tunelu koncentracji.

Tu trzeba dodać, że Polka – w ogóle wszystkie zawodniczki – trenowała w Cancun na korcie centralnym, tym krzywym, na którym odbywały się mecze, zaledwie jeden raz. Został bowiem ukończony tuż przed pierwszym dniem

turnieju. Wylano go w miejscu hotelowego pola do minigolfa bezpośrednio na tropikalnej, gęstej jak barani kozuch trawie.

Dzień po treningu Polka oswajała krzywizny w pierwszym secie pierwszego meczu z triumfatorką Wimbledonu Markétą Vondroušová (było już 2:5 dla Czeszki); dopasowywała się do porywistego wiatru, gdy jej przeciwniczki zlorzezyły i ciskały rakietą w kort; przystosowywała się do deszczu, gdy Aryna Sabalenka burczała przekleństwami po białorusku, schodząc na wymuszone opadami przerwy. Już prawdopodobnie zdawała sobie sprawę z tego, że Iga odzyska pozycję numer 1 światowego rankingu.

Tenis jest dziwny. To znaczy dziwny i fascynujący zarazem. Nie wiem, czy jest jakaś inna aktywność sportowa, która wymaga większej sprawności adaptacyjnej. Tenisiści i tenisiści powinni być honorowymi członkami programów lojalnościowych

linii lotniczych, bo pokonują nad chmurami dobrze ponad 100 tys. km w sezonie, a czasem lądują u celu w ostatnim momencie, jak Agnieszka Radwańska przed igrzyskami w 2016 r. (55 godzin podróży z Montrealu do Rio przez Lizbonę), po to, by łatwo przegrać pierwszy mecz z powodu zmęczenia. Grają na różnych kontynentach, w różnych strefach czasowych, różnych klimatach, różnych porach roku przez 11 miesięcy, czyli w jednym z najdłuższych – jeśli nie najdłuższym – sezonie w sportach zawodowych.

A to dopiero początek. Grają w hali i na otwartych kortach, na trzech różnych nawierzchniach, przy czym można z nich wyróżnić kolejne podgrupy: szybkie, wolne, średnie, reaktywne. Dwie główne kategorie nawierzchni występują i w hali, i na otwartych stadionach, trzecia przez jeden letni miesiąc, ale za to w najważniejszym turnieju wielkoszlemowym – Wimbledonie. Wariactwo. Piłki zachowują się na każdej nawierzchni inaczej.

Grają o różnych porach dnia i nocy. Grają po godzinach czekania na zakończenie wcześniejszego meczu na korcie, na którym mają wystąpić, a ten mecz zamiast szybkiej trzysetówki zmienia się w pięciogodzinny maraton. Grają o różną stawkę. Grają na różnych wysokościach i różnymi piłkami. Ba, wysokość nad poziomem morza – gdy nie ma innych, niespodziewanych, gwałtowniejszych czynników, bardziej wpływających na grę – jest najgorsza.

– Ja dopiero na moim pierwszym turnieju w Monachium [1974] zauważyłem, że piłka zupełnie inaczej się tam zachowywała. Zacząłem się nad tym zastanawiać i trochę też z tego zastanawiania moja gra stała się bardziej elastyczna, dzięki czemu lepiej dawałem sobie radę w trudnych warunkach. Byłem góralek jak Rafał Majka. Gdyby było więcej turniej-

jów na dużej wysokości, wygrał-
bym więcej – mówi Wojciech Fi-
bak.

Dodajmy: korty w Monachium
położone są zaledwie 520 m n.p.m.
A przecież gra się też w Guadala-
jarze – 1566 m n.p.m., Johannes-
burgu – 1750 m n.p.m., Bogocie
– 2625 m n.p.m.

Na takich „wysokich” turnie-
jach piłka leci znacznie szybciej
i dalej, gdyż ma mniejsze opo-
ry w rzadszym powietrzu, odbija
się wyżej ze względu na szybkość
i różnicę ciśnień – około 5-6 cm wy-
żej na 1000 m n.p.m. niż na pozio-
mie morza. Producenci kombinu-
ją: minimalnie zwiększają rozmiar-
y, żeby piłka zwolniła, robią rzad-
szą powłokę, żeby odbiła się niżej.
Przy czym znów mamy inne pi-
leczki. Sebastian Korda, znakomity
tenisista i syn jeszcze lepszego Pe-
tra Kordy, śmiał się – trochę z zaci-
śniętymi zębami – że w tym sezo-
nie grał pięcioma rodzajami piłek.
Inni, opierający grę na potężnym
serwisie, narzekają na ból w sta-
wach ręki serwującej, na nieunik-
nione kontuzje (a w konsekwen-
cji odcięcie dochodów). Mniej tutaj
jest głosów kobiet, ale to tylko kwe-
stia czasu.

Oczywiście można powiedzieć,
że każda zawodniczka lub zawod-
nik ma dokładnie taką samą prze-
szkodę do pokonania, przy czym
dla laika problem piłki odbijają-
cej się o centymetr albo trzy wy-
żej to właściwie betka. Nawet bym
nie zauważył i sam bym tak powie-
dział, gdyby nie mój prosty sport
uprawiany dekady temu, czyli ka-
jakerstwo. Każda zmiana wyma-
gała godzin przystosowania: no-
we wiosło miało inną sprężystość
drażka, inny profil pióra, inaczej
pracowało w wodzie, inaczej nad
wodą, nowy kajak był bardziej
lub mniej wyporny, sztywniej-
szy lub bardziej miękki, w innej
sytuacji wpadał w ślizg. Wszyst-
ko było kompletnie inne i – uwa-
ga! – w trudnych warunkach mo-
gło zdecydować o życiowej poraż-
ce lub odwrotnie: talent do adapta-
cji mógł się przyczynić do wielkie-
go triumfu. Na igrzyskach w Syd-
ney w finale kajakowych jedynek
na 500 m wiatr wiał z prędkością
80 km/h, zatapiało kajaki, czas fi-
nału był o 20 s, czyli około 20 proc.,
wolniejszy niż w normalnych oko-
licznościach, a medal zdobył Izra-
elczyk – jedyny na igrzyskach dla
swojego kraju i dopiero czwar-
ty w historii. Wyobraźcie sobie, że
Usain Bolt pokonuje setkę w 12 s
i wygrywa złoto, a srebro zdobywa

jakiś Kowalski – w 13 s. Mówiono
by o tym po wieki wieków.

W ogóle historia sportu to
historia sensacji zwią-
zanych z czymś, co jedni
chętnie nazywają szczęściem, inni
cudem, a jeszcze inni umiejętno-
ścią adaptacji. No bo czy Wojciech
Fortuna miał szczęście, gdy powia-
ło mu w Sapporo w 1972 r.? Miał,
ale czy bez tego cudownego czucia
powietrza, bez jego umiejętności
wykorzystania niespodziewanego
gwałtownego podmuchu wiatru
skoczek zdobyłby pierwsze polskie
zimowe złoto olimpijskie?

W Cancún, natychmiast po ce-
remonii zakładania gigasombrer
i wręczania pucharów, dla Canal+
wypowiadał się trener Igi – To-
masz Wiktorowski. Użył słów,
o których wiedziałem od tygodnia,
od pierwszego meczu, że je wy-
powie. – Pracujemy od dawna, by
zaakceptować to, że trzeba cza-
sem rywalizować w trudnych wa-
runkach. Żeby grać z nimi, ale nie
przeciwko nim, bo gra się przeciw-
ko rywalce.

Kibice tenisa widzieli, jak Iga
trenuje z plastrem zaklejającym
usta (według fachowców zmniej-
szona podaż tlenu adaptuje orga-
nizm do warunków meczowych,
kiedy jest zwykle tlenu mniej, niż
potrzeba), więc może jest też spo-
sób na wytrenowanie gry w wie-
trze i na krzywym korcie? Zna-
ny pisarz i doskonały tenisista Da-
vid Foster Wallace nauczył się, jak
grać w takich warunkach w ligach
uczelnianych i na kortach założo-
nych na kukurydzianych niekoń-
czących się przestrzeniach Środ-
kowego Zachodu. Niestety, po-
zostawił o tym tylko jeden kawa-
lek, „Tenis Trygonometria Tor-
nado, chłopięctwo w Midweście”
w „Harper’s Magazine”. Nic w nim
nie było o trenowaniu na korcie na
przykład przed włączoną gigan-
tyczną suszarką albo w hamowni
silników odrzutowych.

– Tenis jest dyscypliną ze-
wnętrzną – mówi Fibak i stawia
kropkę nad i: – To nie tenis stoło-
wy. Wiatr i deszcz są czymś zupeł-
nie normalnym, ale przygotowy-
wać się do tego? Jak? Jest pewien
elementarz, którego trzeba się
trzymać. To podstawy: jak z wia-
trem serwować, jak pod wiatr. Że
skrótty trzeba stosować pod wiatr,
nigdy z wiatrem. Że pod wiatr trze-
ba uderzać mocno i płasko, serwo-
wać mocno i płasko. Kort wyda-
je się węższy, więc nie można grać
siłowo, ale na przykład loby prak-

■
*Dzisiaj
osiemdziesięcioletni
musi się dostosować
i obsługiwać aplikację
PKO BP, nauczyć się jeździć
autonomiczną toyotą,
obsługiwać telewizor
połączony z wewnętrzną
siecią, w której jest też
odkurzacz i telefon,
z hasłami i kodami
oraz wiecznymi
komunikatami
o koniecznych
aktualizacjach*

tycznie nie istnieją. Najbardziej
wietrzny mecz zagrałem z Pete-
rem Flemingiem, znanym debli-
stą, wieloletnim partnerem Johna
McEnroe’a, ale i świetnym singli-
stą. W 1978 r. w Las Vegas, na ce-
mentowym korcie. Było jak w Can-
cún, tyle że sucho. Stosowałem po
prostu sztuczki elementarne: krót-
ka piłka, mocna piłka pod wiatr,
z wiatrem rotacją, nie atakowałem
z wiatrem.

– Ktoś, kto dysponuje intelligen-
cją tenisową, wykorzystuje wiatr
– mówi Adam Romer, wydawca
magazynu „Tennisklub”. – Częściej
i świadomie stosuje pewne za-
grywki. Dostosowuje siłę uderzeń.
Iga przyjeżdża i dostosowuje się.

A jeśli jednak nie o to chodzi?
Jeśli lisi spryt – ta domnie-
mana inteligencja tenisowa
– to nawet nie część wyjaśnienia
„nadmiarowych” triumfów Świą-
tek, jakich byliśmy świadkami
w Cancún? Taki lisi spryt – oczywi-
ście istnieje. Sporo tutaj wyjaśnia
Adam Kwiatkowski, młody trener
tenisa. Uważa on, że można się
nauczyć adaptacji do inności, ale
nie tak, jak standardowo myślimy.
Znaczących treningowych
wprawek z gigantyczną dmu-
chawą albo na korcie o fakturze
suszonej śliwki. Nie pomogą,
a mogą wszystko zepsuć. Mogą
rozregulować technikę, skąd już
krok od katastrofy. Sabalenka mu-
siała przez pewien czas serwować
z dołu, bo zagubiła koordynację
w złożonym ruchu: podrzucie piłki

do serwisu i uderzeniu z wysoku,
kickserwisie.

– Miałem zawodnika. Przecięt-
ny, nie dojdzie do finału dużego
turnieju, byłem przekonany, zresz-
tą słusznie. Ale kiedyś w meczu
ważnego turnieju widziałem wy-
raźnie, jak czekał na piłkę, czekał
do ostatniego momentu, dopie-
ro wtedy, jak szczywany lis, wybie-
rał miejsce, w którym nie było ry-
wala, i tam bił. Pokonał w ten spo-
sób Huberta Hurkacza – mówi tre-
ner Kwiatkowski.

No to jak nauczyć się adaptacji
do inności?

– Dla mnie to jasne. Trzeba
mieć worek narzędzi w zasięgu ręki
i umieć używać każdego wtedy,
gdy jest to najlepsze – mówi Kwiat-
kowski. – Tylko że użycie narzę-
dzi musi być swobodne, szybkie,
płynne, wyuczone, a zawodnicz-
ka skoncentrowana na osiągnięciu
celu, a nie przeszkodach.

Rozmawiając z Kwiatkowskim,
wyobraziłem sobie wielki konkurs
w filharmonii. Zjeżdża się tip-top
ze świata, są Blechacze i Zimmer-
mani. Patrzą, w filharmonii ściana
się wali, grzyb na suficie. „Na Pra-
gę, kochani, na Pragę – krzyczy en-
tuzjastycznie dyrektor. – Tam bar,
w barze pianino, steinway to nie
jest, fakt, ale klawisze są”. W ba-
rze harmider, duszno, powietrze
sztywne, w rogu się biją, ktoś sta-
wia wszystkim kolejkę, a on – ten
jeden wirtuoz – zaczyna grać. I gra
tak, że zapada cisza.

Odnosząc to do kortu. – Tak
szalonych warunków nie powin-
no być w żadnym konkursie. Ale
zdarza się. I wtedy mniejsze pro-
blemy mają zawodniczek wszech-
stronne – mówi Kwiatkowski.
– Gorzej wypadają te grające jed-
nowymiarowo. I te gorzej przygo-
towane sprawnościowo, ponieważ
w normalnych warunkach stawia-
ją na cięższe atuty. Zawodniczki ta-
kie jak Jelena Rybakina i Aryna Sa-
balenka nie są w stanie wyciągać
piłek z rogów kortu, bo nie są tak
sprawne fizycznie jak Iga.

To cała prawda. Im większą
masz gamę zagrań, im więcej na-
rzędzi, im pewniejszą rękę, gdy
ich używasz, im sprawniejsze cia-
ło, tym mocniej wybrzmiały wszyst-
kie twoje przewagi w trudnych wa-
runkach.

I tak dochodzimy do sedna.
22-letnia Polka jest w najlep-
szym momencie sportowego
życia, w dodatku po najnowszych
usprawnieniach, jakie wprowa-
dzili trener i psychołożka. Siedem

najlepszych na świecie dziewczyn
padło ofiarą Igi Świątek spokojniej-
szej, bardziej skoncentrowanej na
celu. Bardziej cierpliwej. Z ogrom-
nym asortymentem zagrań
i z determinacją, aby ich użyć
w najbardziej odpowiednim mo-
mencie. – Długie, krótkie wymiany,
wchodzi w to, bo ma i szybkość,
i wytrzymałość. Może pobiegać! Po
co ryzykować, skoro można zagrać
bliżej środka, bezpieczniej? A więc
nie robi tzw. niewymuszonych
błędów i dlatego ma tak mało win-
nerów, czyli piłek nie do obrony
– mówi Kwiatkowski.

Tak, Iga może zgrać forhend
wzdłuż linii, proszę bardzo. Albo
top-spina, który się odbije na wy-
sokość oczu rywalki. Albo płaskie-
go fast balla. Też wejście, gdy gra
pod wiatr. Gama jej serwisu jest
absolutnie niebywała. W dodatku
robi to tak, jakby właściwie nie do
końca jej zależało. Bo w tenisie, jak
komuś zależy, to podejmuje ryzy-
ko. Im bardziej zdesperowany, tym
większe. A ona nie ryzykuje. Nie
tak jak kiedyś, to na pewno, ale na-
wet nie tak często jak kilka miesię-
cy temu.

Cały bajer polega na tym, aby
mieć wybór. Nauczyć się, a dzie-
ki temu każda – no dobrze, niemal
każda – ścieżka jest do wykorzysta-
nia. Tak jak w życiu.

Dla Polki, która chce wygrać
najważniejszy turniej w tenisie,
brzmi to bardzo optymistycznie.
Tak się składa, że Wimbledon roz-
grywa się na nawierzchni, która
jak żadna inna wymaga adaptacyj-
nego geniuszu. Brzmi to również
bardzo optymistycznie dla dziew-
czyny, która wygrała już challen-
gery, WTA 250, WTA 500, WTA
1000, cztery turnieje Wielkiego
Szlema i WTA Finals. Czyli wszyst-
ko z wyjątkiem turnieju olimpij-
skiego. I znów: tak się składa, że
olimpijski turniej jest czymś dla
niej specjalnym, pewnie nie tylko
ze względu na ojca i porażkę w To-
kio, wydarzenie osobiste o atomo-
wym ładunku emocjonalnym.

Jak żaden inny turniej ten pary-
sko-olimpijski na ulubionych kor-
tach będzie od niej wymagał ada-
ptacyjnego geniuszu. Tym razem
nie do nawierzchni, ale dla spro-
stania oczekiwaniom. Czy ta nowa
Iga podola? Po Cancún jestem cał-
kowicie spokojny. Oto ostatnie sło-
wa, które napisała, zanim polecia-
ła na zasłużone wakacje: „Najlep-
sze rzeczy przychodzą do nas wte-
dy, gdy przestajemy o nie zabie-
gać”. ●

OŚWIADCZENIE WŁASNE WYDAWCY

34285044

W PONIEDZIAŁEK W „WYBORCZEJ” SPECJALNY DODATEK

NA NARTY

Stacje narciarskie dla rodzin,
narciarzy turystów i tych łaknących adrenaliny

REKLAMA
PARTNER



48
stron

REKLAMA

PARTNER STRATEGICZNY:

POWERED BY
SEBASTIAN KULCZYKJUTRONAUCI
SIĘGAJ ZA HORYZONT

Kamil Fejfer

Raphael Samuel, młody indyjski biznesmen, dzisiaj 31-latek, zyskał sławę w 2019 roku, kiedy postanowił pozwać rodziców (oboje są prawnikami) za to, że urodzili go... bez pytania go o zdanie. Skoro – argumentuje – został wprowadzony na świat bez zgody, to należy mu się dożywotnie odszkodowanie. „Istnienie ludzkości nie ma sensu. Tak wiele osób cierpi. Gdyby ludzkość wymarła, Ziemia i zwierzęta byłyby szczęśliwsze” – twierdził Samuel.

Wspomina (w BBC) dzień, w którym przy śniadaniu oświadczył matce, że chce ją pozwać. „Powiedziała, że to w porządku. Ale mam nie oczekiwać, że zostanę potraktowany łagodnie, że zniszczy mnie w sądzie”.

Samuel podkreślał, że nie chodzi mu o rozgłos (tak, jasne), ale o propagowanie antynatalizmu – idei, zgodnie z którą ludzka prokreacja jest niemoralnym wyborem.

PŁACZ NAD NIEMOWLĘCIEM

Antynatalizm nie jest pomysłem nowym. Mikołaj Starzyński, filozof i autor książki „Antynatalizm. O niemoralności płodzenia dzieci”, w opublikowanym na łamach miesięcznika „Znak” esaju „Przeciw złudzeniom. Antynatalizm i jego argumenty” szuka elementów antynatalistycznych już u starożytnych Greków. Powołuje się na świadectwo filozofa Sekstusa Empiryka, który mówił o obrzędzie płaczu nad nowo narodzonym dzieckiem. Zgromadzeni wokół niemowlaka wiedzieli bowiem, jak ciężkie życie go czeka.

Starzyński cytuje chór z „Edypa” Sofoklesa: „Nie ma drogi dla śmiertelnych, by uniknąć nieszczęścia losu – nie urodzić się, człowieku, to najwyższe, największe słowo. A jeśliś ujrzał światło dzienne, to najlepszą rzeczą wrócić tam, skąd przyszedłeś”.

Elementy antynatalizmu znajdziemy również we wczesnochrześcijańskich wierzeniach. Enkratycy, jedna z odnóg sekt gnostycznych, uważali, że skoro każde narodziny kończą się śmiercią, to jedynym etycznym wyborem jest nie rodzić w ogóle, aby „nie dawać śmierci żeru”. Podobnych argumentów używał biskup i uznawany za świętego Grzegorz z Nyssy. Twierdził, że aby zapobiec śmierci, należy po prostu odstąpić od prokreacji. Wątki antynatalistyczne znajdziemy również choćby u Arthura Schopenhauera.

Współcześnie jedną z najjaśniejszych gwiazd antynatalizmu jest tajemniczy filozof (niechętnie pokazuje swoją twarz publicznie, niewiele wiadomo o jego życiu prywatnym) z Uniwersytetu Kapsztadzkiego David Benatar. autor książki „Najlepiej – nie urodzić się. Istnienie jako źródło krzywdy”.

LOUDZKA RULETKA

Argumenty, którymi posługują się antynataliści, z grubsza można podzielić na dwie grupy. Po pierwsze, mamy argumenty utylitarne. Mówią one, że powoływanie na świat istot, które niechybnie będą cierpieć, jest niemoralne. To rodzaj ruletki – powiadają antynataliści. Rzeczywiście może się zdarzyć, że to dziecko będzie wiodło życie szczęśliwe. Ale być może większość jego istnienia przypadnie na chorobę i rozpacz. Być może ono samo

Antynatalizm nie jest klasistowski, bo gardzimy dzieciوروبami najróżniejszymi – i nędzarzami z Afryki, i białymi bogaczami jak Musk, Korwin i von der Leyen



FOT. SHUTTERSTOCK

zresztą dołoży się do cierpienia innych osób, być może będzie zbrodniarzem.

Drugą grupą argumentów są przesłanki natury ekologiczno-klimatycznej. Można je podzielić na dwie podgrupy: niemoralne jest rodzenie dzieci wprost do klimatycznego piekła. Nieetyczne jest też sprowadzanie na świat istot, których istnienie będzie pogarszać stan umęczonej planety.

Choć argumenty antynatalistów utylitarnych i klimatycznych się zazębiają, ich wspólnym mianownikiem jest cierpienie, to widać różnicę. O ile ci pierwsi kładą nacisk raczej na dobro osoby potencjalnie urodzonej, tak antynataliści klimatyczni uważają, że człowiek jest systemowym problemem. Przyjrzyjmy się więc kilku racjom antynatalistów, bo w tej mrocznej logice jest coś intelektualnie pociągającego.

Jeden z istotniejszych obecnie argumentów utylitarnych wysuwa wspomniany David Benatar. To argument z asymetrii. Benatar prezentuje cztery przesłanki:

1. Obecność bólu jest zła;
2. Obecność przyjemności jest dobra;
3. Nieobecność bólu jest dobra, nawet jeśli nie ma bytu, który by to odczuł;
4. Nieobecność przyjemności nie jest zła, chyba że istniałby byt, który mógłby to odczuć.

Dalej Benatar tworzy tabelkę z czterema oknami. Pierwsza kolumna, scenariusz A, prezentuje bilans cierpienia i przyjemności dla osoby, która się urodziła. Benatar argumentuje, że jeśli obecność bólu jest zła, a obecność przyjemności jest dobra, to istnienie, podczas którego doznajemy obu tych stanów, wykazuje pewną symetrię.

Druga kolumna, scenariusz B, prezentuje – jak się domyślicie – bilans cierpienia i przyjemności dla kogoś, kto nigdy nie istniał. W tym przypadku, jak wyżej zaznaczyłem, nieobecność bólu jest dobra, a nieobecność przyjemności nie jest zła. W scenariuszu B nie ma więc symetrii etycznej, jaka cechuje scenariusz A; etyczna szala przechyla się w stronę nieistnienia.

Skomplikowane? Tak. Na tyle, że jeśli zrozumie się całe rozumowanie, to rzeczywiście można uznać, że dysponuje się silnymi racjami za antynatalizmem. Jak jednak zauważa filozof Fergus Duniho z youtubowego kanału „For the Love of Wisdom”, Benatar popełnia błąd dwuznaczności (fallacy of equivocation) polegający na użyciu dwóch jednakowo brzmiących terminów o innych znaczeniach. „Dobro” w przypadku osoby istniejącej nie jest tym samym co „dobro” w przypadku osoby nieistniejącej. Według Duniho nie da się przypisać wartości moralnej odczuciom bytów nieistniejących, bo one – no cóż – nie istnieją. W przypadku scenariusza B, mówi, również mamy więc dokładną symetrię, ponieważ zarówno nieobecności cierpienia, jak i nieobecności przyjemności dla nieistniejących bytów nie da się przypisać żadnej wartości.

Jeśli jednak wziąć za dobrą monetę argumenty Benatara, to nie ma powodów, żeby odnosić je jedynie do ludzkości (sam Benatar jest zresztą zwolennikiem powolnego wymierania naszego gatunku). Jeśli uznamy argument z asymetrii, to należałoby go również stosować do wszystkich istot, które są w stanie odczuwać cierpienie bądź przyjemność. Czyli że na ludzkości spoczywa moral-

ny obowiązek stworzenia jakiegoś preparatu „ubezpladniającego” wszystkie czujące zwierzęta. Konsekwencją argumentacji Benatara jest dążenie do wyginięcia nie tylko ludzkości, ale wszystkich czujących istot.

Jak widać, niektóre argumenty za antynatalizmem to formalna zabawa językiem. Nieco podobna do dowodu na istnienie Boga Anzelm z Canterbury. Średniowieczny duchowny argumentował, że jeśli Bóg jest doskonały, to musi istnieć, ponieważ doskonała istota istniejąca jest doskonalsza niż nieistniejąca. W takim sensie jak lepsze jest takie ferrari, którym jeździmy, niż takie, które sobie tylko wyobrażamy.

Tę grę błyskotliwie podchwyciła matka wspomnianego Raphaella Samuela. Stwierdziła, że jeśli synowi uda się udowodnić, że jako rodzice mogli uzyskać od niego zgodę na narodziny, przyzna się do winy.

Benatar twierdzi również, że dziecka nie można urodzić w jego własnym interesie, a znaczna większość osób rozmnaża się z pobudek ściśle egoistycznych. Robią to albo z wewnętrznej głębokiej potrzeby powołania nowego życia, albo z powodu presji społecznej. Albo z jednego i drugiego powodu jednocześnie. Trudno nie uznać tego argumentu. Tak jak trudno jest nie zauważyć, że ogromnej większości w ten sposób powołanych istot zależy na istnieniu bardziej niż na nieistnieniu.

NIE BYŁO KOŃCA ŚWIATA

O ile logiczne i utylitarne argumenty antynatalistów, choć wysublimowane, wydają się nieco

oderwane od codziennego życia, to antynatalizm klimatyczny dla niektórych zdaje się po prostu rozsądną reakcją na to, co niechybnie nas czeka. „Istnieje naukowy konsensus co do tego, że życie obecnych dzieci będzie bardzo trudne. I to prowadzi wiele młodych osób do pytania: czy to w ogóle okej, żeby mieć dzieci?” – mówiła w 2019 roku na swoim Instagramie Alexandria Ocasio Cortez, członkini amerykańskiej Izby Reprezentantów.

Z podobnych pozycji wychodziły osoby zaangażowane w powstały trzy lata temu ruch BirthStrike. Jedną z jego założycielek była Blythe Pepino, wokalistka projektu Vaults. Brytyjskiemu „Guardianowi” opowiadała, że mimo że marzyła o powiększeniu rodziny, to po wysłuchaniu jednego z wykładów grupy Extinction Rebellion, radykalnego ugrupowania klimatycznych aktywistów, stwierdziła, że nie może zdobyć się na ten krok.

Jest jeszcze, jak wspomniałem, druga strona klimatycznego antynatalizmu. Chodzi o pogląd, że rodzenie dzieci to tworzenie kolejnych istot, które będą generowały ślad węglowy. Przyjrzyjmy się obu argumentom.

Po pierwsze, wcale nie jest tak, że scenariusz kolapsu cywilizacyjnego jest silnie ugruntowany w wiarygodnych klimatycznych symulacjach. Daniel Steel, C. Tyler DesRoches i Kian Mintz-Woo w artykule opublikowanym pod koniec zeszłego roku w „Proceedings of the National Academy of Sciences”, jednym z najbardziej prestiżowych czasopism naukowych, stwierdzają: „Chociaż istnieją badania naukowe dotyczące historycznych i archeologicznych przypadków społecznych kolapsów, dyskusje na temat mechanizmów, za pomocą których zmiany klimatyczne mogą spowodować upadek obecnych cywilizacji, są głównie domeną dziennikarzy, filozofów, powieściopisarzy i filmowców”. Scenariuszy cywilizacyjnego kolapsu próżno szukać również w najbardziej kompleksowych i wiarygodnych opracowaniach na temat zmian klimatycznych, czyli liczących setki stron raportach IPCC.

Dlatego więc duża część liberalnej, dobrze wykształconej opinii publicznej, a zwłaszcza jej młodszej części, uwierzyła w niemal pewną zapaść cywilizacji? Ponieważ większość z nas nie śledzi naukowych artykułów. Styka się głównie z zapośredniczeniem wniosków z tych artykułów w mediach i mediach społecznościowych. A te wybijają najbardziej skrajne scenariusze. Innym pośrednikiem jest choćby niezwykle czuła na medialny dyskurs popkultura.

To, że media cytują najchętniej najbardziej skrajne prognozy (a niekoniecznie te trzymające naukowy rygor), też pokazują badania. David Rode i Paul Fischbeck z Carnegie Mellon University przejrzeni kilkadziesiąt apokaliptycznych scenariuszy stworzonych przez aktywistów, polityków, dziennikarzy i celebrytów (oraz niektórych mało powściągliwych badaczy). Przewidywania, które wzięli pod lupę, sięgają lat 70. ubiegłego wieku. Swoje wnioski opublikowali w „Journal of Global Warming”. Okazało się, że media znacznie chętniej cytowały te prognozy, które nie są przesadnie zniuansowane (czyli na przykład nie zawierają prawdopodobieństwa wystąpienia danego wydarzenia), za to najbardziej pesymistyczne. Na marginesie można dodać, że większość z przepowiedni cywilizacyjnego kolapsu już się zdezaktualizowała. A średni okres, w którym ma nastąpić apokalipsa, od momentu stworzenia prognozy wynosił około 20 lat do przodu.

To oczywiście nie znaczy, że z klimatem jest wszystko dobrze. Ani że nie jest on jednym z największych wyzwań, przed którymi stoi ludzkość. Oznacza to, że apokaliptyczne narracje nie mają najczęściej – wbrew temu, co twierdzą ich zwolennicy – oparcia w solidnej nauce.

Badacze potrafią mniej więcej przewidywać, co stanie się z klimatem, poziomem mórz oraz średnią temperaturą przy określonym zużyciu tak zwanego budżetu węglowego. Ale po pierwsze, nie potrafią modelować tego, jak będą wyglądały w przy-

szłości nasze emisje gazów cieplarnianych. Nawiasem mówiąc, dzisiejsze prognozy są znacznie bardziej optymistyczne niż te sprzed jeszcze kilku lat. A to dlatego, że wiele krajów wprowadziło polityki dekorabonizacyjne. Niemal wszystkie kraje rozwinięte tną swoje emisje. I nie dzieje się to jedynie w wyniku „eksportu” najbardziej emisyjnych branż do krajów takich jak Chiny czy Indie (choćiaż również). Spadają nie tylko tak zwane emisje terytorialne (czyli te, które zostały wygenerowane na terenie danego kraju), ale również konsumpcyjne (czyli suma emisji zużytych do stworzenia dóbr konsumowanych w danym państwie).

Po drugie, po prostu nie da się modelować tego, w jaki sposób społeczeństwa będą się adaptować do zmian klimatycznych. Prawdopodobnie słyszeliście, że przybędą do nas setki milionów uchodźców klimatycznych. Taki scenariusz nie jest niemożliwy. Ale aby urealnić się on w najgorszej i najbardziej bodaj rozpowszechnionej w mediach liberalnych i lewicowych postaci, wszystko musiałoby pójść źle. Emisje musiałby ciągle rosnąć w stałym tempie, kraje biedniejsze musiałby się nie bogacić (a się bogacą), musiałby zawieść mechanizmy adaptacji.

To nie jest więc tak, że przyszłość jest już napisana.

TRUJĄCE DZIECKO

A co z argumentem na temat tego, że dzieci są emisjogenne? To znaczy, że ich narodzenie wiąże się z emisjami gazów cieplarnianych. Jeżeli przyjmiemy rozsądne przeciwie założenie, że źle jest generowanie dwutlenku węgla, ponieważ proces ten destabilizuje klimat, zagraża całym ekosystemom oraz – i dzisiaj, i w przyszłości – oznacza pogorszenie się życia dla dziesiątków, jeśli nie setek milionów ludzi (co jednak nie jest tożsame z kolapsem cywilizacyjnym!), to możemy dojść do wniosku, że powoływanie na świat ludzi, których funkcjonowanie w kapitalistycznym społeczeństwie będzie oznaczało generowanie gazów cieplarnianych, jest etycznie naganne.

Istnieją nawet obliczenia, które wspierają ten argument. Słynny artykuł naukowy Setha Wynesa i Kimberly A. Nicholas z 2017 r. opublikowany w prestiżowym „Environmental Research Letters” przypisywał aktowi urodzenia dziecka konkretną wartość wyemitowanych gazów cieplarnianych. Zdaniem badaczy rezygnacja z posiadania dziecka oznacza ścięcie prywatnego śladu węglowego o prawie 60 ton ekwiwalentu CO₂ rocznie. Czy to dużo? Życie bez samochodu oznacza oszczędność emisji na poziomie 2,4 ekwiwalentu CO₂ rocznie, unikanie podróży samolotem to 1,5 tony. Dla porównania, emisyjność polskiej gospodarki wynosi około 8 ton rocznie na głowę mieszkańca.

Jakim więc cudem dziecko miałoby emitować rocznie prawie 60 ton ekwiwalentu CO₂? Cóż, wynika to z założeń, które przyjęli badacze. Przyjęli oni, że „emisyjność dziecka” jest przypisana nie tylko jemu w ciągu całego jego życia, ale też – w mniejszej części – jego dzieciom i dzieciom jego dzieci oraz dzieciom jego dzieci. Wielkość emisji była oszacowana na podstawie uśrednionych emisji kilkunastu najbardziej zaawansowanych gospodarek świata. Następnie gazy cieplarniane, które w ciągu całego życia byłyby generowane przez dziecko, jak i częściowo jego dzieci, wnuki, prawnuki etc., były dzielone przez lata życia rodziców. Dzięki takiej matematyce okazało się, że niemowlak rocznie emituje tyle CO₂, co – a niech będzie – nagrzewanie hali sportowej na Syberii.

Same obliczenia nie są tak absurdalne, jak mogłoby się здаwać. Jest jednak w nich pewien skzopuł. Otóż zakładają one, że w przyszłości nie będzie dekarbonizacji.

Jak więc widać, klimatyczny antynatalizm opiera się na znacznie bardziej chybotliwych fundamentach, niż mogłoby się to na pierwszy rzut oka wydawać. Klimatyczna zagłada cywilizacji, choć nie niemożliwa, wcale nie znajduje potwierdzenia w wiary-

W rozwój cywilizacji wbudowany jest mechanizm spowalniający jej rozrost

godnych prognozach naukowych. Poza tym „emisyjność dzieci” nie jest przesądzona. I zależy ona w ogromnej mierze nie od indywidualnych decyzji konkretnych ludzi, tylko od upowszechniania się zmian technologicznych i od polityk klimatycznych. A te ostatnie prawdopodobnie będą coraz bardziej rygorystyczne. Co dla ludzkości jest wiadomością dobrą.

EDUKACJA KOBIET TO ANTYKONCEPCJA

Nawet jednak jeśli antynataliści środowisko wi mieliby rację, to istnieje trend, który – no cóż – ich wyprzedził. Ludzie, nie tylko w rozwijających się krajach, rodzą coraz mniej dzieci. Przystańmy więc na chwilę przy budzącej wiele emocji kwestii demografii.

Zastępowalność pokoleń występuje przy dzietności na poziomie 2,1. W wielkim skrócie oznacza to, że 1000 kobiet musiałoby urodzić 2100 dzieci. Dlaczego nie 2000? Bo potrzebny jest pewien zapas, część dzieci najzwyczajniej nie dożyje momentu prokreacji albo nie będzie mogła mieć dzieci.

W Polsce mamy tak zwaną skrajnie niską dzietność. Według danych Banku Światowego w roku 2021 była ona na poziomie około 1,3. Ostatni raz z zastępowalnością pokoleń mieliśmy do czynienia w 1991 r. Później dzietność poleciała na łeb na szyję. W żadnym większym rozwiniętym kraju, z wyjątkiem Izraela, nie ma od lat zastępowalności pokoleń. Świat rozwinięty się wyludnia.

Liczba rodzonych przez kobiety dzieci spada na całym świecie. Obecnie dzietność na globie jest na poziomie 2,3. Jeszcze w roku 2015 było to 2,5. I spada nieprzerwanie od początku lat 70., kiedy dla globu dzietność była na poziomie 5.

Dlaczego tak się dzieje? Wspomnijmy tylko o kilku najważniejszych czynnikach. Hans Rosling, zmarły kilka lat temu popularyzator nauki i autor niezwykle ciekawej książki „Factfulness”, mówił, że edukacja kobiet oraz ich wejście na rynek pracy to najważniejsze środki antykoncepcyjne świata.

Kolejną kwestią jest migracja ze wsi do miast oraz industrializacja coraz większej

Jutronauci 2023

- Po raz pierwszy w historii świat młodych jest tak różny od świata dorosłych. Zetki i alfy nie znają świata bez internetu, smartfonów, nowych technologii. A te jak nigdy dotąd napędzają zmiany społeczne: rośnie polaryzacja społeczna, obniżają się kompetencje międzyludzkie, rośnie epidemia samotności, a rolę Boga przejmują coraz bardziej inteligentne algorytmy. Czy tę przepaść da się zasypać? W tej, siódmej już edycji programu Jutronauci, którego partnerem jest Sebastian Kulczyk, ponownie spoglądamy w przyszłość, szukając najważniejszych przemian cywilizacyjnych.
- Czy czeka nas świat bez dzieci? Czy natura i AI powinny mieć własne prawa? Czy wchodzimy w wiek antyambicji w pracy? Czytaj na **Wyborcza.pl/Jutronauci**

części globu i związane z tym przejście dzieci z domeny zasobu do inwestycji, jakby powiedzieli ekonomiści. Oznacza to, że dzieci przestają być traktowane jako ręce do pracy (co w warunkach krajów rolniczych jest racjonalne), a stają się osobami, które należy wykształcić, a więc również odwlec ich wejście na rynek pracy.

W krajach zamożnych z kolei chodzi o to, że dzieci stanowią konkurencję o ograniczone zasoby – czas i pieniądze. Wielu komentatorów, zwłaszcza ze strony lewicowej, uważa, że niska dzietność jest wynikiem niestabilnego zatrudnienia, niskich pensji czy kiepskiej dostępności mieszkań. Z pewnością gra to pewną rolę, ale warto pamiętać, że wśród najbardziej rozwiniętych państw niemal nie ma takich, gdzie dzietność byłaby na poziomie zastępowalności pokoleń. Dzietność w Szwecji to 1,7, w Niemczech 1,6, w Finlandii – 1,4. A trudno uznać, że są to kraje, w których praca jest szczególnie niestabilna, a pensje niskie. Mało tego, w bogatych państwach z reguły dzietność jest niższa.

W krajach rozwiniętych mamy więc do czynienia z wyborem raczej kulturowym niż ekonomicznym. Ekonomia oczywiście pracuje w tle tych decyzji, ale jako mechanizm generujący konkurujące z wychowaniem dzieci dobra: wycieczki, wyjęcia do miasta i spędzanie czasu z przyjaciółmi.

To oczywiście nie oznacza, że inwestycja w żłobki, przedszkola, bardziej dostępne mieszkalnictwo, lepiej dopasowany do współczesności, bardziej stabilny model pracy, wysokie zasiłki na dzieci, sprawiedliwy podział obowiązków w rodzinie oraz wyższe pensje nie mogą podwyższyć nieco współczynnika dzietności. Mogą. Ale nie ludźmy się, że w dającej się przewidzieć przyszłości wróci zastępowalność pokoleń.

Jak widać, antynatalizm nie jest rozwiązaniem przeludnienia planety. Oczywiście o ile w ogóle uznajemy, że takie przeludnienie jest faktem. W rozwój cywilizacyjny wbudowany jest (a przynajmniej był w ostatnich sześciu-siedmiu dekadach) mechanizm spowalniający jej rozrost.

A w przyszłości prawdopodobnie również zatrzymujący przyrost liczby ludzi.

DZIECIOROBY

Z antynatalizmem związana jest jeszcze jedna kwestia. Choć nie ma na ten temat danych, niebezzasadna będzie intuicja o specyficznym profilu socjoekonomicznym entuzjastów ruchu.

„Mam coraz smutniejsze przemyślenia; np. że dziecioroby nie zaslugują na miłość swojego potomstwa” – czytamy na jednej z facebookowych grupek poświęconych antynatalizmowi. „Niewolnicy nigdy nie zasługiwali na swój los, ale nie byli też świętymi niewiniątkami uszlachetnionymi bólem. Chyba większość z nich robiła nowych niewolników i nie ma co ich udziecinniać (infantylizować), przecząc odpowiedzialności i przerzucając ją wyłącznie na napastników („panów”). Rozród nie jest prawem człowieka, a zrobienie kogoś, wiedząc, że będzie w kajdanach, to skandal” – czytamy w innym wpisie.

Trudno nie odnieść wrażenia, że antynatalizm w pewnych kręgach może stać się elementem pogardy wobec osób, które nie są „na tyle oświecone”, żeby zgłębić tajniki tego prądu intelektualnego. Na tej samej grupce znajdziemy wytłumaczenie tego stanowiska: „Przypominajka, że antynatalizm nie jest klasistowski ani rasistowski, bo gardzimy dzieciorobami najróżniejszymi – i nędzarzami z Afryki, i białymi bogaczami jak Musk, Korwin i von der Leyen. Bieda nie czyni nikogo świętym niewiniątkiem, a w Sudanie potrzebują jedzenia zamiast pochwał; protekcyjność, paternalizm i infantylizacja też mogą być rasistowskie”.

Trudno się spodziewać – co podkreśla między innymi cytowany już Mikołaj Starzyński – żeby trend antynatalizmu zdobył szersze poparcie społeczne. Dzietność już spada. Pytanie, czy właśnie ona nie będzie za kilka dekad problemem rozwojowym dla krajów dzisiaj uznawanych za zamożne. ●

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE



weekendówka
78

W DROGĘ (66)!

Autorem wielu haseł jest **Marcin Wrona**

Początkowo miała się nazywać Droga nr 60, bo człowiek nazywany jej ojcem, Cyrus Avery, był przekonany, że w nazwie lepiej będzie wyglądać okrągła liczba. Ten biznesmen urodzony w Tulsie w Oklahomie był jednym z członków rządowego zespołu mającego opracować system dróg i autostrad Stanów Zjednoczonych. Jednak propozycję, by drogę łączącą Chicago z Los Angeles oznaczyć numerem 60, oprotowało Kentucky, które uparło się, by U.S. Route 60 nazwać drogę z Virginia Beach do LA. W toku gorących dysput zaproponowano oznaczenie Route 62, ale Avery wraz z inżynierem Johnem Page'em wybrali numer 66. Był wolny, wyglądał lepiej. Co ciekawe, zarówno nadanie drodze nr. 62, jak i tym bardziej nr. 66 było sprzeczne z systemem, bowiem numery dróg powinny rosnać z północy na południe kraju (generalnie drogi wzdłuż równoleżników ze wschodu na zachód kraju miały oznaczenia parzyste, te wzdłuż południków – nieparzyste).

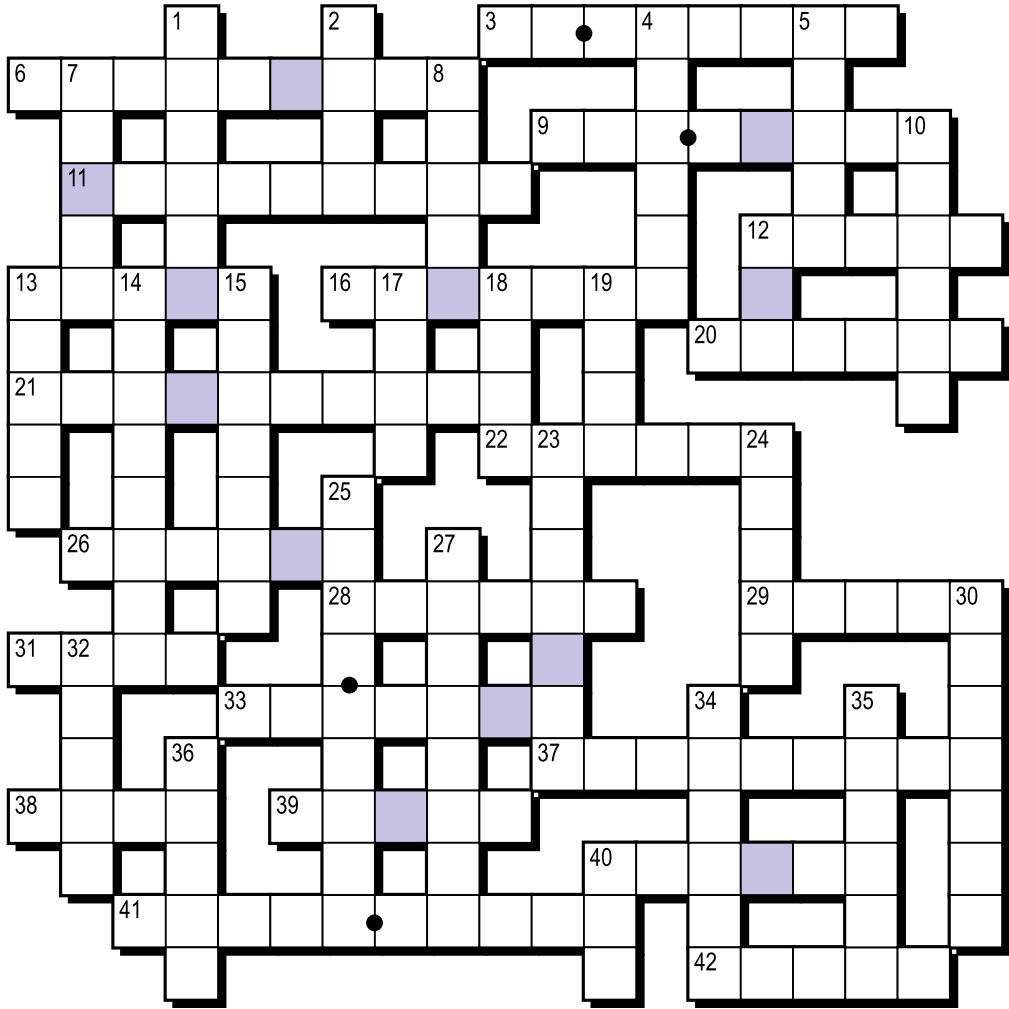
Stało się jednak na 66 i ten numer przeszedł do legendy. U.S. Route 66 oficjalnie otwarto 11 listopada 1926 roku. W 1938 roku, jako pierwsza autostrada w USA, została utwardzona na całej długości (dwa lata wcześniej trasę przedłużono do Santa Monica). Przecina osiem stanów: Illinois, Missouri, Kansas, Oklahomę, Teksas, Nowy Meksyk, Arizone i Kalifornię, i mierzy w sumie 3939 km.

Do historii przeszła dzięki obecności w popkulturze. To o niej Bobby Troup skomponował rockowy arcyklasik „(Get Your Kicks On) Route 66”, który wykonywali m.in. Nat King Cole, Chuck Berry czy The Rolling Stones. Masowy exodus migrantów do Kalifornii w okresie Wielkiego Kryzysu, podróżujących właśnie R66, opisał John Steinbeck w „Gronach gniewu”. Route 66 przewoził ciężarówkami alkohol Al Capone podczas prohibicji, uciekali nią przed policyjnym pościgiem Bonnie i Clyde, a popularna seria filmów animowanych „Auta” („Cars”), opowiadająca o perypetiach samochodów, początkowo miała nosić tytuł „Route 66”.

Dziś Route 66 nie jest już nawet autostradą – status straciła w 1985 roku – ale za to wciąż owiana jest legendą i stanowi wielką atrakcję turystyczną. Polecamy gorąco ją odwiedzić, a korzystając z rocznicy otwarcia R66, dzisiejszą „Weekendówkę” poświęcamy „drodze matce” właśnie, a po trosze też Ameryce, kinu drogi i muzyce, której dobrze słucha się w samochodowym radiu. A o pomoc w ułożeniu haseł poprosiliśmy Marcina Wronę, korespondenta „Faktów” TVN w USA, dziennikarza, reportera i autora książek „Wrony w Ameryce” oraz „Wroną po Stanach” opisujących wrażenia z pobytu i podróży po Stanach Zjednoczonych. ●

Andrzej Kulasek, andrzej.kulasek@agora.pl

Od redakcji: „Weekendówkę” o Route 66 publikujemy z tygodniowym poślizgiem, bowiem 11 listopada, w sobotę, nie ukazał się magazyn „Wolna Sobota”. Tak jednak polubiliśmy ten klimat, temat i hasła, że nie bacząc na czasowe rozbieżności – w drogę sześćdziesiątką szóstką ruszamy dziś!



Rozwiązanie „Weekendówki” nr 77 z 4.11:

- Poziomo:**
8) Rzec 9) Mumia
10) Pennywise 12) rekin
13) T-Rex 14) Godzilla
16) Predator 19) gremliny
21) Smaug 22) Lord
23) Szeloba 25) dom
27) klaun 28) Colin
30) Paleman
31) Babadook 33) fobia
35) Star Wars 36) Critters
37) Langolier

- Pionowo:**
1) Chucky 2) Pinhead
3) Freddy 4) Nessie
5) Diuna 6) Lecter 7) King Kong 11) kraken 15) kino
16) Puszek 17) Anakonda
18) faceci 19) Groot
20) Yoda 21) Samara
24) Adolf 25) Dementor
26) monstra 28) Clover
29) lęk 30) Pacific
31) Bestia 32) Balrog
34) Obcy

**HASŁO:
FRANKENSTEIN**

ROUTE 66

Hasła Marcina Wrony oznaczono inicjałami (M.W.). Literę w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

- Poziomo:**
3) kino drogi wg Felliniego
6) nazwisko reżysera (M.W.). Literę w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.
9) w kawałku „Riders on the Storm” śpiewają o mordercy na drodze
11) film z Frances McDormand mieszkającej w furgonetce i szukającej pracy
12) Nicolas Cage i ... Dern („Dzikość serca”)
13) Sharon, która szalała Lotusem Esprit SE z roku 1990 („Nagi Instykt”) (M.W.)

- 16)** stan i mrożona herbata, którą kupisz na stacji benzynowej na Route 66 (M.W.)
20) stan, przez który przebiega Route 66
21) stan, przez który przebiega Route 66
22) stan i zespół, który śpiewa o samotnej ulicy (M.W.)
26) imię żony Chandlera Binga (M.W.)
28) imię reżysera z określenia 6 poziomo
29) imię jednego z najsłynniejszych szeryfów i rewolwerowców Dzikiego Zachodu (M.W.)
31) Illinois lub Missouri
33) na nich każdy motocyklista chce przejechać Route 66 od startu do mety (M.W.)
37) John, autor nazwy z określenia 5 pionowo

- 38)** mkną międzystanówką
39) ... Higgins, jeden z wykonawców piosenki „Route 66”
40) przydrożne noclegownie
41) u boku Dennisa Hoppera w filmie z określenia 25 pionowo
42) droga odchodząca od autostrady
Pionowo:
1) Barry, zagrał Kowalskiego w filmie drogi z określenia 7 pionowo
2) AC/DC śpiewa o autostradzie, która tam prowadzi (M.W.)
4) „... i Louise”
5) Choć „wszystkie prowadzą do Rzymu”, to ta z Illinois do Kalifornii (M.W.)

- 7)** „Znikający ...”, film z 1971 r.
8) ... motocyklowe, np. Hells Angels
10) „Route 66” w telewizji w latach 60.
12) bohater, którego w filmie „Do ostatniej kości” gra Timothée Chalamet
13) w 1993 roku w Waco w Teksasie jej siedziba była oblężona przez FBI (M.W.)
14) stan, przez który przebiega Route 66
15) szalona radość, np. z samotnej jazdy legendarną drogą
17) nazwisko aktora i miasta w Nevadzie na granicy z Kalifornią (M.W.)
18) logo, emblemat (np. tarcza z napisem Route 66)
19) nocna reklama świetlna

- 23)** Los ..., na trasie Route 66
24) o tym śni każdy aktor w Hollywood (M.W.)
25) po naszymu „Swobodny jeździec”
27) imię reżysera z określenia 3 poziomo
30) pojazd Alvina z filmu Davida Lyncha „Prosta historia”
32) Bobby, kompozytor klasyka „Route 66”
34) „... kierownicy ucieka”
35) potocznie o fanie brytyjskiego zespołu, który nagrał cover „Route 66”
36) Rutger, psychopata w „Autostopowiczu”
40) „Mad ...”, Mel Gibson i pustynny świat
Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

34225722

Byle do weekendówki

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ

Pobierz z App Store
POBIERZ Z Google Play